



Grey Scale #13

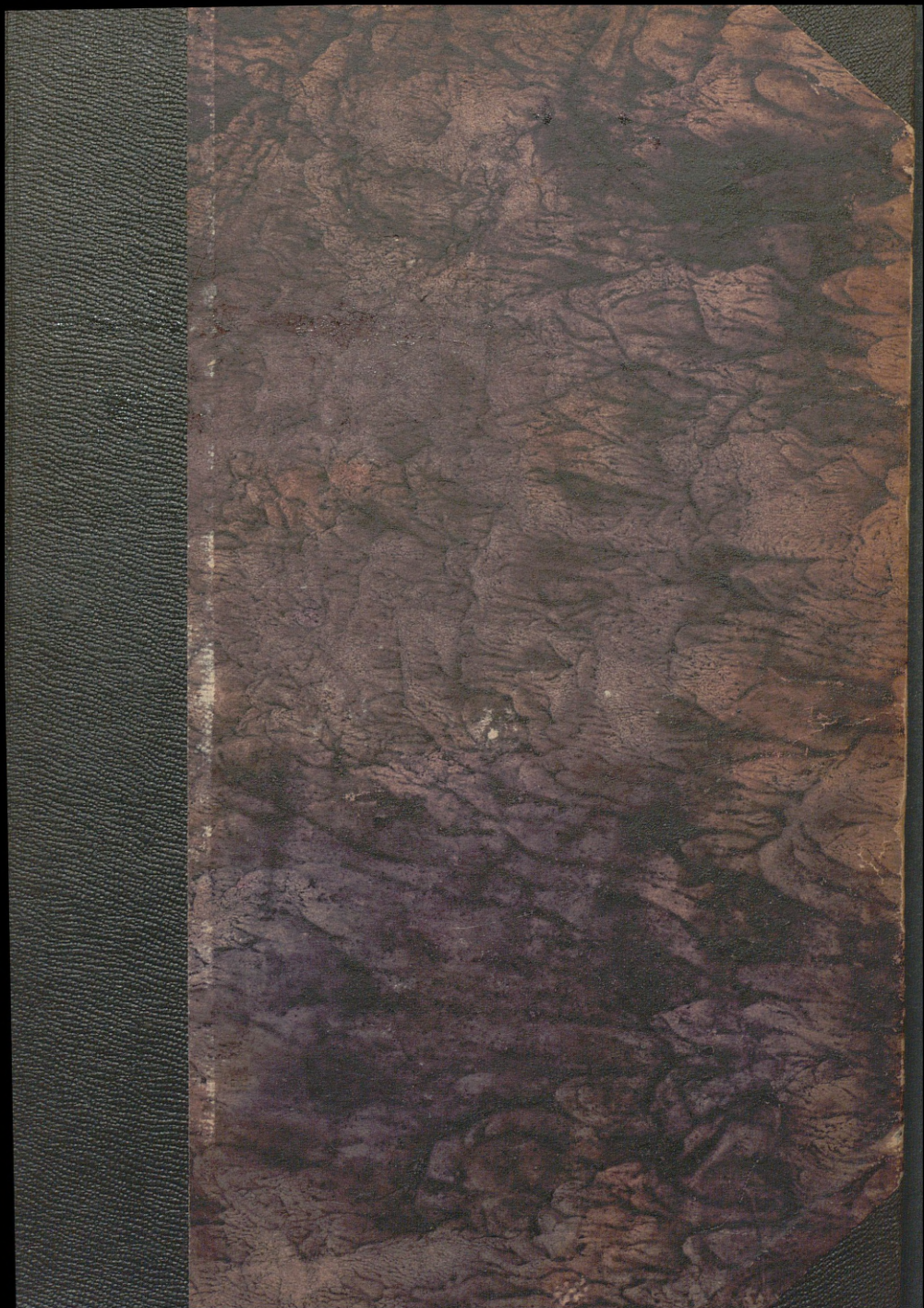


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13





POWSTANIE STYCZNIOWE

TEGOŻ AUTORA:

- MICKIEWICZ JAKO POLITYK — KRAKÓW, 1908.
MAURYCY MOCHNACKI (ŻYWIOT I DZIEŁA) — LWÓW, 1910.
POWSTANIE LISTOPADOWE. WYD. IV — WARSZAWA, 1918.
KONSTYTUCJA 3 MAJA. WYDANIE II — WARSZAWA, 1918.
POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE — WARSZAWA, 1917.
JÓACHIM LELEWEL. ZASYS BIOGRAFICZNY — WARSZAWA, 1918.

W OPRACOWANIU I Z PRZEDMOWĄ TEGOŻ AUTORA

MAURYCEGO MOCHNAČKIEGO. PISMA.

PO RAZ PIERWSZY EDYCIĄ KSIĄŻKOWĄ OBJĘTE.

Lwów, 1910.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

POWSTANIE STYCZNIOWE

Z 12-MĄ PORTRETAMI



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

1919

93/432/9 ; 355.82/438/

PORTRETY ZE ZBIORÓW DE E. PHULLA



I.

NOC MIKOŁAJOWSKA.

Powstanie listopadowe skończyło samobójstwem...

Walcząca w ciągu dziesięciu miesięcy Polska, nie wyczerpawszy środków obrony, nie zużywszy sił rozporządzalnych, opuściła bezwładnie uzbrojone ramie i dobrowolnie rzuciła niepokonany na polach bitew oręż. Dnia 5 października 1831 roku główne siły polskie, pod dowództwem ostatniego w powstaniu naczelnego wodza, generała Rybińskiego, przekroczyły granicę Królestwa w okolicach Brodnicy i złożyły broń w ręce władz pruskich. Wcześniej uczynił to samo na terytorjum państwa austriackiego korpus generała Ramorino. W kilka dni po wyjściu głównej armji poddał się Modlin, a 21 października kapitulowała załoga Zamościa i ostatnia twierdza polska przeszła w ręce rosyjskie...

Dnia 1 listopada car ogłosił amnestję...

Na wiadomość o tem kilkanaście tysięcy żołnierzy i półtora tysiąca oficerów, wiedzionych tęsknotą do rodzimych domów, niezwłocznie wymaszerowało do kraju. Przykład ten podziałał na nieszczęsną rzeszę rozbitków, ale nie wszystkich pociągnął za sobą. Jedni mieli zbyt niebezpieczne porachunki z tryum-

fującą władzą rosyjską, drudzy korzystanie z łaski carskiej poczytywali za hańbę, inni jeszcze, kołysani niejasną nadzieją, nie mogli pogodzić się z myślą, że wszystko już stracone. Jednakże rządy pruski i austrijacki usilnie nakłaniały do powrotu opornych. Przyszło do strasznych zajść w Fischau, w Elblągu i w Tczewie, wstrząsające tragizmem sceny rozgrywały się na granicy, za którą konwojowanych uchodźców polskich oczekiwały władze rosyjskie. Żołnierze wolności, odstawiani przemocą do domu niewoli, najstraszniejsze znosić musieli tortury.

Nie wszyscy przecież zmuszeni byli do powrotu.

Oficerom i działaczom cywilnym, co wraz z wojskiem opuścili teren walki, pozostawiono swobodę. A wśród żołnierzy znalazła się garstka, co, nie bacząc na wszelkie przykrości, upokorzenia i gwałty, wytrwała w niezłomnym oporze i nie dała się skłonić do przyjęcia amnestji. Ta reszta, wynosząca około 10.000 ludzi, pragnęła przedostać się do Francji i tam, pod opieką rządu francuskiego, rozpocząć przygotowania do nowych o wolność Polski zapasów. Byli to ludzie, którzy nie mogli pogodzić się ze straszliwą klęską. Piersi ich uciskał ciężar niespełnionego do końca obowiązku względem ojczyzny, ale zarazem prowadziło ich na zachód przeświadczenie, że walka nie jest jeszcze skończona, że wybije niebawem godzina czynu i pomsty, że oni będą pierwsi, co na ziemi polskiej rozpalą znowu płomień wojny i braciom, zakuwanym w kajdany, przyniosą wolność na ostrzach swoich bagnietów. Zwodnicza wiara w pomoc Francji, nikłe nadzieje na wielką burzę wojenną w Europie, wreszcie marzenia o legionach polskich ożywiały wychodźców, gdy sformowani w ko-

łunny, rozpoczynali ku granicom Francji pamiętną wędrówkę.

A w tej rzeszy wędrowców, co z domu ojczystego, objętego pożarem zniszczenia, cało unosili swe głowy, znajdowali się członkowie rządów powstańczych i członkowie sejmu, zasłużeni patryjoci, wybitniejsi wojskowi, ważniejsi współtwórcy dzieła listopadowego, przywódcy klubów, uczestnicy spisków, znakomici uczeni, wielcy pisarze, artyści, poeci. Niemal wszystko, co Polska miała wybitniejszego, ruszyło na tułactwo. Mózg i serce Polski ówczesnej, kwiat młodzieży, wierzchołki inteligencji znalazły się poza granicami kraju. Wszyscy ci tułacze, głęboko przeświadczeni o swoim wielkiem posłannictwie, witani w drodze do drugiej ojczyzny, jak nazywano Francję, entuzjazmem stęsknionych do wolności ludów, szli z wiarą, że w wędrówce swej znajdą drogę czynu, który uciemnionej Polsce przyniesie wyzwolenie.

A tymczasem kraj, pozbawiony wodzów i przewodników, wyczerpany walką, bezsilny i bezbronny, stał się łupem zemsty tryumfujących zwycięzców. Dopóki wojsko polskie znajdowało się w granicach Królestwa, dopóty Rosjanie zachowywali się w stosunku do ludności oględnie, szeroko rozpowszechniali wieści o wspaniałomyślności cara, który rzekomo gotów był wszystko przebaczyć i wszystko puścić w niepamięć. Gdy jednakże zbrojna siła polska przekroczyła granicę, postępowanie władz rosyjskich zmieniło się gruntownie.

Nad nieszczęsnym krajem rozpętała się zemsta ponurego Mikołaja.

A głównym wykonawcą tej zemsty stał się feldmarszałek Paskiewicz, który za uśmierzenie powsta-

nia otrzymał szumny tytuł księcia warszawskiego i mianowany został namiestnikiem Królestwa. Był to człowiek, przesiąknięty drapieżnym despotyzmem swojego władcy, a umiejący doskonale popolitować myśli i niezdecydowanie pokrywać pozorami brutalnej pewności siebie, wybuchami wściekłego gniewu, przed którym drżeli otaczający go dostojnicy moskiewscy, a który miał reprezentować nieugięty charakter i żelazną wolę nowego namiestnika.

Paskiewicz, postanowiwszy wyplenić raz na zawsze z duszy Polaków wszelką myśl o wydobyciu się z niewoli rosyjskiej, rządził postrachem i grozą. Łaskawy dla tych, co zdradzili powstanie i sprzeniewierzyli się sprawie narodowej, nieubłaganą zemstą ścigał podejrzanych o patryjotyzm obywateli. A zemsta dotknęła przede wszystkim tych, co brali udział w powstaniu. Słynna „amnestja“ srogo dała się we znaki wszystkim, co zaufali wspaniałomyślności carskiej. Żołnierzy polskich powołano ukazem do służby w szeregach rosyjskich, a gdy ukaz nie został usłuchany, zarządzono aresztowanie opornych. Gnano ich później w głąb Rosji lub na Sybir. Tych, co odmawiali złożenia przysięgi na wierność carowi, smagano bez litości knutami, a następnie wcielano do pułków rosyjskich. Bardzo wielu żołnierzy polskich wysłano na podbój ociekającego krwią Kaukazu. Lecz nie poprzestano na karaniu uczestników powstania. Zemsta cara dotknęła najniewinniejszych. Na rozkaz jego wysyłano do Rosji osieroconych chłopców w wieku od lat 10 do 17 i wdrażano nieszczęśliwe ofiary do służby wojskowej. Potem nową popełniono zbrodnię. Z domów ubogich matek porywano dzieci, uwożono na kibitkach w głąb carstwa i wychowywano na wro-

gów własnej ojczyzny. Majątki wybitniejszych uczestników powstania zostały skonfiskowane i przeszły bądź na własność rządu rosyjskiego, bądź za zasługi i gorliwość w „uśmierzaniu buntu“ rozdane zostały dygnitarzom wojskowym. Ustanowiony sąd kryminalny na „przestępców“ skazał zaocznie na śmierć przez powieszenie 249 patryjotów, a 9 na ścięcie toporem. Śród skazanych znalazł się książę Adam Czartoryski, pierwszy prezes Rządu Narodowego, niegdyś przyjaciel Aleksandra I i jego zaufany minister, znaleźli się inni członkowie rządu, wodzowie, wielu wybitniejszych działaczy, posłów, oficerów, literatów, publicystów, dziennikarzy. Piotr Wysocki, przywódca spisku podchorążych, wzięty do niewoli podczas oblężenia Warszawy, oraz Wincenty Niemojowski, pochwycony w drodze ku granicy, również skazani zostali na śmierć. W drodze „łaski“ Mikołaj zmienił wyrok: pierwszemu na lat dwadzieścia, drugiemu na lat dziesięć ciężkich robót w kopalniach sybirskich.

Konstytucję zastąpić miał ogłoszony w lutym r. 1832 Statut organiczny, który znosił Sejm, wojsko polskie i koronację carów na królów polskich. Z dawnych urzędzeń Statut pozostawiał Radę Administracyjną, sprawującą niegdyś czynności rządu oraz Radę Stanu, do której miało należeć układanie budżetu i projektowanie praw. Pozatem Statut otaczał opieką religiję katolicką, gwarantował nietykalność osobistą i nietykalność własności, wprowadzał z niewielkimi ograniczeniami wolność druku, a w administracji i sądownictwie pozostawiał język polski.

Cokolwiek w Statucie było zniszczeniem, to wykonano święcie. Cokolwiek dawało ludności prawa, to Paskiewicz podeptał. Nigdy wolność osobista nie

była bardziej zagrożona, nigdy cenzura nie czyniła straszniejszych spustoszeń, nigdy własność zarówno prywatna, jak narodowa, nie była przedmiotem bezwstydniejszego rabunku. Wystarczyło podejrzenie, by najniewinniejszy człowiek zakuty został w kajdany i zawleczony na Sybir. Cenzura wyrugowała z piśmiennictwa nie tylko wszelką myśl podnioslejszą, ale same słowa, jak ojczyzna, konstytucja, naród, wolność. W Wilnie i w Krzemieńcu skonfiskowano bogate biblioteki i zbiory na rzecz powołanego do życia uniwersytetu w Kijowie. Wspaniałą bibliotekę i cenne gabinety Towarzystwa Przyjaciół Nauk wywieziono do Petersburga. Okradziono z cenniejszych sprzętów Zamek królewski w Warszawie i siedzibę książąt Czartoryskich w Puławach. Samą wartość ziemi, skonfiskowanej Polakom za udział w powstaniu, obliczały pisma emigracyjne na olbrzymią podówczas sumę 270 milionów franków.

Według Statutu administrować krajem miały trzy komisje: komisja spraw wewnętrznych, do której należały jeszcze sprawy duchowne i oświaty, komisja sprawiedliwości oraz komisja przychodów i skarbu. Na czele każdej komisji stał dyrektor główny.

Taki podział ułatwiał rządzą bezprawia i samowoli, niszczenie dóbr kultury polskiej, cofanie wstecz życia narodowego, co szczególnie uwidoczniło się na polu oświaty. Uniwersytety w Warszawie i w Wilnie zostały zamknięte. Później utworzony został okrąg naukowy warszawski, poddany władzy ministra oświaty w Petersburgu. Minister mianował ze swego ramienia kuratorów, którzy zajęli się gorliwie tropieniem nieprawomyślności w szkołach, a wprowadzili do uczelni polskich system denuncjacji i szpiegostwa.

Śledzono zarówno uczniów, jak rodziców, urządza-
no po nocach przy pomocy żandarmów lub policji
szkolnej rewizje, poszukiwano ksiązek patryjotycznych,
za które „winiych“ wypędzono ze szkoły, wtrącano
do więzień lub wysyłano na Sybir. Młodzież za lada
przewinienie chłostano bez miłosierdzia. To też dzie-
ci z trwogą w sercu przestępowały progi szkoły, któ-
ra się stała katownią. Nauki moralne, udzielane przez
pedagogów, protegowanych przez rząd, w zaraniu ży-
cia budziły wstępn i ohydę, uczyły skrytości, pogar-
dy, rozżęgały w młodziutkich duszach płomieie nie-
nawiści do strasznych oprawców. Już w najniższych
klasach wpajano w dzieci przekonanie, że wszelka
władza pochodzi od Boga, że zatem najwyższą na
ziemi władzą boską jest car. Naukę fałszowano naj-
bezczelniej. Wykłady historii przepełnione były ste-
kiem brudnych kłamstw, mających na celu zohydze-
nie wszystkiego, co było chlubą przeszłości polskiej,
co uczyło kochać wolność, cenić honor własny i ho-
nor narodu. Prześladowane dzieci miały swoich mę-
czenników. Jeden z uczniów, Karol Levitoux, wtrą-
cony do więzienia za czytanie ksiązek zakazanych,
dęczoney i katowaney z powodu milczenia, wołał po-
zbawić się życia, niż w ręce katów wydać towarzy-
szy. Więc barłóg, który mu służył za posłanie, pod-
palił, poczem rzucił się na płonąącą słomę i zginął bo-
hatersko w płomieniach.

Religja katolicka, którą car obiecywał otoczyć
swoją opieką, na każdym kroku była szykanowana,
a na Litwie i Rusi najstraszniejszymi prześladowania-
mi ścigano unitów. Ksiądz Józef Siemaszko, zdrajca
i przedawczyk, wyniesiony na godność biskupa, pod-
pisał w r. 1839 akt zerwania unji i prosił cara o zjed-

noczenie obrządku unickiego z cerkwią prawosławną. Pod aktem odstępstwa zebrano 1.300 podpisów, a car, czyniąc prośbie zadość, nakazał na Litwie i Rusi skasować obrządek grecko-unicki. Ale lud, przywiązany do unji, nie poszedł za przykładem zdrajcy-biskupa. Wtedy Siemaszko przemocą postanowił celu swego dopiąć. Dzielny pasterz zapoczątkował zbrojne wyprawy przeciw swoim owieczkom. Strumieniami popłynęła krew opornych, tysiące męczenników stworzyła gorliwość okrutnych apostołów prawosławia.

Cios za ciosem sypał się na Polaków, a Litwa i Ruś stały się terenem najokropniejszych gwałtów. Z woli Mikołaja 45.000 rodzin drobnej szlachty polskiej, osiadłej w gubernjach litewsko-ruskich, zagnano w dalekie stepy nadwożańskie, besarabskie, kubańskie.

Naród polski, prześladowany na całym obszarze państwa rosyjskiego, pogrążony był w ustawicznej niepewności jutra, żył w beznadziejności i lęku. Posępna noc mikołajowska rozpostarła się nad nieszczęsnym krajem.

Ale na emigracji, pod obcym niebem, rozwijała się patryjotyczna myśl polska, ożywiona ideami wolności i demokratyzmu, które głośny tryumf święciły we Francji ówczesnej. Na dalekiej ziemi rozbrzmiewała rewolucyjna pieśń Mickiewicza, dźwięczały mocno natchnione słowa Słowackiego i Krasińskiego, tworzyły się sprzysiężenia i towarzystwa, których celem była walka z ciemnizcami Polski.

Dwoma strumieniami płynęła myśl polska na emigracji.

Wychodźcy, pogrążeni w rozpamiętywaniu ubiegłych wypadków, przedewszystkiem szukali przyczy-

ny klęski, którą poniosło powstanie listopadowe. Jedni widzieli tę przyczynę w obojętności gabinetów europejskich, drudzy upadek powstania przypisywali egoizmowi szlachty, która, zasiadając w Sejmie, naczelnej władzy w epoce rewolucji, nie przeprowadziła uwłaszczenia włościan, co, jak twierdzono, na widowinę walki rzucić mogło miljonowe masy włościańskie.

Pierwszy odłam, hołdujący zasadom zachowawczym, starał się zyskać dla sprawy polskiej rządu francuski i angielski, wzbudzić wśród innych gabinetów sympatję dla Polski i drogą zabiegów dyplomatycznych odzyskać to, czego własnymi siłami nie zdołało osiągnąć powstanie. Książę Adam Czartoryski, najwybitniejszy przedstawiciel tego obozu, opierając się na traktatach Kongresu Wiedeńskiego, niezłomnie pracował nad wywołaniem interwencji europejskiej na rzecz nieszczęsnego narodu.

Przeciwny tej dyplomacji obóz demokratyczny, złożony z żywiołów energicznych, gorących i zapalnych, z oburzeniem traktował politykę, domagającą się praw dla narodu na podstawie traktatu wiedeńskiego, stał mocno przy idei odbudowania Polski niepodległej w granicach przedrozbiorowych, a przejęty ideami wolnościowymi, głosił, że jedynie miljonowe masy ludu polskiego stanowią siłę, zdolną celów wywalczyć. Jakoż wszechwładztwo ludu było naczelną zasadą patryjotów, skupionych pod sztandarem T-wa Demokratycznego.

W manifestie Towarzystwa, wydanym w r. 1836-ym, czytamy:

„Jeżeli nowe powstanie nie ma być smutnym dawnym powtórzeniem, pierwszym do boju hasłem po-

winno być: usamowolnienie ludu, oddanie wydartej mu ziemi na własność, wrócenie praw, powołanie do używania korzyści niepodległego bytu — wszystkich bez różnicy wyznań i rodów”...

Niektórzy z wygnańców, nie mogąc zadowolić się agitacją wśród współtułaczów, postanowili przedrzeć się do kraju i rozwinąć na ziemi polskiej sztandar demokratyczny, w przekonaniu, że pod tym sztandarem skupi się lud wiejski i pójdzie do walki z Rosją. Jakoż w roku 1833-im jeden z energicznych i ruchliwych emigrantów, Józef Zaliwski przedsięwziął zbrojną do Polski wyprawę. Nieliczne a źle uzbrojone oddziały spiskowców, nie znalazłszy spodziewanego wśród ludności oparcia, błąkały się po lasach, znosząc głód i zimno. Przedsięwzięcie nie udało się i udać się nie mogło. Lud nie był przygotowany do zbrojnego ruchu, a inteligencja, zakuta w kajdany rządów paskiewiczowskich, bądź drżała na myśl o nowych aktach zemsty, bądź widząc niepodobieństwo nowego powstania, nie poparła ryzykownych usiłowań. Zaliwski, uszedłszy do Galicji, wtrącony został do więzienia przez władze austrijackie, inni, pochwycony przez wojska rosyjskie, życiem przypłacili nie mającą najmniejszych widoków powodzenia wyprawę. W Królestwie opinja opłakiwała szczególnie młodzieńczego Artura Zawisę, który, stanąwszy przed szubienicą, miał wyrzec te pamiętne słowa:

— Gdybym miał sto razy rozpoczynać życie, sto razy ofiarowałbym je ojczyźnie.

Na Litwie stracony został również Michał Wołowicz, młodzieniec najpiękniejsze rokujący nadzieje.

Spółceństwo współczuło nieszczęsnym ofiarom, ale mając dobrze w pamięci klęskę i następstwa po-

wstania listopadowego, nie mogło uwierzyć w pomyslny rezultat nowej rewolucji, rozpoczynanej w obezwładnionym kraju przez garstkę ludzi, nie mających ni środków, ni oparcia w szerszych kołach ludności.

Natomiast Mikołaj z niepokojem śledził działalność emigracji. Potężny car, mający do swego rozporządzenia olbrzymią armję, niejednokrotnie z dreszczem trwogi myślał o knowaniach polskich za granicą i w listach do Paskiewicza dawał wyraz swoim obawom. W roku 1832-im na znak gniewu carskiego zaczęto budować w Warszawie cytadelę, a dyplomacja rosyjska czyniła ze swej strony wszystko, by i we Francji uniemożliwić swobodę działania tułaczom. We wrześniu roku 1833-go odbył się w München-Graetz w Czechach zjazd, w którym obok cara wzięli udział cesarz austrijski i król pruski. Na zjeździe tym wszyscy trzej monarchowie postanowili wspomagać się wzajemnie w walce z usiłowaniami Polaków, a jednocześnie powrozami swojej opieki skrępować mocniej Rzeczpospolitą krakowską.

Skutki zjazdu dały się odczuć niebawem na wszystkich ziemiach polskich.

W Poznańskiem na całej linii zatryumfowała polityka germanizacyjna. Rząd pruski jawnie dążył do odebrania Polakom resztki praw, które im przysługiwały i do zubożenia ekonomicznego ludności polskiej. Po śmierci ks. Radziwiłła zniesiony został urząd namiestnika. Władza naczelna przeszła w ręce nadprezydenta, a Wielkie Księstwo Poznańskie zwać się zaczęło oficjalnie prowincją poznańską. Specjalna komisja zajęła się energicznie wykupywaniem ziemi z rąk polskich. Samorząd miejski poddano kontroli

urzędników niemieckich, ludność pozbawiono prawa wybierania landratów.

I w Galicji posypały się represje na wzór rosyjski. Cenzura święciła istne orgje, a tropieniu spisków towarzyszyły rewizje i areszty. Nędzę chłopu galicyjskiego wyzyskiwał rząd austrijacki, jako środka agitacyjnego przeciw dworom i ze świadomą złą wola w celach antynarodowych powiększał istniejącą przepaść pomiędzy masami włościańskimi a szlachtą.

W roku 1836-ym wojska austrijackie zajęły Kraków. Losy Rzeczypospolitej zostały rozstrzygnięte, acz nieporozumienia między Austrią a Prusami utrzymały jeszcze czas jakiś maleńkie państewko przy życiu.

W ten sposób we wszystkich trzech zaborach naród polski skazany został na śmierć i zagładę. Żelazna pięść Mikołaja, jak topór kata zawisła nad całą Polską. Jakoż życie polskie pod wpływem okropnych prześladowań skurczyło się, zbladło, płynęło w kraju łożyskiem wążkiem i płytkiem. Postępowanie cara było miarą tego, czego naród może oczekiwać w przyszłości. W roku 1833-im Mikołaj, przejeżdżając przez Królestwo, zatrzymał się w Modlinie, przezwanym Nowogeorgiewskiem. Warszawę na dowód swej niełaski ominął. W roku następnym zamieszkał w cytadeli. W roku 1835-ym przyjmując w pałacu łązienkowskim grono obywateli polskich, powitał ich szyderstwem i groźbą...

— „Wiem, panowie, — powiedział car, — że chcecie do mnie przemówić, znam nawet treść waszej mowy i tylko dla oszczędzenia wam kłamstwa nie życzę sobie tego. Tak, panowie, dla oszczędzenia

wam kłamstwa, wiem bowiem, że uczucia wasze nie są takie, jakie chcieliście mi przedstawić“...

W dalszym ciągu mówił car, że poprzednik jego, Aleksander zrobił dla Polaków więcej, niż car rosyjski uczynić był powinien, że Polacy odplacili mu za to najczarniejszą niewdzięcznością. I unosząc się coraz większym gniewem, zawołał:

— Panowie! trzeba czynów, a nie słów. Trzeba, by żal pochodził stąd...

Tu car rękę przycisnął do serca, poczem tym samym gniewnym i brutalnym tonem tak ciągnął:

— „Nie mam do was urazy i czynić będę wam dobrze pomimo was. Feldmarszałek, który tu stoi, wykonywa me zamiary, popiera me widoki i myśli także o waszym dobrobycie“.

Na te słowa obywatele skłonili się Paskiewiczowi, a to poruszenie nową obelgę ściągnęło na ich głowę. Mikołaj wzburzony zawołał:

— „Co znaczą te ukłony, panowie!? Nic zgoła. Przedewszystkiem trzeba spełniać swe obowiązki, trzeba postępować, jak ludzie uczciwi... Jeżeli upierać się będziecie przy waszych marzeniach o odrębnej narodowości, o Polsce niepodległej i przy wszystkich tych złudzeniach, ściągniecie na siebie wielkie nieszczęścia. Kazałem tu zbudować cytadelę Aleksandryjską i oświadczam wam, że przy najmniejszym zaburzeniu każę miasto zbombardować, zniszczę Warszawę i z pewnością nie ja ją odbuduję!“...

Na zakończenie, jak krwawe szyderstwo zabrzmiały słowa, w których car oświadczał, że prawdziwym szczęściem jest należenie do państwa rosyjskiego i że on, Mikołaj, otoczy swoją troskliwością Polaków,

byle tylko wychowywali swe dzieci w wierności dla monarchy *).

Ta drapieżna mowa, doskonale malująca usposobienie Mikołaja dla Polaków, szeroko rozeszła się po Europie i w całym świecie cywilizowanym wywołała oburzenie. Ale car kontent był ze swojego dzieła i w listach do Paskiewicza chełpił się wrażeniem, jakie mowa jego wywarła w Petersburgu.

— „Moje komplementa, — pisał cynicznie, — wywarły, jak się zdaje, na Polaków pożądanе wrażenie. Tutaj prawdziwy zachwyт. Oczekuję na nowe wymyślenia po dziennikach zagranicznych“...

Jakoż nie długo na nie czekał. Liberalne gazety francuskie i angielskie, za sprawą emigrantów polskich, podniosły krzyk i wyraziły ubolewanie nad straszną dolą ujarzmionej Polski.

A emigracja pomimo prześladowań, jakimi za poduszczeniem Rosji ścigały ją rządy europejskie, pomimo gróźb carskich, pomimo przygnębienia kraju, nie ustawała w działaniach. Jej pisma i propaganda przewyciężały wszystkie trudności i przenikały na ziemię ojczystą. Poezje wieszczów w niezliczonych odpisach krążyły po wszystkich zakątkach Polski, a nowe pokolenie kształciło się na tej poezji i w głębi swojego serca czciło te same ideały, które uzbroiły w swoim czasie ręce ojców i praojców. Emigracja polska była dzwonem, który w posepną noc mikołajowską dzwonił na trwogę i z ciężkiego przygnębienia budził społeczeństwo. Okropny koniec wyprawy Zaliwskiego nie zniechęcił emigracji demokratycznej do podjęcia prób nowych. Pod wpływem Młodej

*) Mowa ta znana jest w kilku tekstach, acz treść jest jedna i ta sama. Tekst przytoczony podany został według Szczerbatowa.

Polski, utworzonej w r. 1834-ym w Szwajcarji, a stanowiącej składową część rewolucyjnej organizacji międzynarodowej Młodej Europy, powstało w zaborze austryjackim Stowarzyszenie Ludu Polskiego, którego głównym działaczem w Galicji był znakomity poeta i nieustrudzony działacz, Seweryn Goszczyński. Organizacja ta, nie poprzestając na działalności w Galicji, postanowiła rozwinąć agitację i w zaborze rosyjskim. Dzieła tego podjął się Szymon Konarski, płomienny entuzjasta, patryjota niezwykłej energii i poświęcenia. Konarski przedarł się przez kordony i rozpoczął nieustrudzoną pracę na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, a później na Litwie. Schwycony przez policję w pobliżu Wilna, wtrącony został do więzienia i po torturach śledztwa rosyjskiego rozstrzelany w r. 1839-ym na Pohulance, przedmieściu wileńskim. Mnóstwo osób, którym udowodniono stosunki z Konarskim, wtrącono do więzień lub zawleczono w kajdanach na Sybir.

I w Królestwie agitacja Stowarzyszenia Ludu Polskiego skończyła się aresztami oraz katorgą dla główniejszych działaczy. Los Świątokrzyżców, bo tak nazwali się spiskowi od domu, w którym odbywali narady, a który należał do kościoła św. Krzyża, rzucił popłoch na przerażone i zgnębione rządami Paskiewicza społeczeństwo polskie.

W roku 1844-ym policja wpadła na trop nowego spisku, który wśród chłopów na południu Królestwa utworzył ksiądz Ściegienny. Spisek ten miał na celu walkę z caratem, wyzwolenie ziemi polskiej i utworzenie polskiej republiki ludowej na podstawach socjalistycznych. Ściegienny, ujęty skutkiem denuncjacji, skazany został na śmierć przez powieszenie, a później

„w drodze łaski” zesłany do kopalń sybirskich. Chłopów-spiskowców niemiłosiernie skatowano kijami, następnie, bądź wcielono do wojska rosyjskiego, bądź zesłano do katoggi.

Pod wpływem takich wypadków w społeczeństwie, widzącem krwawe ofiary i niepowodzenie działań rewolucyjnych, wzmagало się przygnębienie i górę brała reakcja. Mimo to emisariusze emigracyjni w dalszym ciągu odwiedzali kraj i wśród popiołów zniechęcenia starali się rozdmuchać iskry woli i czynu. Wyśłańcy ci przynosili z sobą wielki zapal i wielką wiarę w świętość sprawy, której się oddali, porywali wrażliwsze jednostki energją i gotowością do wszelkich poświęceń.

W roku 1845-ym powstał nowy spisek, który jednocześnie miał wywołać powstanie we wszystkich trzech zaborach. Na wodza naczelnego przeznaczony został Ludwik Mierosławski, jeden z najczynniejszych na emigracji działaczy, oficer wojsk polskich w r. 1831-ym, człowiek bystry, energiczny, żądny władzy i sławy. Czerwony demokrat, nieubłagany krytyk władz kierowniczych i wodzów w powstaniu listopadowym, znakomity mówca i niepośledni pisarz, posiadał umysł rzutki, fantastyczny, umiał imponować młodzieży i do żywego rozpalać jej wyobraźnię. Sprawa powstania posunięta była tak daleko, że Mierosławski zjechał już do Poznania, by pokierować akcją. Ale władze pruskie udaremniły wybuch. Mierosławski został uwięziony. Jednocześnie aresztowano wszystkich główniejszych działaczy i w ten sposób w zaborze pruskim powstanie do skutku nie doszło.

Ale usiłowania emigracji nie pozostały bez skutku. W roku 1846-ym wybuchło powstanie w Galicji, pamiętne przedewszystkiem straszną rzezią, którą zbrodnico sprowokował rząd austryjacki, rzucając ciemne masy chłopskie przeciw szlachcie. W dwa lata później, podczas „wiosny ludów“, porwało się do broni Poznańskie, a w Krakowie i Lwowie doszło do krwawych z wojskiem austryjackiem utarczek. Gdy cały zachód Europy stanął w ogniu rewolucji, i Polska szczękiem broni przypomniała się światu. Nie tylko w Poznańskim i w Galicji, ale na barykadach niemal wszystkich miast europejskich, ogarniętych pożarem rewolucji, walczyli Polacy, a udziałem w powstaniu węgierskiem wielką w sferach rewolucyjnych Europy okryli się sławą. Tylko zabór rosyjski przetrwał milcząco i nieruchomo krwawą zawieruchę. Mikołaj, zatopiwszy bagniet moskiewski w piersi narodu węgierskiego, zadał ostateczny cios sprawie wolności europejskiej. Zdawać się mogło, że pod tyrańskimi rządami cara społeczeństwo polskie zaczyna godzić się ze swoim losem, że w tym zaborze wysycha źródło dążeń narodowych, że mimo agitacji i spisków nic już spokoju zamącić nie zdoła.

Tymczasem w kilka lat po uśmierzeniu rewolucji 1848-go roku zaszedł wypadek, który wstrząsnął Europą. Oto w roku 1853-im Rosja rozpoczęła wojnę z Turcją, a Anglja i Francja w obawie przed wzrostem potęgi carskiej stanęły po stronie Turcji i na morze Czarne wysłały swe floty. Nie brak było polityków polskich, którzy zrozumieli doniosłość tego wydarzenia dla sprawy narodowej i zabór rosyjski starali się popchnąć do czynu przeciw Rosji. Ale emigracja utraciła już w kraju swoje wpływy, a spo-

leczeństwo, acz okoliczności zewnętrzne sprzyjały powstaniu, dalekie było od wszelkiej myśli o czynnem wystąpieniu.

Tymczasem na placu boju siły rosyjskie ciągle ponosiły klęski. Rozwiewał się w Europie urok niezwalczonej rzekomo potęgi caratu i bladła gwiazda Mikołaja.

Ponury car czuł, że grunt chwieje się pod jego żelaznymi stopami, że kajdany, któremi potrzasał i groził ludom Europy, wysuwają mu się z ręki, że pod wpływem ciosów wojennych rozpada się i pęka odbudowany przez niego gmach despotyzmu, z którego, jak z cytadeli, wygrażać mógł całemu światu. Więc z trwogą zatapiał posępne oczy w nieznaną przyszłość, wylaniającą się z dymów bojowych pod oblężonym Sewastopolem. Trawiony zgryzotą, patrzeć musiał na klęski swej armji, zapomocą której miał utrzymać „ład i spokój“ w Europie. Niespodziewana śmierć w dniu 2 marca 1855 roku położyła kres jego zgryzotom, a zarazem kres wojnie, którą wszczął nieopatrznie, a która poderwała przesadzoną opinię o potędze caratu.

Na wieść o zgonie tyrana wszystkie ludy, poddane jego nieubłaganym rządóm, odetchnęły z ulgą. Radosne uczucie ogarnęło inteligencję rosyjską, która skroś ciemności długiej nocy ujrzała wstający świt nowego życia. I w Polsce zgon Mikołaja ogromne uczynił wrażenie. A wrażenie to spotęgowało się jeszcze, gdy w roku następnym umarł drugi z katów Polski, feldmarszałek Paskiewicz. Zgon dwóch ludzi, którzy w ciągu ćwierćwiecza najokrutniejszych chwyтали się środków, by zabić dążenia narodowe Polaków, wyrwał z letargu społeczeństwo. Na ciem-

nem niebie polskiem zapaliła się jutrznia nadziei — i w wyziębione serca polskie wstąpiła otucha.

Kongres paryski w całym kraju wywołał ogromne ożywienie. Wierzono, że dyplomacja europejska wykorzysta klęskę Rosji i podniesie sprawę polską, a wiara w cesarza Francuzów, Napoleona III, była tak wielka, że przypisywano mu nawet zamiary odbudowania niepodległej Polski. Ale rząd Napoleona daleki był od takich zamiarów. Zarówno Francja, jak Anglja zadowolili się poufnem oświadczeniem pełnomocnika rosyjskiego, że nowy car, Aleksander II, najlepiej usposobiony dla Polaków, zamierza poważne reformy przeprowadzić w Królestwie. Sprawa polska nie weszła nawet na porządek dzienny obrad kongresowych: gabinety europejskie zajęte były innymi sprawami.

Ale kongres, przykuwając do siebie uwagę opinii polskiej, zbudził i w Królestwie myśl polityczną z długiego uspienia. Społeczeństwo, odzwyczajone od wszelkiej polityki, zestrachane i zgnębione rządami Paskiewicza, zaczęło zastanawiać się nad własną przyszłością i myśleć o polepszeniu swojego losu. Obudzone nadzieje, acz jaskrawo przeczyła im rzeczywistość, nie dały się z serc polskich wytrawić. Gdy traktat paryski, jako wynik przetargów międzynarodowych, podany został do wiadomości publicznej, gdy przekonano się, że traktat ten sprawy polskiej nie porusza, uwierzono w pogłoskę, że obok jawnych artykułów traktatu istnieją jeszcze tajemne i że te właśnie losów narodu polskiego dotyczą. To znowu łudzono się, że Aleksander II pragnie zerwać z polityką swojego ojca, że zamierza obdarzyć Rosję konstytucją, a w Królestwie powrócić stan rzeczy, który utrwalił po Kongresie Wiedeńskim Aleksander I.

Tymczasem nowy car, wstępując na tron, wydał manifest, w którym ogłosił światu, że iść będzie drogą, wytkniętą przez Katarzynę i Mikołaja. Złowroga to była zapowiedź. Jednakże do zapowiedzi tej nie przywiązywano większego znaczenia. Wbrew wszelkim oświadczeniom, w całym państwie rosyjskiem przypisywano nowemu carowi liberalne intencje, wierzone, że jego rządy przyniosą poważne zmiany, że w dziejach poddanych władztwu carskiemu ludów rozpocznie się doba swobody i sprawiedliwości.

I w Polsce pogłoski te znajdowały wiarę. Nominacja nowego namiestnika utwierdziła społeczeństwo w przekonaniu, że nowe rządy zaczynają się w kraju. Na stanowisko po brutalnym a okrutnym Paskiewiczu powołany został naczelny wódz armji rosyjskiej w ostatniej wojnie, książę Gorczakow, arystokrata o wytwornych formach Europejczyka, człowiek łagodny, słaby, niezdecydowany. Nominacja ta zdawała się świadczyć, że minęła epoka ucisku, że katowski obuch Paskiewicza, ciężący nad krajem, zastąpi władza o charakterze europejskim.

Na wieść o tej nominacji społeczeństwo odetchnęło z ulgą.

Niepoprawni marzyciele polityczni oddali się rozkosznym złudzeniom. Jak ongi w Aleksandrze I widziano wskrzesiciela i dobroczyńcę Polski, tak obecnie w polityce nowego cara, noszącego to samo imię, dopatrywano się niczem nieuzasadnionych intencji i zamiarów.

Nagle wśród społeczeństwa, rozkołysanego słodkiem marzeniem, rozeszła się wieść, że nowy car w maju 1856 roku przyjechać ma do Warszawy.

Wieść ta zelektryzowała kraj cały.

II.

NADZIEJE I ZAWODY. ANDRZEJ ZAMOYSKI.

Na przyjęcie Aleksandra zjechali się do Warszawy marszałkowie szlachty, stawiło się grono dostojników świeckich i duchownych, przybyło mnóstwo obywateli ziemskich ze wszystkich stron kraju. Zjazd był olbrzymi. W całym mieście zapanowało niebywałe ożywienie, wszędzie znać było przygotowania do przyjęcia cara, o którego zamiarach względem Polaków nie przestawały krążyć fantastyczne wieści.

Nadszedł wreszcie dzień oczekiwany.

Olbrzymie tłumy wyległy na ulice, by powitać potężnego władcę. Późnym wieczorem ukazał się powóz, wiozący Aleksandra. Na widok człowieka, od którego zależały dalsze losy kraju, a któremu przypisywano wspaniałomyślne intencje, publiczność nie szczędziła oznak życzliwości. Od rogatek moskiewskich na Pradze aż do Belwederu objęły się o uszy cara grzmiące wiwaty podnieconej nadziejami ludności. A że wjazd odbywał się wieczorem, więc rzęsiła iluminacja zapłonęła w mieście. Śród hucznych okrzyków, w powodzi światła posuwał się powóz car-

ski przez ulice Warszawy. Zdawać się mogło, powiada ironicznie historyk rosyjski, Berg, że „do swojej stolicy wjeżdżał jakiś zmartwychwskrzeszony Piast lub Jagiellończyk”. Ironji tej dziwić się nie można, gdyż do starej Polski stolicy wjeżdżał nieodrodny syn Mikołaja, spadkobierca carów, którzy w ciągu całych stuleci pracowali nad zgubą narodu. Przeniknięty temi tradycjami, młody car ani myślał o spełnieniu pokładanych w nim nadziei. Więc nie zgodził się na przyjęcie adresu, który mu wręczyć zamierzano, a nazajutrz po przyjeździe, przyjmując w pałacu belwederskim marszałków szlachty, urzędników i duchowieństwo, wygłosił przemówienie, w którym zadźwięczały te same struny i ten sam ton, jakim przemawiał do Polaków Mikołaj.

Ku wielkiemu rozczarowaniu słuchaczy oświadczył Aleksander, że Polacy są równie bliscy jego sercu, jak Finlandczycy i inni poddani, że względem Polski żywi najlepsze zamiary, że jednak porządek, ustalony przez Mikołaja, niczem nie może być naruszony.

— Precz z marzeniami! precz z marzeniami, panowie! *) — napominał car i zapewniał, że wszelkie marzenia potrafi poskromić, że pomyślność Polski leży w ścisłym zjednoczeniu się z Rosją, że wszystko, co uczynił Mikołaj, uczynił dobrze, że rządy jego, Aleksandra, będą dalszym ciągiem rządów mikołajowskich.

Zdawać się mogło, że te słowa staną się zimną wodą, która ostudzi gorączkę głów polskich i opa-

*) Mowa była wygłoszona w języku francuskim. „Point de réveries! point de réveries, messieurs!” brzmiało słynne wyrażenie Aleksandra.

mięta stolicę. Mowa istotnie przygnębiające uczyniła wrażenie, ale nie wywołała zmiany w przychylnem dla cara usposobieniu Warszawy. Ulica w dalszym ciągu witała go okrzykami zapału, a 25 maja na balu, wydanym w pałacu namiestnikowskim przez szlachtę polską dla „króla polskiego“, car najserdeczniejszego doznał przyjęcia. Przy wejściu do pałacu, obok Gorczakowa i dygnitarzy moskiewskich, witali despotę magnaci polscy, a szlachta, rozstawiona dwoma szpalerami, wniosła na jego cześć rozgłośny okrzyk: niech żyje!.. U głównych drzwi sali balowej panie polskie z wyższego towarzystwa, ustrojone w białe toalety, obdarzyły monarchę kwiatami. Bal udał się wybornie. Car był ożywiony, wesół, przystępny, ochoczo nadskakiwał damom. Więc chwalono jego uprzejmość, cieszą się jego zadowoleniem. Ale na-
zajutrz też sama szlachta, przyjęta w pałacu łazienkowskim, surowe usłyszała napomnienie.

Po raz wtóry przekonywali się Polacy, jak nieusprawiedliwione były ich nadzieje. Wprawdzie tym razem car nadmieniał, że udzieli amnestji wychodźcom, ale zaraz dodał, że Polacy powinni dołożyć starań, by jego dobre zamiary mogły się urzeczywistnić, by nie był zmuszony powściągać i karać. Zapewniał, że znajdzie w sobie dość siły, aby w karaniu być stanowczym.

Jan Jezierski, dawny poseł sejmowy, człowiek znany ze swojej lojalności, chciał odpowiedzieć na to przemówienie, ale Aleksander nie dał mu dojść do słowa. Powtórzywszy raz jeszcze, że potrafi w razie potrzeby srogo ukarać winnych, rzucił wyniosłe:

— Żegnam was, panowie!..

Więc szlachta opuściła pałac. Wychodziła z Łazienek zmartwiona i rozczarowana. Dwukrotne przypomnienie o surowych karach było dla tych ludzi spokojnych i lojalnych groźbą niezrozumiałą, ale nie wytrzeźwiło umysłów.

Społeczeństwo w dalszym ciągu oczekiwało ustępstw. Tymczasem w myśl zapowiedzi carskich system rządzenia nie uległ zmianie, a chociaż rządy stały się łagodniejsze i sprawiedliwsze, duch mikołajowski głęboko tkwił jeszcze we wszystkich zarządzeniach. Nawet ukaz amnestyjny, tym duchem przesycony, zawierał krzywdzące patryjotów kłamstwa, stwierdzał bowiem, że emigranci podawali liczne prośby o pozwolenie na powrót do kraju i wynurzali swój żal za „chwilowe obłąkanie“. Wprawdzie wśród tysięcy wychodźców znalazły się jednostki, jak słynny Adam hr. Gurowski, które zdolne były do takich wynurzeń, ale uogólnianie poszczególnych faktów było i kłamstwem, i obelgą, wymierzoną pod adresem nieszczęśliwych rozbitków burzy listopadowej.

Jakoż emigracja we Francji napiętnowała sam akt amnestji. Nawet zachowawczy obóz ks. Czartoryskiego wystąpił z protestacją i odrzucił łaskę carską w słowach pełnych pogardy. Z takiej amnestji nie skorzystał nikt z wybitniejszych patryjotów, co w roku 1831-ym ruszyli na tułactwo. Mniej oporni okazali się ci, co wyemigrowali z kraju po wypadkach w latach 1846 i 1848-ym oraz ci, których rządy Mikołaja zagnały w głąb Rosji lub na Sybir.

Poza tą amnestją nic nie świadczyło, by Aleksander chciał w stosunku do Polaków urzeczywistnić swoje „najlepsze zamiary“.

Nowy namiestnik był przeciwnikiem teroru, ale za to pierwszą po nim osobą w Królestwie stał się Paweł Muchanow, typowy działacz rosyjski ze szkoły Mikołaja i Paskiewicza, wysunięty przez Górczakowa na stanowisko dyrektora komisji spraw wewnętrznych. Muchanow, jako pomocnik kuratora okręgu naukowego warszawskiego, a później, jako kurator, zasłynął swoją działalnością niszczycielską, wydoskonaleniem w szkole systemu denuncjacji i szpiegostwa, świadomym szerzeniem wśród młodzieży zepsucia i demoralizacji. Podobnie jak Paskiewicz, dygnitarz ten nienawidził Polaków, a pięść i nahajkę uważał za najodpowiedniejszy sposób zarządzania Królestwem.

A jednak pomimo najszczerzych chęci Aleksandra, by w polityce kroczyć śladem okrutnego Mikołaja, pomimo usposobienia dygnitarzy rosyjskich w rodzaju Muchanowa, rozluźniały się więzy, którymi w ciągu lat 25 skrępowane było społeczeństwo polskie. A przyczyną tego zjawiska był wiatr liberalizmu, który skutkiem klęsk w ostatniej wojnie powiał po olbrzymich przestrzeniach państwa rosyjskiego i we wszystkich sferach, bo nawet w najbliższym otoczeniu nowego cara, utrwalił przekonanie, że systemem mikołajowskim dłużej rządzić nie można, gdyż system ten podkopał potęgę mocarstwową Rosji.

Pod wpływem takiego przekonania w całym imperjum, a więc i w Królestwie, ustawały krzyczące nadużycia i gwałty. Sam car pozwolił na wydanie w Warszawie niektórych pism Mickiewicza, którego nazwiska nie pozwalała dotąd wymieniać cenzura, a fakt ten świadczył, że rozpoczyna działać siła, potężniejsza nad władzę największego w Europie despoty. Dzięki tej sile złagodniała cenzura, a posiadanie pism

niedozwolonych przestało być zbrodnią, za którą niedawno groziło więzienie i Sybir.

Pustoszała zwolna cytadela, ustawały areszty.

W październiku 1857 r. otwarta została w Warszawie Cesarsko-Królewska Akademia Medyko-Chirurgiczna. Wprawdzie inteligencja czyniła starania, aby powołać do życia uniwersytet, ale Muchanow stanowczo się temu sprzeciwił. Uniwersytet, skupiający w swych murach młodzież polską z różnych stron kraju, przedstawiał się temu dygnitarzowi, jako siedlisko sprzysiężeń i spisków, jako widmo rewolucyjne, zagrażające spokojowi świata.

— Trzeba będzie wtedy zbudować drugą cytadelę, — twierdził Muchanow.

Ale w kraju, pozbawionym wyższych zakładów naukowych, i Akademia była bardzo poważną zdobyczą. Młodzież tłumnie rzuciła się do nowej uczelni. Nie był to bynajmniej zapal dla medycyny, lecz pragnienie szerszego życia i atmosfery akademickiej.

Współcześnie nastąpiła reorganizacja gimnazjów filologicznych. Przekształcony został również Instytut agronomiczny w Marymoncie dzięki nowej a zgodniejszej z duchem czasu ustawie.

W kwietniu r. 1858-go zniesiony został stan wojenny, trwający w Królestwie od czasów uśmierzenia powstania listopadowego, a choć na miejsce naczelników wojennych w miastach gubernjalnych ustanowiono komendantów, mających prawa dawnych naczelników, fakt ten wobec nowych prądów nie był bez dodatniego znaczenia. W tymże roku pocztę w Królestwie, pozostającą pod władzą głównego zarządu poczt w Petersburgu, oddano pod zawiadywa-

nie Rady Administracyjnej Królestwa. Język rosyjski w tym urzędzie zastąpiony został językiem polskim.

Na Litwie w trzech gubernjach: wileńskiej, grodzieńskiej i kowieńskiej, zezwolono na wprowadzenie do szkół języka polskiego.

Dzięki tym nieznacznym ustępstwom, życie polskie w zaborze rosyjskim zaczęło układać się znośniej. Spodziewano się nowych ulg i nowe nadzieje wiązano z imieniem Aleksandra. Jakoż gdy w październiku 1857 r. car znowu przyjechał do Warszawy, i tym razem doznał tak gorącego przyjęcia, że sam mówił, iż nawet w sercu Rosji, w przastarej Moskwie, nie był serdeczniej witany. Takiegoż samego przyjęcia doznał w następnym roku na Litwie, acz już w Mińsku, przemawiając do szlachty, skarcił jej „lekomyślną i bezzasadną“ dążność do utrzymania „mnie-maniej narodowości polskiej“.

A sprawa Litwy, jej dola i jej przyszłość wiązana była nieodłącznie z przyszłością Królestwa. Połączenie obu krajów, przyrzeczone jeszcze przez Aleksandra I, było jednym z naczelných dążeń, które na sztandarze swoim wypisało powstanie listopadowe, było ideowym powstania tego spadkiem, było kwestją, nierozzerwalnie z rozwojem i bytem narodu polskiego złączoną. Ile razy w przeszłości podnosili Polacy sprawę narodu, tyle razy sprawa złączenia się z Litwą i Rusią stawała na porządku dziennym, jako sprawa, bez której zagadnienie polskie nie może być rozwiązane.

Już w roku 1831-ym była to najdrażliwsza dla cara Mikołaja kwestja. Następca jego również wybuchł gniewem na samą myśl o tej drażliwej dla caratu kwestji i gniewu swojego ani myślał taić.

Pomimo to i w Wilnie przygotowano carowi przyjęcie owacyjne, entuzjastyczne. Całe miasto, udekorowane przepysznie flagami, zielenią, dywanami, cyframi cesarskimi, szumiało radosnem upojeniem, drżało od wiwatów. Zatracono poczucie wszelkiej miary, zapomniano o godności. Pod wpływem strasznego zaślepienia grono osób uczyniło nawet krok haniebny, który zatrzęsł sumieniem ludzi niezdeprawowanych niewolą i w niezależnej opinii polskiej najokropniejsze wywołał oburzenie. Oto carowi, zwiedzającemu miasto, ofiarowano przed wejściem do Muzeum Starożytności przepyszne album, wydane staraniem Edwarda Odyńca, Ignacego Chodźki i Mikołaja Malinowskiego. W albumie tym poeta polski, towarzysz Mickiewicza, Odyniec, pomieścił na samym wstępie hymn p. t.: „Przyjdź Królestwo Boże!“ A w hymnie tym witał następcę Katarzyny i Mikołaja, jako prawego dziedzica tronu Jagiellonów, mianował go „panem narodów“ i „ojcem ludu“, wzywał zmarłe pokolenia, by w niebiosach poparły jego, poety polskiego, wołanie i sprawiły, aby pod berłem carskiem nastął początek „Królestwa Bożego na ziemi“. A Ignacy Chodźko pomieścił w Kurjerze Wileńskim artykuł, w którym pobyt cara w Wilnie nie zaważał się nazwać „chwilą od Boga dla Litwy zesłaną”...

Nie wszyscy przecież oddawali się złudzeniom, które zresztą sam Aleksander starał się rozwiać.

Jednakże i grono ludzi w Królestwie, nie podziwiających tych złudzeń, postanowiło wyzyskać prąd liberalny, idący z Petersburga, i stworzyć instytucję, która w kraju rolniczym ogromne mogła oddać usługi. Starania uwieńczone zostały pomyślnym skut-

kiem. Po uzyskaniu pozwolenia władzy, dnia 16 stycznia 1858 r. grono obywateli ziemskich uroczyście zawiązało Towarzystwo Rolnicze, a na prezesa nowej placówki społecznej powołało Andrzeja hr. Zamoyskiego.

Towarzystwo Rolnicze, acz zadania jego dotyczyły wyłącznie sfery interesów rolnych, miało w życiu całego kraju odegrać rolę bardzo poważną.

Prezes tej instytucji, Andrzej hr. Zamoyski był w owym czasie najpopularniejszą w społeczeństwie polskim postacią. Wykształceńsza szlachta uważała go za swojego wodza, za sztandar, koło którego skupiała się chętnie, a który ceniła wysoko.

Zamoyski, urodzony w roku 1800-ym, kształcił się w Genewie, a następnie w Edynburgu. Pobyt w Anglii pozwolił mu zapoznać się gruntownie z miejscowemi urządzeniami i wzbudził w nim zamiłowanie do angielszczyzny, do angielskiego sposobu życia i zwyczajów angielskich. Ta angielszczyzna wycisnęła na nim niezatarte piętno. Syn ordynata Stanisława, prezesa senatu za Aleksandra I, wnuk kanclerza Andrzeja, gorącego zwolennika przyznania szerokich praw obywatelskich mieszczanom i polepszenia doli ludu wiejskiego, miał dwóch braci, z których starszy, Konstanty, prawem pierworodztwa otrzymał ordynację, młodszy zaś Władysław, obrawszy karierę wojskową, odegrał, jako adjutant w. ks. Konstantego, pamiętną rolę w pierwszych dniach powstania listopadowego, a później zasłynął na emigracji, jako jeden z najwybitniejszych działaczy, skupiających się przy starym księciu Adamie Czartoryskim.

Andrzej Zamoyski po powrocie do kraju wszedł do służby publicznej w ministerstwie spraw we-

wewnętrznych. Po wybuchu powstania listopadowego zaangażował się do szeregów i brał udział w krwawej batalji na polach Grochowa. Później, jako agent Rządu Narodowego, wysyłany był do Wiednia w misji dyplomatycznej. Po upadku Warszawy nie wyruszył na tułactwo, lecz zdobył się na krok ryzykowny i, stanąwszy w stolicy po powrocie z Wiednia, zameldował się Paskiewiczowi. Satrapa, uprzedzony o roli, jaką Zamoyski odgrywał, zdumiony był jego śmiałością. W pierwszej chwili, na widok stojącego przed nim agenta Rządu Narodowego, wybuchnął gniewem i zagroził hrabiemu, że rozstrzelać go każe. Ale upamiętał się i zuchwałemu magnatowi rozkazał wyjechać do siebie na wieś.

Jakoż Zamoyski wyjechał do dóbr swoich w Lubelskie i w Klemensowie, zbytkowej rezydencji wielkopańskiej, oddał się pracy na roli. W ciszy wiejskiej, zdala od wrzawy emigracyjnej, nie mieszając się do przedsięwzięć powstańczych, które krwawym błyskiem rozświetlały ponurą noc paskiewiczowską, Zamoyski wypracował sobie program działania na chwilę bieżącą i program ten zaczął wcielać w życie. Był to program ściśle dostosowany do położenia swojego twórcy, jedyny, na jaki mógł się zdobyć magnat, żywiący głęboką niechęć do wszelkich spisków, a nie wierzący w dyplomatyczną działalność ks. Czartoryskiego.

Zamoyski nie wyrzekał się niczego. Ideałem jego była Polska niepodległa w granicach przedrozbiorowych, ale ideał ten, zawieszony w błękitach, był raczej tęsknotą serca, niż wskazaniem politycznym. Albowiem dróg, wiodących do tego ideału, Zamoyski nie wskazywał i, rzecz wątpliwa, czy sam kiedykolwiek

wiek je widział. Głosił on natomiast, że niema tak ciężkiego położenia, w którym dla kraju nic zrobić nie można. Nie godził się z apatją ogółu, twierdząc, że obywatel polski w każdej sytuacji obowiązany jest do czynu. A takim czynem, który siłami zbiorowemi podjąć należało, było w jego opinii podniesienie ekonomiczne kraju, nad którym przeciągnęła burza listopadowa ze strasznemi dla życia gospodarczego następstwami. Otóż ciężka, codzienna praca w granicach przez rząd dozwolonych, praca dźwigająca z ruiny rolnictwo, handel i przemysł, była najgłówniejszem zadaniem, ciężącym na społeczeństwie. Drugiem zadaniem, domagającym się rozwiązania, była kwestja włościańska, którą w ciągu stulecia zajmowały się najtęższe w Polsce umysły, a która ciągle stanowiła niezagojoną w organizmie narodowym ranę. W sprawie tej Zamoyski, wielki posiadacz ziemski, był zachowawcą: należał do przeciwników uwłaszczenia. W dobrach swoich oczynszował włościan na podstawie długoletniej dzierżawy i ten sposób uregulowania palącej kwestji uważał za najwłaściwszy.

W stosunku do rządu Zamoyski był przeciwnikiem nie tylko spisków, ale wogóle wszelkich działań nielegalnych. Zarazem przeciw najgoręcej wypowiadał się przeciw wchodzeniu w bliższe z władzami rosyjskimi stosunki, potępiał wszelką zebranię o Polskę, czy to zwróconą do gabinetów europejskich, czy też do rządu rosyjskiego. Było w takim postawieniu sprawy dużo dumy magnata, była jednocześnie wobec wstępu do walki na drodze nielegalnej rezygnacja ze wszelkiej polityki czynu, było czekanie na szczęśliwy los, który miał sprawić, że Polska, wzmożona ekonomicznie na siłach, bogata i kwitną-

ca, sama przez się odpadnie, „jak owoc dojrzały od drzewa rosyjskiego“.

Zgodnie z takimi poglądami Zamoyski zaczął skupiać wkoło siebie wybitniejszą szlachtę i jednać ją dla swojego programu. Jeszcze za czasów Paskiewicza zapraszał do siedziby swojej w Klemensowie wybitniejszych obywateli ziemskich ze wszystkich stron Królestwa. Z czasem raz do roku w miesiącach letnich odbywały się u hrabiego liczne zebrania, które szeroko zasłynęły w kraju. Uprzejmy i wykwintny gospodarz obwoził gości swoich po polach i folwarkach, pokazywał im nowe urządzenia gospodarcze, przepyszny inwentarz, sprowadzane z zagranicy narzędzia i maszyny rolnicze. Wieczorem w pałacu klemensowskim toczyły się ożywione dyskusje na temat spraw, związanych z gospodarką wiejską i kwestją włościańską. Zagadnień politycznych nie poruszano, a jeżeli podczas dyskusji zadźwięczała czasem nuta patryjotyczna, to zadźwięczała ostrożnie, dyskretnie.

Na szarem tle życia ówczesnego zjazdy klemensowskie zyskały sobie ogromną sławę. Wkoło Zamoyskiego coraz gromadniej zaczęli się skupiać ziemianie. Jego program spokojny, praktyczny, pełen dumy i nieszkodliwego marzycielstwa o Polsce „od morza do morza“, dogadzał szlachcie, od której nie żądał poświęceń i ofiar, a w drażliwej kwestji włościańskiej był bardzo umiarkowany.

Dziełem Zamoyskiego były również *Roczniki Gospodarstwa Krajowego*, czasopismo, poświęcone sprawom rolnictwa, zasilane przez szerokie koła współpracowników.

Dla ożywienia handlu zbożowego wszedł Zamoyski do spółki z niejakim Guizbertem, mającym od



ANDRZEJ Hr. ZAMOYSKI

rzędu monopol na zaprowadzenie żeglugi parowej, a następnie założył w Warszawie warsztaty dla budowy parowców i fabrykę narzędzi rolniczych. W ten sposób zetknął się ze sferami przemysłowemi, rozszerzył swoje wpływy, a choć przedsiębiorstwa, podejmowane w celach idealnych, nie wiodły się i przynosiły straty, spopularyzowały jeszcze bardziej nazwisko hr. Andrzeja i uczyniły z niego postać, owianą urokiem, a darzoną powszechną sympatją i szacunkiem. Sam fakt, że znalazł się człowiek, który w dobie ogólnej apatii i przygnębienia nie założył rąk bezczynnie, lecz tworzył, działał, skupiał wkoło siebie ludzi, uczynił Zamoyskiego ulubieńcem opinji.

Pan Andrzej, bo tak go powszechnie nazywano, rozkochany w angielszczyźnie, był z pozoru zimnym, lodowatym Anglikiem, człowiekiem praktycznym, pochłoniętym wielkimi interesami. Nosił się, jak lord angielski, był w formach zimny, dystygowany, niezachwianie pewny siebie. Ale pod tymi zewnętrznymi pozorami biło mocno poczciwe serce polskie i kryła się wstydliwie dusza romantyczna, marzycielska, skłonna do fantazji i uniesień. Była to postać pełna wdzięku, i to wdzięku wrodzonego, który niby promień strzelał poprzez zimną powłokę angielszczyzny i pociągał ku sobie ludzi.

W gronie „klemensowczyków“, jak nazywano skupiających się przy Zamoyskim obywateli, powstała myśl wykorzystania prądów, które po przegranej wojnie zaczęły wytwarzać się w Rosji. Jeszcze przed pierwszym przyjazdem cara do Warszawy roztrząsano sprawę złożenia Aleksandrowi bądź adresu, bądź memorjału, proszącego o ulgi dla kraju. Myślał o tem Jan Jeziński, gorącym zwolennikiem adresu był mar-

grabia Wielopolski. Myśl ta skutkiem nieprzyjaznego stanowiska dla Polaków w otoczeniu carskiem nie mogła być urzeczywistniona, ale nie przestała zajmować umysłów. Tymczasem Zamoyski i jego zwolennicy byli przeciwni składaniu wszelkiego rodzaju petycji i adresów. Rozumowali oni, że aspiracje narodowe zadowolić może jedynie Polska niepodległa w granicach przedrozbiorowych, wiedzieli, że Polski takiej żadnymi petycjami wyprosić nie można, a wszelkie ustępstwa polityczne traktowali, jako obniżenie wielkiego ideału, który im przyświecał. Powzięli natomiast projekt powołania do życia Towarzystwa Rolniczego, wychodząc z założenia, że uzyskanie takiej instytucji nie może być uważane za ustępstwo polityczne, nie może w oczach Europy uchodzić za spełnienie narodowych postulatów Polski, że nadto nie wymaga udawania się do tronu z petycjami, których składaniu Zamoyski był stanowczo przeciwny.

Projekt, mimo trudności, stawianych przez Muchanowa, doszedł do skutku — i Towarzystwo Rolnicze stało się faktem.

Był to wielki tryumf Zamoyskiego i jego grupy. W kraju, pozbawionym wszelkich ognisk życia publicznego, wszelkich towarzystw i zrzeszeń, instytucja, ogarniająca całe Królestwo, była wielką zdobyczą. Jakoż inteligencja całego kraju zrozumiała jej doniosłość i tłumnie zaczęła zapisywać się w szeregi Towarzystwa. Obok rolników zapisywali się na członków ludzie wszelkich zawodów, a więc kupcy, przemysłowcy, lekarze, prawnicy, literaci, publicyści, wszyscy w jednakowym stopniu spragnieni obrad publicznych, choćby w kwestjach fachowych, specjalnych,

wszyscy stęsknieni do atmosfery zbiorowej działalności i szerszego życia.

W ten sposób nowa instytucja skupiła pod swoim sztandarem najżywotniejsze siły kraju, stała się do pewnego stopnia nieoficjalną reprezentacją społeczeństwa, zajęła też odrazu stanowisko przodownicze.

Działalność Towarzystwa Rolniczego, acz zamknięta całkowicie w granicach ustawy, niewątpliwy przynosiła krajowi pożytek.

Urządzanie wystaw rolniczych z pokazami inwentarza, ogłaszanie konkursów, rozdawanie nagród za najlepsze gospodarstwa, zarówno folwarczne, jak włościańskie, zakładanie stacji doświadczalnych, tworzenie po wsiach szkółek i ochronek, wreszcie wydawnictwa dzieł specjalnych oraz tanich elementarzy i dostępnych dla ludu broszur, słowem, działalność energiczna, rozlewna, obejmująca kraj cały, wносиła powiew nowego życia, budziła społeczeństwo z letargu, zmuszała do zastanawiania się i myślenia o sprawach ogólniejszych, o przyszłości kraju, słowem, o kwestjach, które rządy Mikołaja usunęły z porządku dziennego.

Jakoż Towarzystwo Rolnicze otaczano wszędzie najwyższą życzliwością. A wraz z rozszerzaniem się wpływów Towarzystwa rosły wpływy i rozgłos Zamoyskiego. Kochany „pan Andrzej“ z człowieka popularnego stawał się sztandarem i autorytetem. Jego takt i umiejętność wychodzenia z ludźmi jednała mu serca, a stosunek do władz rosyjskich, poprawny, lecz zimny, pełen sztywności angielskiej, budził podziw i odpowiadał pojęciu owej dumy narodowej, jakie wyrobiła sobie szlachta. Kiedy nazajutrz po uroczystem otwarciu T-wa Rolniczego zgromadzeni w Warszawie obywatele wydali na cześć Zamoyskiego obiad

w hotelu Angielskim, znalazł się wśród tłumu zaproszonych i zniechęcony przez społeczeństwo Muchanow, którego tą uprzejmością chciano zjednać przynajmniej dla początkowej działalności Towarzystwa. Otóż Muchanow, rozgrzany winem, a chcący odpłacić za grzeczność grzecznością, ruszył niefortunnym konceptem i wniósł po francusku staropolski toast szlachecki: „kochajmy się!“ Zebrani ze zdumieniem wysłuchali tego toastu, a oczy wszystkich spoczęły na twarzy Zamoyskiego. Kłopotliwa chwila ciszy zapanaowała przy biesiadnym stole. Pan Andrzej nie stracił pewności siebie, lecz zwracając się do Muchanowa, odparł z lodowatą uprzejmością:

— Tak, każdy u siebie...

Takie traktowanie wszechwładnych przedstawicieli panującej władzy wprawiało szlachtę w entuzjazm, a jednocześnie imponowało samym Moskałom, którzy z podziwem przyglądali się i działalności Zamoyskiego, i jego osobie.

Znaczenie Towarzystwa Rolniczego i pana Andrzeja wzrosło jeszcze, gdy na porządku dziennym znalazła się kwestja włościańska.

Była to kwestja niezwykle doniosłego dla Polski znaczenia. Od epoki Sejmu Czteroletniego zajmowały się tą sprawą najwybitniejsze umysły polskie, a jednak sprawa ta nie doczekała się rozwiązania, ani w epoce Księstwa Warszawskiego, ani później w Królestwie Kongresowem, ani nawet podczas powstania listopadowego. Ciemna masa włościańska, acz wyzwolona z poddaństwa, upadała pod brzemieniem pańszczyzny, a szczególnie upośledzona była na Litwie i Rusi, gdzie w gruncie rzeczy włościanin był niewolnikiem, z którym dziedzic mógł zrobić, co mu

się podobało: równie dobrze oddać w żołdacy, jak zesłać na Sybir lub na śmierć zasieć różgami. Wypadki galicyjskie 1846-go roku, podczas których podjudzone przez rząd masy chłopskie wymordowały z górą 2.000 szlachty, były groźnem dla obywateli ziemskich w Królestwie ostrzeżeniem, a zarazem jaskrawym dowodem, jak dalece uregulowanie stosunków wiejskich stało się dla Polski sprawą palącą.

W chwili owej kwestja rolna tem bardziej stawała się aktualną, że nowy car rozumiał jej znaczenie i w całym państwie zamierzał przeprowadzić gruntowną reformę włościańską.

Ale zakamieniała w konserwatyźmie szlachta rosyjska nie chciała słyszeć o żadnych zmianach, a stanowisko jej popierali niektórzy dygnitarze. Jeden z ministrów ówczesnych, słynny później w dziejach Litwy, Murawjew, do tego stopnia oburzony był projektowaną reformą, że niemal jawnie agitował szlachtę, aby się jej opierała. To przecież, na co nie chcieli dobrowolnie zgodzić się obszarnicy rosyjscy, uczyniła najpierw szlachta polska na Litwie. Pod wpływem generał-gubernatora wileńskiego, Nazimowa, który dla dogodzenia carowi, sam stał się agitatorem, objeżdżał na Litwie znaczniejszych obywateli ziemskich, odwoływał się do ich patryjotyzmu, a nawet przypominał Kościuszkę, szlachta wypowiedziała się przez utworzone komitety za ulepszeniem bytu włościan. Projektowano znieść pańszczyznę i zamienić ją wieczystem oczynszowaniem.

Car specjalnym reskryptem, wystosowanym w listopadzie 1857 r. na imię Nazimowa, wyraził swoje

zadowolenie z powodu „błogich zamiarów“, powziętych w stosunku do włościan przez komitety na Litwie.

Początek był zrobiony: wielkie zagadnienie społeczne stanęło z kolei i przed szlachtą polską w Królestwie.

Ale rząd rosyjski, nadaremnie odwołujący się do dobrej woli obywateli ziemskich w Rosji, a sam pobudzający tę wolę wśród szlachty polskiej na Litwie i na Rusi, w Królestwie z nadzwyczajną postępował przezornością. Zamiast powołać do wypowiedzenia się w tej sprawie przedstawiciele społeczeństwa polskiego, sam chciał na ziemiach rdzennie polskich odegrać rolę dobroczyńcy. Ale nie wążąc się na gruntowną reformę, postępował chwiejnie, połowicznie. Rozkaz carski powołał w maju 1858 r. komitet, w którego skład weszli dygnitarze rządowi, a któremu przewodniczył sam namiestnik. W grudniu tegoż roku Rada Administracyjna ogłosiła z upoważnienia cara przepisy, pozwalające zawierać dobrowolne umowy czynszowe pomiędzy właścicielem ziemskim a włościanami. Tak więc komitet nie zdziałał nic, a raczej uczynił krok wsteczny, gdyż całą reformę uzależnił od dobrej woli szlachty w każdym poszczególnym wypadku.

Taki wynik prac komitetu obudził ogromne niezadowolenie wśród ogółu inteligencji, który oczynszowanie uważał za środek, nie odpowiadający potrzebom włościan i w sposób stanowczy wypowiadał się za uwłaszczeniem.

Ale sprawa nie skończyła się na ogłoszeniu przepisów Rady Administracyjnej. W październiku 1859 r. książę Gorczakow zawiadomił Andrzeja Zamoyskiego, że cesarz dozwolił Towarzystwu Rolniczemu roztrzą-

cać na posiedzeniach sprawę oczyszczania włościan i w dzienniku swoim ogłaszać w tej sprawie artykuły.

W ten sposób Towarzystwo Rolnicze powołane zostało do zajmowania się wielką sprawą narodową, wykraczającą poza zakres dotychczasowej działalności.

Fakt ten wywołał ogromne ożywienie w szerokich kołach inteligencji. Głos opinii publicznej domagał się teraz od Towarzystwa, by przekroczyło ramy, w których rząd zamykał sprawę włościańską w Królestwie, i śmiało stanęło na gruncie uwłaszczenia. Pisma emigracyjne, dostrzegając wielkie niebezpieczeństwo, jakie wytwarzał fakt, że inicjatywa w tej sprawie wychodziła od rządu, zadzwoniły na alarm i w imię dobra narodu, w imię przyszłości Polski, domagały się od szlachty, by poszła w reformie włościańskiej dalej, niż tego życzy sobie władza rosyjska.

Ale Andrzej Zamoyski i jego otoczenie należało do przeciwników uwłaszczenia. Więc zanosilo się na wielką bitwę w łonie opinii polskiej.

Tymczasem uwagę rozbudzonego już społeczeństwa raz po raz inna przykuwała kwestja. W styczniu r. 1859 Józef Kenig pomieścił w Gazecie Warszawskiej artykuł, w którym ostro wystąpił przeciwko Żydom. Artykuł ten wywołał energiczne protesty, rozżarzył namiętności i na porządku dziennym postawił kwestję żydowską. Szerokie koła inteligencji wzięły udział w sporze, który się toczył żywo, gorąco, zapalczywie. Światlejsze w społeczeństwie polskim jednostki wypowiedziały się za zgodnem z ludnością żydowską pożyciem. Prasa emigracyjna potę-

piła chęć waśnienia mieszkańców jednego kraju, a patrijarcha demokracji polskiej, stary, stojący już nad grobem Lelewel zabrał głos w tej sprawie i z dalekiego wygnania, z siedziby swojej w Brukseli, poparł oświadczenia emigracji swym poważnym głosem.

Spór ten dał pochop bogatemu bankierowi, Kronenbergowi, do nabycia Gazety Codziennej i do zaproszenia na redaktora tego organu Józefa Ignacego Kraszewskiego. Przyjazd znakomitego pisarza do Warszawy, jego udział w roztrząsaniu spraw, zajmujących opinię, przyczynił się do podniesienia poziomu prasy i ożywienia publicystyki polskiej.

Pod wpływem działalności Towarzystwa Rolniczego, skupiania się w Warszawie inteligentnej, gorącej a ruchliwej młodzieży, wreszcie pod wpływem zjawiających się na porządku dziennym tak doniosłych dla ogółu kwestji, jak kwestja włościańska lub kwestja żydowska, senne, zahukane, zgnębione rządami Paskiewicza społeczeństwo coraz częściej przebiegał dreszcz życia. W całym kraju budziła się myśl publiczna i narodowa, podnosił głowę krytycyzm. Jakoż powoli rozwiewały się różowe obłoki nieuzasadnionych nadziei, przyskało zaślepienie inteligencji, oczekującej, Bóg wie czego, od nowego cara. Postępowanie władz rosyjskich, nie umiejących rządzić bez szykan i nadużyć, stanowisko rządu w sprawie włościańskiej, gniewne, nieraz wręcz obelżywe mowy Aleksandra, wygłaszane do Polaków na Litwie i na Rusi, otwierały oczy na istotny stan rzeczy i niezwykle ciężkie położenie narodu. Poczynione ulgi i ustępstwa dobitniej wykazały tylko ogrom potrzeb i bezmiar nędzy polskiej. Umilkli prorocy, zapowiadający, z powodu przyjazdów Aleksandra do Warszawy, nową w dzie-

jach Polski erę, wygasło ognisko entuzjazmu dla nowego władcy.

Odrodzona myśl patryjotyczna innych dróg zaczęła szukać.

A temu poszukiwaniu sprzyjały wydarzenia, rozgrywające się podówczas w Europie.

W maju 1859 roku wybuchła wojna włosko-austriacka.

Za uciśnionymi Włochami ujął się cesarz Francuzów Napoleon III i skierował swój miecz przeciw Austrii.

Dwie zasady stanęły ze sobą do boju.

— „Podział Europy na narodowości jest najniebezpieczniejszą utopją“ — głosił cyrkularz ministra austriackiego.

— „Święta jest w oczach Boga sprawa, która się opiera na sprawiedliwości, ludzkości, miłości ojczyzny i dążeniu do niepodległości“, — wołał w odezwie swojej Napoleon.

Takie hasło cesarza Francuzów wywołało entuzjazm wśród wszystkich ludów, pozostających pod jarzmem obcej przemocy. I w Polsce serca zabiły żywiej. Wszystko, co czuło i myślało, z zapartym oddechem śledziło przebieg walki. Po winiarniach, cukierniach, restauracjach, w ogrodach publicznych i na ulicy huczało od namiętnych dyskusji, pociągających w wir polityki coraz szersze koła społeczeństwa. Wiadomości z placu boju pochłaniano z gorączkową niecierpliwością, a klęski Austriaków pod Magentą i pod Solferino wywołały istny szal radoznego uniesienia. Napoleon, wyzwalający swoim orężem naród włoski, wyrastał na „boga wolności“.

Zasada wolnych narodów w wolnych państwach odnosiła tryumf na polach bitew i zwiastowała uciekniętym w Europie ludom, że zbliża się kres ich niewoli. Tak myślano we wszystkich krajach, tak myślano i w Polsce. I emigracja polska do głębi była poruszona rozgrywającymi się wypadkami. Resztką niedobitków, skupiających się przy hotelu Lambert, rezydencji starego księcia Adama Czartoryskiego, podjęła nanowo ożywioną działalność dyplomatyczną, a demokracja emigracyjna rozpoczęła znowu propagandę powstańczą.

Zdawało się, że istotnie zatryumfuje zasada sprawiedliwości i nowa era rozpocznie się w dziejach Europy.

Pobita Austria, podobnie jak Rosja po klęskach wojny krymskiej, rozpoczęła naprawę stosunków wewnętrznych. Wzburzenie Węgrów starała się ułagodzić ogłoszeniem konstytucji, a względem innych narodów, wchodzących w skład monarchji, okazywała skłonność do ustępstw. Wywołało to ogromne ożywienie w Galicji. Mianowanie namiestnikiem hr. Gołuchowskiego podniosło skalę wymagań społeczeństwa galicyjskiego i nie pozostało bez wpływu na nastroje polskie po drugiej stronie kordonu.

Wyzwolona z więzów myśl polityczna w Polsce coraz energiczniej zaczęła pracować, a rozbudzone nadzieje nie mogły się zadowolić podnoszeniem ekonomicznem kraju i biernem wyczekiwaniem na uśmiech losu.

W takich warunkach program Andrzeja Zamoyńskiego nie mógł już społeczeństwu wystarczyć.

III.

POCZĄTKI RUCHU.

W owym czasie społeczeństwo polskie, odzwyczajone od polityki i niewdrożone do myślenia politycznego, nie miało organów swej woli, nie dzieliło się jeszcze na stronnictwa i obozy. Był już jednakże zarys polityczny, był materiał, z którego młot wydarzeń miał w niedalekiej przyszłości wykuć stronnictwa i programy.

W trzech kierunkach płynęła ówczesna myśl polska.

Jeden z odłamów tej myśli dążył do porozumienia się z rządem rosyjskim, był za podjęciem starań o ustępstwa polityczne i budował przyszłość kraju na podstawach autonomji, skreślonej przez Mikołaja w Statucie organicznym. Kierunek ten przeciwstawił się ruchowi zbrojnemu, powstanie potępiał, a lojalność w stosunku do państwa rosyjskiego uważał za kamień węgielny i fundament wszelkiego poczynania. Po śmierci Jana Jezierskiego najwybitniejszym przedstawicielem tak pojętych zadań był niepopularny w kraju margrabia Aleksander Wielopolski. Wyznawcy jego programu stanowili grono nieliczne. Wielopolski,

polityk samodzielny, konsekwentny, mający niezłomną wiarę i w siebie, i w swój program, a czujący się na siłach, by podjąć akcję polityczną i pokierować społeczeństwem, był właściwie człowiekiem osamotnionym, był wodzem bez armji.

O wiele liczniej przedstawiał się obóz, skupiony pod sztandarem Towarzystwa Rolniczego, a wyznający program, który wypracował sobie Andrzej Zamoyski. Było przecież do przewidzenia, że program ten, wystarczający w dobie żelaznych rządów Paskiewicza, uniemożliwiających wszelkie działanie, nie wytrzyma próby, gdy odezwie się życie, gdy wybije godzina czynów, gdy, zamiast wcielania w życie programu pracy organicznej, trzeba będzie działać na arenie politycznej, liczyć się z rzeczywistością i rzeczywistość tworzyć. Sam Zamoyski, przodujący w ciągu lat kilku licznej rzeszy ziemiańskiej, nie miał wielkiej ambicji politycznej i nie myślał o tem, by zgromadzone wkoło siebie zastępy uorganizować w jednolite ciało polityczne i stanąć na jego czele. Więc ludzie, skupiający się przy nim, byli armją bez wodza.

Pozatem istniały w społeczeństwie elementy ruchliwe, przedsiębiorcze, śmiałe, pozostające pod przemożnym wpływem wielkiej poezji wieszczów, rozczytane w literaturze emigracyjnej, wykształcone na płomiennej historii powstania Mochnackiego, przejęte ideałami demokratycznymi, a przesycone gorączką czynu. Wypadki rozgrywające się na ziemi włoskiej, niestrudzona czynność Garibaldiego, wypędzenie Burbonów z Neapolu były to iskry, które padając na umysły, jak proch zapalny, płomieniem uniesienia ogarniały dusze.

Elementy te składała przedewszystkiem młodzież, wychowana w strasznym ucisku epoki paskiewiczowskiej.

Karmiona już w szkole, a więc w zaraniu życia nieustannym fałszem, gnębiona za podnioslejsze uczucia, chłostana bez miłosierdzia za ukochanie tego, co było chlubą przeszłości narodowej, prześladowana za polskość, za patryjotyzm, za niewinne marzenia, wyniosła już ze szkół głuchą nienawiść do tyranii moskiewskiej, do życia w udręce i w hańbie. W pamięci tej młodzieży pozostał na długie lata świst różeg, któremi ją smagano w latach chłopięcych, w uszach brzmiał jeszcze brzęk kajdan, wleczonych przez młodocianych kolegów na Sybir. Widma pomordowanych patryjotów, krwawe widma Zawiszy i Konarskiego, stawały już u kołyski tego pokolenia i rozpłomieniały jego wyobraźnię. A wychodźcy, którzy skutkiem amnestji powrócili z wygnania, patryjoci, uwolnieni z kaźni sybirskich, ludzie, co w ciągu długich lat przebywania w katordze nie stracili wiary w siły narodu i wrócili do kraju nieugięci i nieprześlągani, podtrzymywali w młodzieży ducha zemsty i buntu.

Po śmierci Paskiewicza młodzież ta zaczęła się zbierać i naradzać, a możność wyjazdów za granicę, które dawniej były niesłychanie utrudnione, pozwalała nawiązać nici porozumienia z demokracją polską na wychodźstwie, ze starą gwardją rewolucyjną, śród której śmierć nieustannie przerzedzała szeregi, której jednakże nie zdołały zmienić długie lata nędzy, cierpień i zawodów, która nie poddawała się szturmującej do jej duszy rozpacz, lecz wierna sztandarowi, do końca trwała na swoich szanłcach, silna swą wia-

ra i w przekonaniach swoich, jak mur niewzruszona. Niesłychany urok otaczał tych wygasających lwów rewolucji. Więc ktokolwiek zdołał wyrwać się za granicę, ten stukał do brukselskiej samotni Lelewela, patriarchy demokracji polskiej, niegdyś ubóstwianego przez młodzież przewodnika, podówczas dogorywającego już w tęsknocie za ojczyzną starca, ale z młodzieńczym zapałem mówiącego jeszcze o zadaniach Polaka! Udawano się po wskazania i rady do innych emigrantów, przedewszystkiem jednak porozumiewano się z Mierośławskim, wodzem powstania poznańskiego w r. 1848-ym, zwycięzcą z pod Miłosława i Wrześni, głośnym już w Europie szermierzem rewolucji.

W łonie tej młodzieży, mającej przed oczyma wyzwolenie narodu włoskiego, młodzieży wrażliwej i gorącej, podniecanej przez patryjotyzm nieprzejędanych niedobitków Wielkiej Emigracji, powstała dążność do skupiania się i zawiązywania tajnych organizacji w imię nieprzedawnionych praw narodowych. Dążność ta uwidoczniła się najpierw wśród młodzieży polskiej w uniwersytetach rosyjskich, a przedewszystkiem w uniwersytecie kijowskim, w którym kształciło się z górą 1.000 Polaków, stanowiących 80% ogólnej liczby studentów. Organizacja studentów kijowskich, tworzona systemem trójkowym, później zorganizowana w gminy, wytworzyła z czasem komitet, kierujący całą działalnością, a mający stosunki z młodzieżą, kształcącą się w Moskwie i Petersburgu. Zrzeszenia te nie były w ściślejszem znaczeniu tego słowa spiskiem, ale były już organizowaniem sił spiskowych, przygotowaniem materiału do organizacji rewolucyjnych.

Obok kół młodzieży uniwersyteckiej, działało jeszcze w Petersburgu koło wojskowe, złożone z oficerów Polaków. Twórcą tego koła był głośny później w powstaniu kapitan sztabu generalnego, Zygmunt Sierakowski, a duszą — Jarosław Dąbrowski, oficer o wybitnych zdolnościach wojskowych, rewolucjonista śmiały do szaleństwa, ważący się na wszelki hazard, a łączący w sobie ognisty temperament z nadzwyczajną przytomnością umysłu. Był to jeden z tych ludzi, którzy tworzą wkoło siebie ruch, życie, oddziaływują na wyobraźnię, rozpalają namiętności.

Ale jak zrzeszenia młodzieży uniwersyteckiej, tak i młodzi oficerowie Polacy, acz marzyli o walce zbrojnej z Rosją, nie mieli jeszcze ani jasno skryształowanego programu, ani wyraźnie wytkniętej drogi działania.

I w Warszawie przez długi czas istniały tylko luźne zrzeszenia i koła, które dopiero pod wpływem wypadków nabierały barwy politycznej. Koła te na własną rękę tworzyli ruchliwsi działacze, bądź z pośród dojrzałej już inteligencji, bądź z pośród młodzieży z Akademji, ze Szkoły rolniczej w Marymoncie, ze Szkoły Sztuk pięknych, a nawet niższych zakładów naukowych. Szacunkiem otaczano patryjotów, co wrócili z Syberji. Śród „Sybiraków“ zwracał na siebie uwagę Karol Ruprecht, — współpracownik Gazety Codziennej i Agaton Giller, redaktor wydawanej dla warstw rzemieślniczych Czytelni Niedzielnej. Duży wpływ na inteligencję, a przez pewien czas i na młodzież wywierał Edward Jurgens, syn majstra ciesielskiego z Płocka, wychowaniec uniwersytetu dorpuckiego, człowiek trzydzistoparoletni, zajmujący nieznaczný urząd w ministerstwie spraw

wewnętrznych. Posiadał on stosunki we wszystkich sferach społeczeństwa, cieszył się szacunkiem i sympatją, a zasady, które głosił, zyskały sobie liczne koła zwolenników.

Program Jurgensa zbliżony był do programu Zamoyskiego. Wytężona praca organiczna, podniesienie kultury kraju, wzmożenie świadomości obywatelskiej, oto były zadania, które Jurgens wskazywał społeczeństwu. Ale nie porzesał na tem. W przeciwstawieniu do Zamoyskiego, sądził on, że należy wywierać nacisk na rząd rosyjski, aby wyjednać dla kraju ulgi i ustępstwa, że trzeba garnać się do urzędów, zajmować wszystkie placówki i w ten sposób wytwarzać siłę, niezbędną dla wywalczenia lepszej przyszłości. Na pierwszym planie stawiał Jurgens zdobycie dla Królestwa autonomji, na dalszym — zdobycie Polski niepodległej zapomocą powstania zbrojnego. Ale to powstanie rysowało się niewyraźnie w mgłach bardzo odległej przyszłości. Poprzecież je miała długa, wytężona praca na wszystkich polach życia publicznego, stopniowe wzmożenie siły narodowej, wazającej się na walkę z potężnym mocarstwem. Program ten popierało grono ludzi wybitnych, jak Rafał Krajewski, Roman Żuliński, Józef Janowski, Jan Maykowski, z których każdy miał swoją sferę stosunków, a wszyscy razem, należąc do czoła inteligencji warszawskiej, stanowili grono, potężnie oddziaływające na opinię stolicy.

W kołach gorętszej młodzieży, tej zwłaszcza, która podtrzymywała stosunki z Mierosławskim, wpływ Jurgensa nie był długotrwały. Wyznawców jego programu nazwał Mierosławski w jednej z mów swoich



EDWARD JURGENS

milenerami*), jako że powstanie odkładają na lat tysiące i nazwa ta przylgnęła do grupy Jurgensa. Śród młodzieży gorącej, zapalnej, niecierpliwie domagającej się czynu, zasady milenerów nie znalazły uznania. Gdy Jurgens ze swoim programem zapoczątkował stronnictwo, które z czasem nazwano białem, przeciwna mu młodzież, skupiając zwolna rozproszone siły, zakładała podwaliny obozu czerwonych.

I młodzież ta zaczęła na własną rękę tworzyć liczne koła, których celem, jak powiada jeden z wybitniejszych śród tej młodzieży działaczy, Władysław Daniłowski, „było rozbudzać w narodzie przez dostarczanie zabronionych książek i broszur ducha niepodległości i pragnienie oswobodzenia się z pod jarzma nieprzyjaciół”.

W Akademji Medycznej posiadał wielkie wpływy Jan Kurzyna, zagorzały zwolennik Mierosławskiego, młodzieniec wykształcony wszechstronnie, wytrawny mówca, namiętny agitator, imponujący kolegom zarówno swoją erudycją, jak rewolucyjnością zawziętą i nieubłaganą. W tym samym duchu, co Kurzyna, działali śród akademików — Jaśniewski, Daniłowski, w Szkole Sztuk Pięknych wielką popularność zdobył pełen temperamentu i życia Karol Nowakowski, utalentowany malarz, dusza szlachetna, pełna entuzjazmu, zarazem szalona pałka, chłop, jak dąb, śmiały, odważny, zdecydowany, pociągający ku sobie żywiołową tężyzną, siłą, zdrowiem. dzielnie sekundował Nowakowskiemu Stanisław Szachowski, a wogóle śród „malarji“, jak żartobliwie nazywano młodych malarzy, panowała temperatura upalna, gdyż niemal wszyscy

*) Milenaire znaczy w języku francuskim tysiącoletni.

oni rwali się do czynu, wszyscy gotowi byli bić się, walczyć, wyganiać z kraju Moskali, niewiele myśląc o tem, jak i czem, byle zaraz, byle prędzej. Śród marymontczyków odznaczał się Drahomirecki, na uczniów szkół niższych oddziaływali młodziecy zapaleńcy bracia Frankowscy i Asnyk, młodzież urzędniczą, kupiecką, rzemieślniczą gromadził wkoło siebie dawny oficer olwiopolskiego pułku ułanów, Narcyz Jankowski, noszący się z myślą złączenia poszczególnych kół w jedną całość, a urządzający w mieszkaniu swoim przy zbiegu ulic Mazowieckiej i Królewskiej słynne w owym czasie zebrania, na które przychodzili zarówno milenerzy z Jurgensem, jak i zdecydowani rewolucjoniści z Kurzyną na czele. Na tych zebraniach ścierały się przeciwne sobie prądy, krzyżowały się, jak szpady, słowa gorące, mocne, namiętne, a od sprzecznych zdań i poglądów huczało, jak w ulu. Nadaremnie milenerzy starali się opamiętać rozgorączkowane umysły. Młodzież za wszelką cenę pragnęła przerwać panującą w kraju ciszę i zaświadczyć przed światem, że Królestwo nie zadowala się otrzymanymi ulgami, że naród polski żyje, czujej i nie przestaje dążyć do odzyskania utraconej wolności.

Jedną z takich pierwszych prób poruszenia Warszawy było urządzenie nabożeństwa żałobnego za dusze Adama, Juliusza i Zygmunta. Pochop do tej manifestacji dała wieść o śmierci Zygmunta Krasińskiego, która nastąpiła 23 lutego 1859 roku. Publiczność stawiała się na wezwanie i doszczętnie wypełniła przystrojony żałobnie kościół Pijarów. Ale policja w ostatniej chwili, już w oczach zgromadzonego tłumu, rozkazała uprzątnąć katafalk i zedrzeć kir z ołtarza.

Wywołało to oburzenie wśród zebranych, a zarazem przekonało inicjatorów, że publiczność warszawska gotowa jest stawić się na wezwanie i poprzeć masowo wystąpienia patryjotyczne.

Później nieco za wpływem Kurzyny cała młodzież akademicka, z nielicznymi wyjątkami, z powodu zatargu z rektorem Cecurynem, złożyła podania o uwolnienie. Fakt ten wstrząsnął opinią w Warszawie. Postępek młodzieży do tego stopnia nie licował z dotychczasowem zachowaniem się społeczeństwa wobec władz rządzących, że wielu przeraził, wielu zaimponował. Warszawa podzieliła się na dwa obozy: jeden bronił zawzięcie akademików, drugi gromił ich i gorąco nakłaniał do cofnięcia podań.

Kurzyna stał się bohaterem.

Z powodu tego zaburzenia sporo młodzieży musiało opuścić Akademię, a Kurzyna, wysłany do Lublina pod dozór policji, później zaś zagrożony aresztowaniem, zemknął z kraju i ruszył do Paryża, by oddać się na usługi Mierosławskiego, który mile przyjął zbiegą i uczynił go swoim sekretarzem.

Ucieczka Kurzyny miała poważne następstwa w życiu młodzieży akademickiej. Na jej czoło wysunął się teraz Karol Majewski, skończony już marymontczyk, jak wielu innych pociągnięty do Akademji jedynie owym urokiem, jaki wytworzył się wkoło tej uczelni. Starszy od swoich kolegów, doświadczeńszy, otrząskany z życiem, zręczny mówca, już dawniej cieszył się wśród akademików wielkim autorytetem. Ale nie posiadał ani tego charakteru, ani tej energii, co Kurzyna. Nadto był człowiekiem chwiejnym, niezdecydowanym. Stojąc wobec dwóch kierunków, z których jeden dążył do zrewolucjonizowa-

nia społeczeństwa, a drugi, reprezentowany przez Jurgen-
gensa, przeciwny był środkiem gwałtownym, Majew-
ski chwiał się i wahał, przechylając się to ku jednej,
to ku drugiej stronie. Próba utworzenia wspólnej or-
ganizacji, podjęta przez Jankowskiego, powołała do
życia w listopadzie 1859 r. komitet, który się prze-
zwał K a p i t u ł ą W a r s z a w s k ą, ale organizacja ta,
gdy Jankowski został aresztowany, rozpadła się i ko-
ła młodzieży w dalszym ciągu działały rozpierzchnio-
ne. Później próbę połączenia luźnych zrzeszeń pod-
jął z ogromną energią wysłannik Mierosławskiego,
Franciszek Godlewski, ale długo jeszcze w życiu mło-
dzieży miało panować zamieszanie. Przestały prze-
cież ogółowi tej młodzieży wystarczać dyskusje, ob-
chody rocznic narodowych, czytanie przywożonej do
kraju literatury emigracyjnej. Zaczęto szukać okazji,
bądź stwarzać okazje, pozwalające zamanifestować
nazewnątrz usposobienie szerszych kół Warszawy.
Dnia 11 czerwca 1860 roku urządzono wspólny po-
grzeb generałowej Sowińskiej, wdowie po bohaterskim
obrońcy Woli w r. 1831-ym, a później gromadnie już
uczęszczano na pogrzeby, czy to zapomnianych bo-
jowników o niepodległość narodową, czy to ofiar,
prześladowanych za swój patryjotyzm w dobie rzą-
dów Paskiewicza. Z powodu tych pogrzebów oraz
smutnych rocznic zaczęła wchodzić w modę żałoba
narodowa: zarówno kobiety, jak mężczyźni coraz
częściej ukazywali się w czarnych strojach. Jedno-
cześnie na ulicach pojawiały się dawno już niewidzia-
ne, a zabronione czamarki, krakuski, kpnfederatki,
budziło się zamiłowanie do odznak i emblematów na-
rodowych, a przede wszystkim do białych orzełków,

które w postaci broszek, szpilek, breloków coraz modniejszą stawały się ozdobą.

Wreszcie nadarzyła się okazja do manifestacji, której echa szeroko rozeszły się po świecie.

W październiku 1860 roku car Aleksander, często odwiedzający stolicę Polski, zaprosił na zjazd do Warszawy cesarza Franciszka Józefa i przyszłego króla pruskiego, Wilhelma. Zjazd przyszedł do skutku. Przyjechał car, zjawili się wielu książąt, mnóstwo dygnitarzy, przybyli tłumnie korespondenci pism zagranicznych, by poinformować Europę o uroczystościach warszawskich. Chwilę tę postanowiła wyzyskać czerwona młodzież i zaświadczyć przed światem, że przyjazne usposobienie społeczeństwa dla władcy rosyjskiego minęło bezpowrotnie, że nastrój w kraju się zmienił, że drobne ustępstwa i ulgi bynajmniej nie zadowolili stolicy kraju. Więc przedewszystkiem dała hasło, by publiczność nie brała udziału w przygotowywanych uroczystościach. Wydano bezimienne plakaty, wzywające ludność do pozostawiania w domach i do wychodzenia na ulice tylko w razie konieczności. Wezwanie znalazło posłuch. Miasto zwykle rojne, gwarne, ruchliwe, zmieniło swą postać. Przejeżdżających monarchów nie witały już tłumy publiczności. Ulice były milczące, wiało z nich pustką i chłodem. W dzień galowego przedstawienia rozlano w teatrze ciecz cuchnącą, łożę cesarską wymazano błotem, tak że tylko dzięki nadzwyczajnym wysiłkom służby teatralnej przedstawienie mogło się o wyznaczonej porze rozpocząć. Wspaniałej iluminacji w Łazienkach, oprócz gości carskich, przypatrywały się milczące drzewa i policjanci. Gapiom, zatrzymującym się na ulicach podczas przejazdu powo-

zów dworskich, młodzież oblewała ubrania kwasem siarczanym, a postrojonym damom obcinała nożycami suknie.

Cesarza Franciszka Józefa, opuszczającego dworzec wiedeński, grupa młodzieży powitała włoskim okrzykiem:

— Vive Solferino et Magenta!

„Nieproszeni goście” wywieźli z niegościnnej Warszawy niezbyt przyjemne wrażenia, a korespondenci pism zagranicznych, bacznie notujący wszystko, rozgłosili po świecie, jak to stolica Polski witała swojego „króla“.

„Zjazd warszawski, — twierdziło jedno z pism francuskich, — dowiódł, co zdziwiło wielu, że Polska nie umarła”.

A głośny w całym świecie rewolucjonista rosyjski Hercen, wywierający ogromny wpływ na umysły w Rosji, w swoim „Kołokole“, czytany pilnie przez samego cara, pisał:

„...Despotyzm carski, nie znający miary, ni granic, napotkał nareszcie swą granicę i wywołał tę nabolałą reakcję milczenia i tłumionej pogardy, przed którą bledną królowie“...

Sprawcy manifestacji tryumfowali.

Od tej pory Warszawa coraz dobitniej zaczęła manifestować swoje uczucia i swoją do władzy rosyjskiej nienawiść. Coraz częściej obiegały miasto rewolucyjne odezwy i plakaty. Przedstawicielom władzy w miejscach publicznych okazywano jawną nienawiść i pogardę. Potulna publiczność nieraz przybierała postawę wyzywającą. Jej trwożne zachowanie się zastąpiła pewność siebie i śmiałość. I oto po długich latach niesłychanego przygnębienia i lęku,

śródm ludności, przygnieconej do ziemi żelazną stopą Mikołaja, zaczęły budzić się uśpione uczucia. W społeczeństwie, które nie odważało się przez jedną chwilę być sobą, ocknęło się poczucie godności i w biały dzień przeciwstawiło się niesłychanej bucie najeźdźców. Stolica kraju otrząsała się z więzów, zaczęła się ruszać, żyć, pragnąć.

Widziała to młodzież i czekała nowej sposobności, by dać ujście wzbierającej fali patryjotycznej.

IV.

MANIFESTACJE.

Zbliżała się właśnie trzydziesta rocznica pamiętnej w dziejach polskich nocy 29 listopada.

W Warszawie było sporo osób, które dobrze pamiętały ową noc historyczną, gdy nad miastem zapłonęły krwawe łuny pożarów, gdy garść śmiazków pod wodzą Nabelaka, jak pocisk gniewu i zemsty wdarła się do Belwederu i śmiercią zagroziła despotcie, gdy później, środkiem przerażonej stolicy kroczył na czele podchorążych Wysocki i okrzykiem: Polacy! do broni! na walkę o wolność budził naród polski. Patryjotyczna młodzież postanowiła uczcić tę szczególnie drogą sercom polskim rocznicę, a zamiar żywym echem odbił się we wszystkich sferach Warszawy. W kościele Karmelitów na Lesznie zamówiono żałobne nabożeństwo i liczny tłum, nie mogący pomieścić się we wnętrzu kościoła, zwartą masą otoczył świątynię. Policja nie pokazała się wcale. To ośmieliło inicjatorów. Uczeń Szkoły Sztuk Pięknych, Karol Nowakowski, ów zapalony patryjota, rwący się do czynu, rzucił myśl, aby tegoż dnia o godzinie 6-ej wieczorem ponownie zgromadzić publiczność



JAROSŁAW DĄBROWSKI

w tym samym kościele. Pomysł spotkał się z uznaniem, a żywa agitacja dopięła celu.

O wyznaczonej godzinie zebrał się ogromny tłum, złożony z przedstawicieli wszystkich warstw społeczeństwa, i zatrzymał się przed kościołem, którego podwoje były zamknięte. Zapadał mrok i wieczór listopadowy spływał na miasto. Tłum stał i czekał. Nagle fronton kościoła i stojącą przed nim figurę Matki Boskiej zaczęto oświetlać mnóstwem jarzących się świec i lampek. Młodzież klękała na ulicy, a cały tłum poszedł za tym przykładem. Wtedy Karol Nowakowski olbrzymim głosem zaintonował zapomnianą pieśń: „Boże, coś Polskę“..

Pieśń, ogromnej większości nieznana, uczyniła wrażenie wstrząsające.

Uroczyście słowa i głębokie tony hymnu zatargały sercami. W zbiorowej duszy tłumy coś drgnęło. Fala wzruszenia przepełniła piersi i błysnęła łzami w roziskrzonych oczach. A gdy śpiewający przeszedł do refrenu, tłum podchwycił ostatnią strofkę i z setek piersi wzbil się w chmurne niebo listopadowe potężny chór głosów i jak grzmot zahuczał nad Warszawą:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!..

W zmroku wieczornym, przy blasku świec, bijącym od kościoła, tłum klęczący jednoczył się w uczuciach i pieśń, rozedrgana przepełniającem serca wzruszeniem, płynęła dalej i niosła w ciemne przestworza błagalny jęk zakutych w kajdany Polaków.

A gdy umilkły słowa hymnu, młodzież zaśpiewała chorał Ujejskiego: „Z dymem pożarów“..

Po ukończeniu śpiewów uczniowie Szkoły Sztuk Pięknych zaczęli rozdawać publiczności przygotowane zawnazasu portrety Kościuszki i Kilińskiego, poczem młodzież sformowała się w szeregi i ruszyła ku śródmieściu. Teraz zagrzmiał dziarski mazurek Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nie zginęła!“...

A ten marsz przez miasto, ów polski śpiew wolności w domu niewoli, uczynił takie wrażenie, że policja zaczęła pośpiesznie umykać ze swoich posterunków, a publiczność, nie wiedząca, co to wszystko oznacza, z przerażeniem słuchała i patrzyła. Tu i owdzie zaczęto rygłować sklepy, zamykać bramy domów, zapuszczać okiennice. Zdawało się niejednemu, że młodzież porwie się do broni i jak przed trzydziestu laty, zatknie na bruku Warszawy sztandar rewolucji. Ale śpiew ucichł, młodzież się rozeszła. W mieście zapanował spokój. Pozostało tylko niezapomniane wrażenie i tylko tęsknota do utraconej wolności płomieniem owionęła duszę Warszawy.

Nazajutrz całe miasto mówiło o manifestacji. Z ust do ust podawano sobie szczegóły wczorajszej uroczystości, a hymn „Boże, coś Polskę“ zdobył sobie odrazu niesłychaną popularność. W kilka dni później w kościele Bernardynów odbyło się z zapoczątkowania uczniów Szkoły Realnej żałobne nabożeństwo za dusze poległych w roku 1831-ym, a liczny tłum szczerlnie wypełnił świątynię.

Podniecenie ogarniało Warszawę.

Widziała to młodzież i, postanowiwszy kuć gorące żelazo, rzuciła hasło żałoby narodowej ku uczczeniu pamięci powstania listopadowego. Usłuchała tego wezwania Resursa Kupiecka, ogniskująca życie inteligencji warszawskiej, a przykład Resursy oddziaływał na

opinię. Pomimo karnawału ustały w całym mieście zabawy i bale, a na ulicach strój czarny stał się niemal powszechnym.

W lutym 1861 roku miało się odbyć ogólne zebranie Towarzystwa Rolniczego, a okoliczność ta stała się powodem wielkiego poruszenia wszystkich sfer stolicy. Odbywający się w końcu stycznia zjazd przedstawicieli młodzieży, skupionej w uniwersytetach rosyjskich, a pragnącej porozumieć się z Warszawą, powziął myśl, by na podobieństwo adresów do tronu, podawanych w owym czasie przez miasta rosyjskie i zjazdy szlachty rosyjskiej, wystąpiła również stolica Polski i zażądała od cara rozległych reform dla kraju. Komitet T-wa Rolniczego nie chciał o adresie słyszeć, ale wśród inteligencji, podlegającej wpływom Jurgensa, myśl znalazła uznanie. Poważne grono wpływowego mieszczaństwa nie zraziło się stanowiskiem Komitetu, lecz korzystając z przybywania na zjazd członków prowincjonalnych, postanowiło usilną agitacją zjednać dla adresu większość ogólnego zebrania. Z drugiej strony na Towarzystwo Rolnicze, jako na jedyną instytucję obywatelską, ogarniającą kraj cały, uknuły zamach koła akademickie i uczniowskie. Młodzież, nie zadowolając się adresem, zdecydowała wciągnąć zebraną szlachtę do ruchu ulicznego. W tym celu na dzień 25-go lutego, jako w rocznicę pamiętnej bitwy na polach Grochowa, zapowiedziano wielką manifestację. Demonstranci, zebrani na rynku Starego Miasta, mieli przeciągnąć przez Krakowskie Przedmieście, udać się pod pałac namiestnikowski, będący miejscem obrad Towarzystwa i skłonić obradujących do wyjścia na ulicę i do połączenia się z pochodem. Wreszcie głos opinji pu-

blicznej domagał się od Towarzystwa, aby rozstrzygając sprawę włościańską, wypowiedziało się za uwłaszczeniem. Tak więc z różnych stron nad Towarzystwem Rolniczem zbierały się niepokojące chmury. Należało oczekiwać starć bardzo poważnych, gdyż potężny swoimi wpływami Andrzej Zamoyski był przeciwnikiem wszelkich adresów i wszelkich demonstracji, a uwłaszczeniu sprzeciwiał się stanowczo.

Ale gorące usposobienie stolicy oddziaływało na przebywającą szlachtę. Szczególniej młodsze pokolenie ziemian było wrażliwe na głos opinii i łatwo ulegało panującemu w Warszawie nastrojowi.

W takich warunkach przy udziale blisko tysiąca członków rozpoczęły się obrady Towarzystwa. Komitet wystąpił z projektem oczynszowania, ale przeciw wnioskowi wystąpili liczni mówcy i dopięli tego, że ogólne zebranie, acz lękliwie i nie bez zastrzeżeń, wypowiedziało się za uwłaszczeniem. Pobity pan Andrzej poddał się wyraźnej woli większości.

Było to stanowcze zwycięstwo opinii szerszych kół inteligencji.

Inaczej przedstawiała się sprawa adresu: pod wpływem Zamoyskiego zdecydowano ostatecznie przejść nad tą sprawą do porządku dziennego.

Ale okoliczności i tej decyzji nadały bieg inny.

W myśl zamiarów młodzieży rozklejone na murach miejskich plakaty wzywały ludność do stawienia się w dniu 25 lutego o godzinie 5½ na rynku Starego Miasta.

Jakoż w oznaczonym terminie olbrzymi tłum zalał rynek i przyległe ulice. Tym razem władze, zachowujące się dotąd biernie wobec wystąpień ulicznych, mocno były zaniepokojone. Przed zamek wy-

stąpił bataljon piechoty, sotnia czerkiesów i szwadron żandarmerji. Ta zbrojna siła w groźnej postawie czekała na demonstrantów, by przeciąć im drogę do pałacu namiestnikowskiego i już na placu Zamkowym rozproszyć zbiegowisko. Tymczasem z rynku Starego Miasta dochodził szum niezliczonych głosów i obijał się groźnie o mury zamkowe. Niespokojny namiestnik, słysząc głucho grzmoty zbliżającej się burzy, rozkazał policmajstrowi Trepowowi, by osobiście przekonał się o rozmiarach i siłach demonstracji.

Trepow wszedł do kibitki i przez ulicę Świętojańską dostał się na rynek.

Powitał go przeraźliwy gwizd tłumu, posypały się ze wszystkich stron żarty, śmiechy, słowa ironiczne, drwiące, dokuczliwe. Trepow, nie zważając na to, dojechał do wodotrysku z syreną, tutaj wysiadł z kibitki i energicznym głosem wezwał zgromadzonych, aby się natychmiast rozeszli. Odpowiedział mu na to uragliwy chór pomieszanych głosów. Wtedy Trepow, wyprowadzony z równowagi, rzucił się ku hałasującej grupie akademików i jednego z nich, Władysława Krajewskiego, porwał za kołnierz. Krajewski wyciął napastnikowi policzek, a na ten widok tłum zatrząsł się, zahuczał, podniósł tak straszną wrzawę, że zestrachany Trepow wszedł do swojego powoziku i z duszą na ramieniu pociągnął z powrotem do zamku*). Odprowadzały go przekleństwa, sypnęły się za nim grudki błota, świsnęły kamienie. Niefortunny

*) Zaraz po tym wypadku na bruku Warszawy zrodził się dwuwiersz, który powtarzało całe miasto:

Na Starem Mieście przy wodotrysku
Pan policmajster dostał po pysku.

wysłaniec wpadł do namiestnika i uzyskał rozkaz rozpedzenia zbiegowiska przy pomocy żandarmów.

Tymczasem inna grupa demonstrantów, uszykowana w procesję, ruszyła od kościoła Paulinów ku rynkowi Starego Miasta.

Procesja szła z ogłuszającym śpiewem: „Boże, coś Polskę“, a nad tłumem, niosącym zapalone pochodnie, powiewał przepyszny sztandar z orłem i pogonią. Na ten widok okrzyk entuzjazmu wyrwał się z tysiąca piersi. Lecz jeszcze procesja nie zdążyła wkroczyć na rynek, gdy zatętniały po bruku kopyta koni i oddział żandarmów z wydobytymi szablami zaskoczył procesji drogę i wstrzymał dalszy jej pochód. W jednej chwili powstało ogromne zamieszanie. Żandarmi, prąc piersiami koni pierwsze szeregi, zmusili je do cofnięcia się, ale dalsze, chcąc lepiej widzieć, co się dzieje, pchały się naprzód. Uczynił się straszny ścisk, wszystko skłębiło się, zakotłowało i piekielna wrzawa uderzyła o mury staromiejskie. Śród nieopisanego tumultu rozpoczęła się bójka. Wspaniały sztandar, wznoszący się ponad tłumem, zachwiał się i przeszedł w ręce żandarmów. Akademycy odebrali go z powrotem, lecz tłum nie wytrzymał natarcia ciężkiej jazdy i na wszystkie strony zaczął się rozpiechać. Na opróżnionym placu boju pozostali tryumfujący żandarmi oraz 30 osób aresztowanych, a między nimi Krajewski i Nowakowski.

Trepow zwyciężył.

Ale to zwycięstwo do głębi poruszyło Warszawę. Wieści o szarzy żandarmów do bezbronnego tłumy, kłamliwe pogłoski o wielu zabitych i rannych, przesadzone relacje o przebiegu walki i męstwie młodzieży, podniecały umysły, wytwarzały atmosferę go-

rażkową, podatną do nowych, energiczniejszych wystąpień. Ten nastrój postanowiła wyzyskać czerwona młodzież. Ponieważ cel manifestacji nie został osiągnięty, postanowiono powtórzyć ją w dniu 27 lutego i koniecznie skłonić Towarzystwo Rolnicze do połączenia się z ruchem i do zapoczątkowania akcji politycznej.

Jednocześnie grupa inteligencji warszawskiej pod wpływem gorączki, ogarniającej miasto, zebrała się nazajutrz w hotelu Europejskim i, w myśl projektu Jurgensa, wybrała delegację, mającą zredagować adres do cara. Adres miał domagać się reorganizacji szkolnictwa, utworzenia w Warszawie uniwersytetu, równouprawnienia Żydów, oraz przyznania społeczeństwu instytucji i praw, przewidzianych przez Statut organiczny. Do delegacji zostali powołani: znany w szerokich kołach miasta przemysłowiec, Ksawery Szlenkier, Józef Ignacy Kraszewski, wybitny publicysta Józef Kenig, cieszący się wielką popularnością doktor Tytus Chałubiński, uczestnik walki w roku 1831-ym generał Lewiński, dwaj księża Stecki i Wyszynski, rabin Mayzels oraz szewc Hiszpański. Obecny na zebraniu bankier Leopold Kronenberg udzielił delegacji na zebrania Resursy Kupieckiej, której był prezesem, a w której ogniskowało się życie wpływowego mieszczaństwa Warszawy.

A wśród umiarkowanych członków Towarzystwa Rolniczego zapanował popłoch. Komitet T-wa, zaniepokoiwszy się o losy powierzonej jego pieczy instytucji, postanowił wytrwać na biernem stanowisku, nie mieszać się do niczego i zamknąć oczy na wszystko. Ale że wiedział o zamiarach manifestacji, a nie miał odwagi stanąć oko w oko z tłumem, więc ku

późniejszemu oburzeniu wielu członków zwrócił się do księcia Górczakowa z prośbą o opiekę. Namiestnik rad usłuchał tej prośby.

Tak więc 27 lutego miały się rozegrać wypadki wielkiej na przyszłość doniosłości: zwycięstwo Towarzystwa oznaczało powrót do życia w martwocie, tryumf ulicy zapowiadał dalsze burzliwe wydarzenia, a akcja adresowa wpływowej burżuazji zawisła całkowicie od tego, na czyją szalę przeważy się opinia stolicy. Podniecona ludność odczuła powagę chwili i w największym napięciu czekała, co przyniesie jutro.

Wstał wreszcie pamiętny dzień. Wstał chmurny, ale spokojny, cichy, ciepły. Ulice zaroily się od publiczności. Przed pałacem namiestnikowskim, który, jako miejsce obrad Towarzystwa, przykuwał uwagę publiczną, rozstawił się przysłany przez Górczakowa bataljon piechoty. Pod tą osłoną rozpoczęły się obrady, które Andrzej Zamoyski w zwykłych korbach starał się utrzymać.

A w kościele Karmelitów na Łesnie, zgodnie z zapowiedzianym programem twórców manifestacji, odbywało się nabożeństwo. O godzinie 11-ej uformowała się przy kościele procesja i, niosąc chorągwie kościelne, ruszyła przez ulice Przejazd, Długą, Świętojańską ku placowi Zamkowemu. Do procesji przyłączali się po drodze przechodnie i tłum rósł nieustannie. Gdy czoło pochodu zbliżało się do placu, ukazał się bataljon piechoty i wyciągnął się pod zamkiem, jednocześnie zaś oddział kozaków ruszył ku następującym tłumom. Procesja stanęła. Oficer, komenderujący kozakami, wezwał manifestantów do ro-

zejścia się, a gdy wezwanie nie odniosło skutku, skomenderował:

— Udarit, w nahajki!..

Na tę komendę kozacy posunęli się naprzód i wszyli się w gęstą, zbitą masę. Świsnęły nahaje. Tłum cofnął się nieco. Kozacy zatrzymali się również. Obie strony stanęły naprzeciw siebie i, milcząc, obserwowały się wzajem z największą wzdargą i podejrzliwością. Na placu Zamkowym zapanowała cisza. Ale jednocześnie pod kościołem Bernardynów zbierało się coraz więcej publiczności i tworzyło się drugie zbiegowisko, coraz liczniejsze, gęstsze, niecierpliwse. Przedzielone od zatrzymanej procesji długą linią kozaków, czekało tylko okazji, by zerwać się z miejsca i połączyć się z pochodem. Tłum ten, przerywając ciszę, rozpoczął śpiew: „Boże, coś Polskę”. Dochośne dźwięki pieśni rozgniewały obecnego na placu Trepowa. Na rozkaz jego część kozaków ruszyła z kopyta ku kościołowi i, wzniosłszy w górę nahajki, pędziła, wyjąc i świszcząc, po nowe laury. Ale nie miała ich zdobyć. Tuż za kościołem budowano właśnie gmach resursy obywatelskiej. Całe góry cegieł i kamieni wznosiły się przy rusztowaniach. Lud w mgnieniu oka zorjentował się w sytuacji i istną chmurą pocisków powitał nadciągający oddział kozaków. Tchórzliwi jeźdźcy, nieprzygotowani na takie przyjęcie, zawrócili z miejsca, jak niepyszni. Otrzymawszy rozkaz ponowienia ataku, ruszyli znowu, ale i tym razem lud z okrzykiem: hura! powtórzył swój manewr i zmusił kozaków do odwrotu. Nadaremnie nieszczęśliwi kubańcy usiłowali zbliżyć się do tłumu. Zasypani za każdym razem gradem cegieł, gruzu, kamieni, okaleczeni, obryzgni błotem, już dali za wy-

graną, gdy niespodziewanie od kościoła Bernardynów wyruszył kondukt pogrzebowy. Z nieprzewidzianej okoliczności postanowiła skorzystać zgromadzona przed kościołem publiczność i pod osłoną konduktu przejść plac Zamkowy, a następnie połączyć się z procesją. Ale kozacy rzucili się ku karawanowi i nareszcie, zetknąwszy się z publicznością, puścili w ruch nahaże. W bójce, która się wywiązała, uszkodzony został krzyż, niesiony przed trumną.

Okrzyk oburzenia rozległ się wśród tłumów.

— Krzyż łamią! — wołano w najwyższym podnieceniu i znowu cegły a kamienie zaczęły się walić na kozaków. Wtedy wystąpiła piechota, a przed tłumem zjawił się generał Zabołocki i acz nie miał żadnych rozkazów, na własną rękę zagroził ludowi, że jeśli się natychmiast nie rozejdzie, to żołnierze użyją broni palnej.

— Nie wolno, — odpowiedziano mu z tłumu, — Napoleon zabronił!..

Zabołocki dał rozkaz, aby nabito karabiny.

Ale zaraz rozległy się głosy, by nikt nie ustępował i nie obawiał się niczego, gdyż karabiny nabito ślepymi nabojami. Więc lud uspokojony stał w miejscu i, nie zważając na nowe ostrzeżenie, drwił z żołnierzy, szydził z groźby generała, ciskał w dalszym ciągu cegły i kamienie. Śród tej wrzawy rozległ się nagle ostry głos komendy: p li! Huknęła salwa, a dźwięk szyb i jęki ofiar, padających na ziemię, przekonały wszystkich, że nie ślepymi nabojami strzelała piechota. Okrzyk przerażenia wydarł się z setek i tysięcy piersi. Zbita, czarna fala ludzka skłębiła się na chwilę, poczem, opanowana panicznym strachem, rozprysła się na wszystkie strony i mnóstwem huczących

strumieni rozlała się po całym mieście. W jednej chwili z krańców w krańce Warszawy gruchnęła wieść o strasznych wypadkach i wszędzie piorunujące uczyniła wrażenie. Pomimo grozy, która zawisła nad miastem, lud zaczął się skupiać nanowo i z różnych stron zbliżać się do miejsca katastrofy. Plac Zamkowy był pusty, gdyż wojsko cofnęło się do zamku. Tylko zabici i ranni zalegali okropne pobojowisko. Na ten widok lud z płaczem i z klątwami rzucił się ku ofiarom.

Okazało się, że pięć osób poniosło śmierć od strzałów: dwaj obywatele ziemscy, Marceł Karczewski z Sieradzkiego, Zdzisław Rutkowski z Radomskiego, robotnik Karol Brendel, rzemieślnik Adam Filipkiewicz i Michał Arcichiewicz, uczeń szkoły realnej.

Narazie nie wiedziano, co z trupami robić. Niesiono zamordowanych przez ulice, a lud gromadził się coraz tłumniej i coraz groźniejszą przybierał postawę. Tu i owdzie na widok zabitych rozlegał się płacz, gdzieindziej padało przekleństwo. Niosący poległych wołali:

— Zdjąć czapki. Cześć dla ofiar!..

Więc obnażały się głowy, a gdzieniegdzie całe gromady klękały na bruku i z rękoma, wzniesionymi w niebo, zaprzysięgały zemstę. Arcichewicza zaniecono przed pałac Zamoyskiego na Nowym Świecie. Liczne głosy wywoływały pana Andrzeja. A gdy ukazał się ten człowiek, znany i popularny w całym kraju, proszono go, aby się odezwał, aby coś przedsięwziął...

— Panie hrabio, — wołały wzruszone głosy, — ujmij się za nieszczęśliwym narodem, męczonym i zabijanym...

Zamoyski milczał. Był poruszony, ale zachował swój chłód angielski. Zapewne nie wiedział, co mówić, co począć. Gdy kilka godzin przedtem wprowadzony został do sali obrad w pałacu namiestnikowskim zboczony krwią Józef Narzymski, znany dobrze obywatel, głośny później pisarz, poraniony przez kozaków pod kolumną Zygmunta, Zamoyski nie tuił swojego niezadowolenia. Gdy liczne głosy zaczęły się domagać, by Towarzystwo Rolnicze wysłało do namiestnika deputację z protestem, odparł, że nie myśli przewodniczyć „burdzie“. Potem, pod wpływem burzy, którą wywołały jego słowa, zamknął posiedzenie. Obecnie, na widok trupa stał niemy, zakłopotany i chłodem angielskim starał się zamaskować swoje wzruszenie i swoją niemoc. Znalazł się jednak przygodny mówca i, wyprowadzając hrabiego z kłopotliwej sytuacji, wygłosił piorunującą mowę, po której fala ludzka popłynęła dalej.

Zwłoki poległych, obnoszone po ulicach, złożono w końcu w jednej z sal hotelu Europejskiego.

W mieście wzburzenie rosło. Krew, przelana na bruku Warszawy, wyprowadziła ludność z równowagi. Na ulicach wszędzie tworzyły się gromady ludzkie, wszędzie padały słowa mocne, gorące, a nie brak było głosów, by porwać się przeciw wojsku i wymordować Moskali. Kupcy pozamykali sklepy. Zdać się mogło, że lada chwila wybuchnie rewolucja i obejmie płomieniami stolicę.

Ten nastrój podniecony, gorączkowy, tysiące grózb, wieści, plotek, obijały się o uszy namiestnika, który wprawdzie nie wydawał rozkazu, by strzelano do tłumu, lecz w pierwszej chwili pochwalił postępek generała Zabołockiego. Książę Górczakow na wiadomo-

mość o niesłychanem podnieceniu miasta wpadł w gniew. Arcybiskupa Fijałkowskiego, który przybył do zamku, by zaprotestować przeciw strzelaniu do bezbronnego ludu, przyjął szorstko, wołając, że jeżeli powtórzą się zaburzenia, to on każe walić do miasta ze wszystkich dział w cytadeli. Staruszek nie przeląkł się tej groźby, lecz, jak świadczy Berg, odpowiedział ze wzburzeniem:

— A ja każe walić we wszystkie dzwony...

Nastrój bojowy namiestnika minął jednak szybko. Chwiejny i niezdecydowany Gorczakow stracił głowę. Wpadłszy z jednej ostateczności w drugą, przestraszył się dokonanego dzieła i gotów był uczynić krok jakiś, aby ułagodzić wzburzenie.

Gdy tak na zamku zmieniały się nastroje, wybitniejsza szlachta, rozumiejąc, że wobec zaszyłych wypadków nie można zachowywać się beczynn timer, waliła z różnych stron miasta do pałacu Zamoyskiego. Jednocześnie inteligencja mieszczańska gromadziła się w Resursie Kupieckiej. Wszyscy rozumieli, że trzeba się na jakiś krok ważyć, a ponieważ nikt nie występował z nowym pomysłem, więc tu i tam zaczęto zastanawiać się znowu nad wysłaniem do cara adresu.

Zamoyski, przeciwnik tego rodzaju kroków, wierny swojemu programowi, by nie wchodzić w stosunki z władzami rosyjskimi, by o nic nie prosić, z najwyższą niechęcią udał się z wiceprezesem Towarzystwa, Ostrowskim, do zamku. Idąc do sali, w której czekał namiestnik, pan Andrzej, spotkawszy po drodze Trepowa, fuknął na niego:

— Co wyrabiacie?!.. Strzelacie do ludzi, jak do kaczek!..

Trepow przestraszył się tego tonu i prosił Zamoy-
skiego o radę, ale ten zimno odpowiedział, że udzie-
lanie rad policji nie do niego należy. W rozmowie
z wysoce zakłopotanym Gorczakowem pan Andrzej
był zimny, sztywny. Namiestnik tłumaczył się, obie-
cał zarządzić śledztwo i winnych katastrofy pociągnąć
do odpowiedzialności. Na przyjęcie adresu do cara
zgodzić się nie chciał, uznając jednakże konieczność
uspokojenia opinji, zwrócił się do Zamoyskiego z py-
taniem, co radzi mu przedsięwziąć. Na to pan An-
drzej wycedził zimno przez zęby:

— Opuścić kraj...

Rozmowa, prowadzona w ten sposób, nie dopro-
wadziła do żadnych rezultatów. Obaj wysłańcy z ni-
czem powrócili do pałacu, w którym oczekiwano ich
niecierpliwie.

W tym samym czasie w Resursie Kupieckiej rów-
nież toczyły się bezładne, chaotyczne obrady. Kilka-
set osób, rozprawiających w podnieconym nastroju,
długo nie mogło zdobyć się na żadną decyzję. Wresz-
cie na wniosek Kronenberga zebranie postanowiło
wybrać kilkunastu przedstawicieli, którzy mieli ob-
myślić niezwłocznie środki działania. W ten sposób
powstało nowe ciało, ochrzczone mianem Delegacji
Miejskiej. Do Delegacji powołano wszystkich,
co dnia poprzedniego wybrani zostali do zredagowa-
nia adresu, a nadto dodano im jeszcze kilku zna-
nych obywateli: bankierów Kronenberga i Matyasa
Rosena, fotografa Karola Bayera, właściciela domu,
Jakóba Piotrowskiego i adwokata Trzetrzewińskiego.
Wybrani natychmiast odbyli posiedzenie, na którym
mimo spóźnionej pory nocnej postanowili wysłać
deputację do namiestnika, przedstawić mu oburzenie

stolicy, zażądać zadośćuczynienia za zabójstwo bezbronnych ludzi i prosić o pozwolenie złożenia adresu. Jakoż ośmiu członków delegacji, jak który stał, wsiadło do dorożek, pojechało do zamku i kazało zameldować się namiestnikowi. Gorczakow był tak niespokojny, że mimo spóźnionej pory niezwłocznie przyjął delegację. Pierwszy zabrał głos Szlenkier i tonem stanowczym wygłosił mowę, w której, ubolewając nad strasznymi wypadkami, kategorycznie oświadczył, że bagnety i żandarmi nie zastraszą już ludu Warszawy. Namiestnik, zmieszany śmiałym tonem tej mowy odpowiedział, że zarządzi śledztwo, ale Szlenkier zawołał, że to nie wróci życia zabitym, nie uspokoi miasta, które w rozpacz gotowe jest posunąć się do ostateczności. Równie energicznie przemówił Chałubiński, później zabrał głos szewc Hiszpański i protestował przeciw zarzynaniu ludzi „jak bydła“.

Postawa delegacji uczyniła na miękkim namiestniku bardzo silne wrażenie. Obawiał się nowych zaburzeń, lękał się gniewu carskiego, przerażał się na myśl, że gwałty w Warszawie poruszą opinię europejską i wielką przeciw Rosji spowodują burzę. Pod wpływem tych obaw postanowił udzielić dymisji Trepowowi, zgodził się na uroczysty pogrzeb pięciu poległych, na wycofanie z ulic wojska i policji, na utworzenie obywatelskiej straży bezpieczeństwa. Ustępstwa te wpoily w delegatów przekonanie, że namiestnik pójdzie w ustępstwach dalej i ostatecznie przyjmie nawet adres, byle tylko z całą energją nie przedstawano upominać się o to.

Długo w noc trwały narady Delegacji Miejskiej nad utworzeniem komitetu pogrzebowego, nad zorga-

nizowaniem straży, wreszcie nad adresem, co do którego postanowiono porozumieć się jeszcze ze szlachtą, skupioną przy Zamoyskim.

Tak więc manifestacja, acz nie odbyła się według programu, acz zakończyła się krwawo, poruszyła wszystkie sfery ludności, zmusiła do działania mieszczaństwo i szlachtę, oddziałała na władzę i skłoniła ją do ustępstw. Dzięki manifestacji, i sprawa przyjęcia przez namiestnika adresu miała już wszystkie szanse powodzenia. Jakoż członkowie Delegacji oddziałała na szlachtę — i mieszana komisja adresowa przystąpiła do pracy.

Bawił w owym czasie w Warszawie margrabia Aleksander Wielopolski. Wiedząc o zamiarach złożenia adresu, margrabia napisał własny projekt i przez Tomasza Potockiego przedstawił swą pracę komisji. Punktem wyjścia dla margrabiego był Statut organiczny oraz szereg rozległych, a pozytywnych reform przez Statut nieprzewidzianych. Wielopolski, gorący zwolennik pojednania z Rosją, błagał w swym projekcie cara o zapomnienie przeszłości i o położenie kresu nienormalnym stosunkom, panującym od r. 1831-go w Królestwie. Projekt Wielopolskiego bez czytania został przez komisję odrzucony. Obrażony margrabia wyjechał z Warszawy, a komisja wypracowała adres, który nie zawierał nic konkretnego. Wprawdzie redaktorzy adresu, wszyscy przeciwnicy wystąpień ulicznych, starali się wykorzystać wielkie wrazenie, wywołane manifestacją. Pisali więc, że wypadki warszawskie „nie są wybuchem społecznych namiętności jakiejś pojedynczej warstwy narodu“, lecz „jednomyślnym, gorącym objawem tłumionych uczuć i niezaspokojonych potrzeb“. Jakoż uczuciom dawa-



ANTONI FIŝEKOWSKI

no silny wyraz, ale potrzeb nie wyliczano. Redakto-
rzy adresu, wychodząc z założenia, że jedynym za-
łatwieniem sprawy polskiej jest wskrzeszenie Polski
Niepodległej, nie chcieli powiedzieć nic takiego, co by
mogło świadczyć, że naród zadowolony się może ustęp-
stwami. Więc adres nie zawierał żądań, był skargą,
był krytyką władz i rządu, był wyrazem żalu, wyle-
wem uczuć, słowem, był wszystkim, nie był tylko
aktem politycznym.

Mimo to praca komisji podobała się szerokim ko-
łom społeczeństwa. Powszechnie widziano w adre-
sie wyraz dążeń niepodległościowych, choć samo
zwrócenie się do tronu rosyjskiego było sprzeczne
z takim dążeniem i w fałszywym stawiło je świe-
tle. Adres podpisali najpierw przedstawiciele ducho-
wieństwa: arcybiskup Fijałkowski, pastor Otto, rabin
Mayzels, następnie Komitet Towarzystwa Rolniczego
z Zamoyskim na czele, mnóstwo wybitniejszych oby-
wateli, a w ciągu dni kilku kilkanaście tysięcy pod-
pisów znalazło się pod adresem.

Dnia 28 lutego deputacja, złożona z przedstawi-
cieli Komitetu Towarzystwa Rolniczego i Delegacji
Miejskiej z arcybiskupem Fijałkowskim na czele, uda-
ła się do Górczakowa i wręczyła mu adres. Namiest-
nik, nie tając zakłopotania, adres przyjął i obiecał
nawet niezwłocznie przesłać go do Petersburga.

Tymczasem Komitet pogrzebowy, wyłoniony przez
Delegację Miejską, przygotowywał na dzień 2 marca
uroczysty pogrzeb pięciu poległych. Na ulicach za-
jęła swe posterunki straż bezpieczeństwa, utworzona
z młodzieży, a publiczność okazywała jej największe
posłuszeństwo. W całym mieście panowała niezwy-
kła, majestatyczna powaga. W dzień pogrzebu nie-

zliczone tłumy, ubrane żałobnie, wyległy na ulice, któremi przechodzić miał kondukt. Z dachów, z balkonów, z okien domów zwieszały się żałobne opony z białymi krzyżami. Ruch był olbrzymi, ale straż bezpieczeństwa wszędzie wzorowy utrzymywała porządek. Głęboka, uroczysta cisza panowała w mieście. A w kościele św. Krzyża, gdzie spoczywały zwłoki poległych, biskup Dekert odprawiał mszę żałobną. Po mszy stary, a siwiutki, jak gołąb, arcybiskup Fijałkowski, otoczony licznem duchowieństwem, a ubrany dnia tego w purpurę i złoto, zbliżył się do trumien i uroczyście pobłogosławił zwłoki pomordowanych. Głośny płacz rozległ się w kościele. O godzinie 10-tej wyniesiono ze świątyni trumny, przystrojone w wieńce palmowe i korony z cierni. Śród potężnego jęku dzwonów olbrzymi orszak, obliczony na 100,000 ludzi, wyruszył na Powązki. Pochód rozpoczął nowy naczelnik policji, generał Pauluzzi, jadący konno w paradnym mundurze generalskim. Za nim posuwał się konny oddział strażaków. Tuż przy Pauluzzim szedł Karol Ruprecht, znany w mieście sybirak, patryjota, ułaskawiony pod stopami szubienicy, następnie posuwali się utrzymywani przez Towarzystwo Dobroczynności starcy i sieroty, dalej uczniowie szkół niższych, akademicy, Szkoła Sztuk Pięknych, Instytut agronomiczny, dalej jeszcze bractwa kościelne z płonącymi świecami i cechy, nad którymi wznosiły się malownicze sztandary, opasane zwojami czarnej krepy. Za cechami kroczyło duchowieństwo katolickie, luterańskie, kalwińskie, a przy karawanach postępowali z wielką powagą rabin Mayzels i kaznodzieja żydowski, dr. Jastrow, obaj ubrani w du-

że lisie czapy. Za nimi szły we wzorowym szyku tłumy publiczności, szły z uroczystą powagą, trzymając się pod ręce. Śród potężnego jęku wszystkich dzwonów kościelnych, rozkołysanych dnia tego nad pogrążoną w żałobnym smutku stolicą, złożono w jednym grobie poległe ofiary. Usypano pięć mogił, które w jednej chwili pokryto górą świeżego kwiecica i zieleni. Po skończeniu obrządków religijnych olbrzymie tłumy, stosując się ściśle do wskazówek przez straż udzielanych, w największym porządku opuściły cmentarz i rozeszły się do domów.

Od tego pamiętnego dnia, który w jednym głębokim uczuciu połączył ze sobą wszystkie warstwy społeczeństwa, całą ludność stolicy ogarnęła niezwykle silna egzaltacja religijno-patryjotyczna i niezatarte piętno wycisnęła na ówczesnem życiu całego kraju. Pod wpływem tej egzaltacji cechy i zrzeszenia kupieckie zniosły ograniczenia dla Żydów, a Żydzi ze swojej strony na każdym kroku podkreślali silnie swoje patryjotyczne dla Polski uczucia. Ruch przeszedł z Warszawy na prowincję, powołał do życia w znaczniejszych miastach delegacje, zbliżył do siebie różne stany i wyznania, objawiać się zaczął wzmożoną pracą kulturalną. Powstawały nowe placówki, a więc ochrony, szkółki, czytelnie dla ludu. Wzmogła się ofiarność publiczna, budził się wszędzie patryjotyzm i objawiał się urządzaniem obchodów narodowych, manifestacji, nabożeństw za pomyślność ojczyzny.

W trakcie tego Gorczakow w odpowiedzi na zaawidomienie o przyjęciu adresu otrzymał z Petersburga odpowiedź surową, a nawet gniewną. Ale-

ksander rozkazywał mu, aby oświadczył zainteresowanym, że z powodu nieprzyzwoitości żądań adres zostaje zwrócony bez skutku. Ale chwiejny namiestnik, który nieopatrznie wobec najbardziej znanych w kraju obywateli zaangażował się osobiście, nie spełnił rozkazu, lecz ratując swoją powagę, wysłał do Petersburga, sekretarza Rady Administracyjnej, Polaka Karnickiego, z poleceniem, aby osobiście zdał carowi sprawę z tego, co się dzieje w kraju i starał się przekonać Aleksandra, że jedynie szybkie przeprowadzenie reform może zapobiedz dalszemu wzburzeniu. Karnicki, człowiek zręczny, obrotny, posiadający w Petersburgu rozległe stosunki, dobrze wywiązał się z zadania. Car, po wysłuchaniu relacji Karnickiego i po naradach z dygnitarzami, uznał słuszność przedstawień i zgodził się zasadniczo na przyznanie Królestwu reform, ale ich skala i zakres miały być przedmiotem specjalnych obrad, sama zaś decyzja carska winna była pozostawać do czasu tajemnicą.

Gdy tak w stolicy nad Newą odkładano na czas dalszy reformy, w Warszawie działała w dalszym ciągu Delegacja Miejska. Chciał ją namiestnik zaraz po pogrzebie rozwiązać, ale gdy mu oświadczone, że w takim razie nikt z obywateli za spokój w mieście ręczyć nie może, Górczakow poniechał zamiaru, zgodził się przedłużyć egzystencję tej instytucji, a nawet liczbę jej członków powiększyć do 24-ch. Na prezydenta Delegacji powołany został cieszący się w mieście sympatją generał Pauluzzi. Delegacja przeniosła się uroczyście do ratusza i rozpoczęła swe rządy od upomnienia się o uwolnienie więźniów politycznych. I to żądanie w znacznej mie-

rze spełnił Gorczakow. Ale rządy Delegacji ograniczyły się do zorganizowania straży bezpieczeństwa i do pośrednictwa w zatargach pomiędzy ludnością miejską a władzami. Ani do faktycznego objęcia władzy w mieście, ani do wstąpienia na drogę polityczną Delegacja nie czuła się zdolną.

Mimo to otaczano Delegację wielkiem poważaniem. Jedynie w kołach górętszej młodzieży postępowanie tego organu zaczęło budzić niezadowolenie. Niezadowolenie to wzrosło, gdy 12 marca przyszła odpowiedź cara na przesłany mu adres. W reskrypcie, podanym do wiadomości publicznej, car zaznaczał na wstępie, że właściwie nie powinien odpowiadać na przesłaną mu petycję pewnej liczby osób, przywłaszczających sobie samowolnie prawo potępienia rządu. Zapewniał jednakże, że nie przestaje myśleć o reformach w swem państwie, że Polacy są przedmiotem takiej samej jego troskliwości, jak inni poddani, wyrażał nadzieję, że te uczucia znajdą uznanie, zapowiadał wreszcie, że niewczesnym pragnieniom i nieporządkom pobyłać nie będzie.

Reskrypt wywarł wrażenie przygnębiające.

Wprawdzie Gorczakow, pragnąc to wrażenie złagodzić, wezwał do siebie Zamoyskiego, Szlenkiera i Kronenberga i zapewniał ich poufnie, że niebawem ogłoszone zostaną rozległe dla Królestwa reformy, ale te zapewnienia wobec ogłoszonego reskryptu nie mogły uśmierzyć niezadowolenia, jakie reskrypt wywołał w całym kraju.

Pod wpływem tego niezadowolenia i Delegacja Miejska postanowiła się rozwiązać; gdy jednakże przedłużała swój żywot, Karol Nowakowski, który

dzięki staraniom Delegacji odzyskał wolność, zebrał gromadę młodzieży, uzbrojonej w kije, i siłą postanowił rozpedzić to zgromadzenie, które paktowało nieustannie z Zamkiem, a nie umiało ani zagarnąć w swoje ręce władzy faktycznej, ani stać się organem protestu przeciw rządowi rosyjskim. Jakoż młodzież pod wodzą Nowakowskiego wtargnęła do Resursy Kupieckiej w chwili, gdy Delegacja przed szerszym kołem obywateli zdawała sprawę ze swoich czynności. Zanosilo się na wielką awanturę. Zapobiegło jej wystąpienie Karola Ruprechta, szanowanego w całym mieście sybiraka, który przemówieniem swoim w obronie Delegacji ułagodził, a nawet rozczulił zapalną, lecz wrażliwą młodzież. Delegacja ocalała, lecz nie na długo.

W tym czasie zaszedł wypadek, który wywołał radość powszechną. Oto znienawidzony w całym kraju Muchanow otrzymał dymisję. Upadek jego spowodowała tajna intryga, zapomocą której chciał dla rządu rosyjskiego zjednać lud wiejski przez rozbudzenie w nim nienawiści do dworów i do inteligencji. Intryga wydała się i satrapa zmuszony był opuścić swoje stanowisko. Wyjeżdżał po wysłuchaniu kocięj muzyki, którą przed jego domem urządziła młodzież, a której nasłuchać się musiał jeszcze na każdej stacji wzdłuż kolei Wiedeńskiej. Wagon, w którym jechał, stanął w Granicy, z wybitymi szybami obryzany błotem.

Ale współcześnie z tą dymisją na rozkaz carski rozwiązana została Delegacja Miejska. Na jej miejsce Gorczakow, nie chcący drażnić opinii, powołał do życia Tymczasowy Wydział Obywatelski.

Żywot tej instytucji również nie był długi. W marcu 1861 roku zaszyły doniosłe wydarzenia, które wytworzyły nową sytuację.

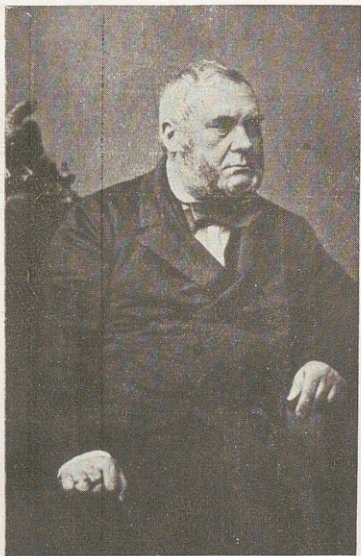
Na widowni życia publicznego w Polsce ukazała się olbrzymia postać Wielopolskiego.

W dziejach ruchu, poprzedzającego wybuch powstania, był to punkt zwrotny.

MARGRABIA WIELOPOLSKI
I DZIEŃ 8-go KWIETNIA.

Margrabia Wielopolski liczył podówczas lat pięćdziesiąt siedem. Była to postać już na pierwszy rzut oka wysoce uderzająca. Wielkiego wzrostu i niezwykłej tuszy, niekształtny i niezdarny, jak niedźwiedź, dźwigał na potężnym karku głowę, którą dość było raz ujrzeć, by wryła się w pamięć nazawsze. Była to głowa olbrzymia o wysokiem czole i obliczu, jakby wyrąbanem z marmuru. Z pod zasępionych, gniewnych brwi, patrzyły oczy krótkowidza, oczy zimne i rozumne zarazem. Dwie proste, mocne fałdy, biegnące od nosa ku kończynom ust mocno zaciśniętych, nadawały tej twarzy wyraz lwa. Pycha, wola i rozum malowały się na niej.

Majestatyczny, nieprzystępny, pewny siebie margrabia, od wczesnej młodości przyzwyczał się do zawziętej walki życiowej, nauczył się pomiatać ludźmi i gardzić opinją. Kształcił się we Francji i w Niemczech. W Paryżu uczył się prawa, w Getyndze uczęszczał na wykłady filozofji i uzyskał tytuł doktora. Przed powstaniem listopadowem dał się już po-



ALEKSANDER Margr. WIELOPOLSKI

znać społeczeństwu, jako wytrawny prawnik w głośnych procesach o odzyskanie utraconych przez ojca dóbr ordynacji Myszkowskich. Procesy te, mające na celu podniesienie świetności rodu Wielopolskich, kosztem licznej rzeszy zainteresowanych, naraziły młodego magnata opinii całego kraju. W czasie powstania Wielopolski otrzymał od rządu misję dyplomatyczną do Londynu, a powróciwszy do kraju, przyłączył się do obozu zachowawczego. Już wtedy w charakterze posła i publicyisty dał się poznać, jako nieubłagany wróg tych, co rewolucję rewolucyjnymi chcieli ratować środkami. Po upadku powstania wyemigrował z kraju, ale trzymał się zdala od prac emigracji. Na dyplomatyczną działalność Czartoryskiego spoglądał z góry, a dla demokratów bezwzględna żywił pogardę. Wbrew opinii emigracji, przyjął po paru latach tułaczki amnestję, powrócił do Polski, osiadł w swych dobrach i wiele rozmyślał o położeniu kraju, o nieszczęściach narodu, wreszcie o środkach, mogących zmienić niesłychanie smutny stan rzeczy.

Wtedy to wytworzył sobie program, który wyzwał się walki zbrojnej o niepodległość, zalecał lojalizm w stosunku do wszystkich trzech rządówaborczych, zrywał raz na zawsze z metodą konspiracji, z ideą spisków i powstań. Margrabia wierzył, że dla przyszłości narodowej Polaków najmniej straszna jest Rosja, a wydawało mu się, że pochodzenie słowiańskie obu narodów zbliżyć je może do siebie, skoro tylko Polacy wyrzekną się nieosiągalnych marzeń i wobec państwa rosyjskiego złożą dowody swojej lojalności. Śród szczęku wleczonych na Sybir łańcuchów, śród zgrzytu szubienic, w epoce rozhukanej

zemsty Mikołaja, snuł Wielopolski swoje projekty o zbrataniu obu narodów, a nawet o wielkiej roli dziejowej, którą przywrócona do łask carskich Polska odegrać może w całej Słowiańszczyźnie...

Wypadki galicyjskie roku 1846-go natchnęły margrabiego myślą zarysowania swego programu. Uczynił to w formie listu do ks. Metternicha, a uczynił w sposób niesłychanie jaskrawy i wyzywający. Słynny „List szlachcica polskiego“ był przekreśleniem wszystkiego, o co od rozbiorów walczyła rozszarpana Polska, był całkowitem zdaniem się na łaskę i niełaskę potężnego mocarza północy. Stawiając szlachtę polską przed tronem Mikołaja, te słowa wkłada jej w usta Wielopolski:

„Przychodzimy oddać się tobie, jako najwspaniałomyślniejszemu z przeciwników. Byliśmy twoimi, jak niewolnicy, prawem zaboru, przez postrach i wazyliśmy sobie za nic wymuszone przysięgi. Dziś nabywasz nowy tytuł władania. Oddajemy się tobie, jako ludzie wolni, z dobrej ochoty... Stajesz się panem naszym z łaski Boga, którego wyrokowi poddajemy się. Odrzucamy precz zwodnicze współczucia, tanie frazesy i wszystko, co ludzie pompatycznie prawem narodów zowią, owe łachmany, którymi przyodziewało nas miłosierdzie Europy, nie mogące przykryć naszych ran i blizn“...

Za takie oddanie się Mikołajowi żądał Wielopolski od cara, aby pomścił krew słowiańską, przelaną w Galicji w roku 1846-ym skutkiem zbrodniczej polityki Metternicha.

Taki był ostateczny wywód rojeń, o jedności słowiańskiej, o wzmożeniu potęgi cara, jako apostoła idei słowiańskiej, o wielkiej roli, jaką w całej Sło-

wiańszczyźnie, a przede wszystkim w Rosji, mogliby odegrać pojednani z potęgą carską Polacy.

„List szlachcica polskiego“ wywołał łatwo zrozumiałe oburzenie. Uznanie cara, który nieubłaganą zemstą ścigał całe społeczeństwo, a tysiące Polaków w sposób katowski wytracił, za prawego władcę „z łaski Pana Boga“, musiało w uszach polskich zabrzmieć, jak zgrzyt zdrady, jak dzikie naigrawanie się z nieszczęść narodu. Jakoż „List szlachcica“ ściągnął na głowę autora istne gromy potępienia. Nawet zachowawczy Zygmunt Krasiński w natchnionych płomiennych strofach rzucił straszną kłutwę na program polityczny Wielopolskiego.

Niektórzy historycy niejednokrotnie utrzymywali, że program ten miał za sobą w przeszłości cały szereg zasłużonych mężów i statystów polskich, jak Staszic, na którego w swym liście powołał się autor, jak ks. Adam Czartoryski, Mostowski, Lubecki. W gruncie rzeczy był to program całkiem nowy, nikt bowiem przed Wielopolskim nie zdawał się z taką bezwzględnością na łaskę i niełaskę drapieżnego despotyzmu Rosji, nikt nie był apostołem takiej rezygnacji, jaką w swym „Liście“ głosił Wielopolski. Sam on wreszcie, wszedłszy na drogę politycznego działania, nie był w praktyce wyznawcą oddawania się bez zastrzeżeń północnemu „władcy z łaski Pana Boga“.

W przeszłości najbliższej może wyobrażeń i systemu margrabiego stał minister skarbu, książę Ksawery Lubecki. Łączył ich obu lojalizm do tronu, praktyczny zmysł w działaniu, lekceważenie opinii, ogromny upór, a nadto zamiłowanie do szermierki na słowa, w której obaj byli mistrzami. Ale gdy słowo Lu-

beckiego było giętkie, zwinne, śmiałe, często niespodziewane i oslepiające, jak raca, wyblyskująca z ciemności, słowo Wielopolskiego padało ciężko, jak kamień, a było dotkliwe, jak uderzenie lwiej łapy. Zarozumiały i pewny siebie Lubecki był graczem i w polityce, i w życiu. W krytycznych chwilach umiał zbliżyć się do przeciwników i staczać z nimi boje dialektyczne. Wielopolski gry ze swoimi przeciwnikami nie próbował nigdy: on jednym zamachem chciał ich złamać, zniszczyć, zdruzgotać. Nadto w duszy margrabiego było coś z piniacza, coś z adwokata procesowicza, który przyzwyczał się odpowiadać na każdą zaczepkę i na każdą złośliwość, nic nie darować, za wszystko płacić z okładem, walczyć oko za oko, ząb za ząb.

To usposobienie Wielopolskiego znalazło swój wyraz w głośnym na kraj całym zatargu o cenne zbiory i bibliotekę po zmarłym Konstantym Świdzińskim, które margrabia, wbrew opinii całego kraju, umieścić w rezydencji swej, w Chrobrzu. Niepopularny, nie-lubiany, nie zyskał uznania, nie cieszył się sympatją.

Ale Wielopolski miał ambicję, a nie należał do ludzi, którzy łatwo dają za wygraną. Nie mogąc znaleźć oparcia w społeczeństwie, postanowił działać na własną rękę. Kiedy książe Górczakow powziął myśl domagania się w Petersburgu reform dla Królestwa, naczelny prokurator senatu, Enoch, człowiek zręczny, a pozostający w stosunkach z margrabią, zwrócił uwagę namiestnika na Wielopolskiego. „List szlachcica“ przekonał ks. Górczakowa do autora. Otóż Enoch twierdził, że społeczeństwo mogłaby uspokoić reforma w sprawie oświaty, proponował wskrzesze-

nie komisji wyznań i oświecenia publicznego, a na dyrektora tej komisji wysuwał kandydaturę Wielopolskiego.

Gorczakow postanowił porozumieć się z margrabią.

Więc Wielopolski przyjechał do Warszawy i na własną rękę rozpoczął pertraktacje. Namiestnik, człowiek chwiejny, niezdecydowany, pragnący spokoju tyleż dla siebie, ile dla kraju, z podziwieniem spoglądał na tego kolosa, który miał niezachwianą pewność siebie, imponował mu swoją wolą, energią, decyzją. Gorczakow szybko przekonał się do margrabiego, a wkrótce doszedł do przekonania, że ten człowiek ze skały potrafi, gdy zechce, opanować społeczeństwo, stłumić wrzenie i wrócić Królestwu upragniony spokój. A Wielopolski za wiele posiadał rozumu, by nie starać się o wyzyskanie sytuacji. Więc gotów był przyjąć proponowany mu urząd, ale pod warunkami uzyskania gruntownych dla kraju reform. Jakoż opracował memorjał, w którym, nie mogąc przeprowadzić wszystkich swych życzeń, domagał się w porozumieniu z Gorczakowem utworzenia komisji wyznań i oświecenia publicznego, uniwersytetu, Rady senatorskiej, Rady Stanu, rad wojewódzkich, powiatowych i miejskich, podziału Królestwa na województwa, sądu najwyższego, nadania wszystkim instytucjom pieczęci z herbem Królestwa oraz szeregu innych reform w myśl dość daleko sięgającego projektu autonomji. • Z tym memorjałem Gorczakow wysłał do Petersburga wyższego urzędnika Kretkowskiego, a ze swojej strony napisał list, w którym przedstawione przez margrabiego żądania nazwał programem

społeczeństwa polskiego, a przyjęcie tego programu uważał za konieczne dla uspokojenia kraju.

Właśnie w tym czasie, na skutek poselstwa Karnickiego, pracowała w Petersburgu z polecenia cara specjalna komisja, mająca ustalić konieczne dla Królestwa reformy. Memorjał margrabiego zjawiał się w porę, a okoliczności sprzyjały wyjednanemu ulg dla Polaków. Wewnątrz carstwa trwały zaburzenia chłopskie, inteligencja rosyjska dopominała się o konstytucję i sprzyjała uregulowaniu stosunku z burzącą się Polską. Cesarz Francuzów, Napoleon, starał się drogą dyplomatyczną przekonać Petersburg o konieczności ustępstw dla Królestwa, w Anglii obie izby zajmowały się sprawą polską, a w Rzymie sam papież odprawił uroczyste nabożeństwo żałobne za pięciu poległych. Pod wpływem niepokoju wewnątrz państwa i nacisków z zewnątrz, nieprzyjazna Polakom biurokracja rosyjska skłonna była do ustępstw. Ale rada ministrów uznała, że reformy margrabiego są zbyt wygórowane. Jednakże 26 marca ogłoszony został ukaz carski, ustanawiający komisję rządową spraw duchownych i oświecenia publicznego z margrabią Wielopolskim, jako dyrektorem głównym, na czele. Nadto ukaz zapowiadał powołanie do życia Rady Stanu, rad gubernjalnych, powiatowych i miejskich, utworzenie wyższej szkoły prawniczej i reorganizację szkolnictwa.

W ten sposób Wielopolski wszedł do rządu, nie otrzymawszy wszystkiego, czego się domagał, ale wszedł z silną wiarą, że niebawem dalsze zdobędzie ustępstwa i w dziejach Polski nową zapoczątkuje erę. Wyobrażał sobie, że pozyska dla swoich zamiarów pomoc ludzi umiarkowanych, a czerwieńcom, rewo-

lucjonistom, burzycielom spokoju, zaprzysiągł w duszy zagładę. Chciwy władzy, która była jego żywiołem, nie orjentował się może w całej rozciągłości, że stanowisko swoje nie czemu innemu, jeno niepokojom, demonstracjom i wzburzeniu społeczeństwa zawdzięczał. Nie czem innym, tylko koniecznością uspokojenia Polaków motywował namiestnik potrzebę reform dla Królestwa. Biograf i chwalcą margrabiego, Henryk Lisicki, przyznaje w swem dziele, że „jak długo Polacy byli spokojni, mało kto w Petersburgu o nich się troszczył“...

Tymczasem Wielopolski, stanąwszy u mety, postanowił przede wszystkim stłumić budzący się ruch i zniszczyć ową siłę, dzięki której wkraczał na widownię.

Wytwarzała się tragiczna sytuacja.

Od chwili, gdy społeczeństwo polskie ocknęło się z drzemki, powstał w całym kraju naturalny pęd do stwarzania ośrodków życia publicznego i do stawiania tych ośrodków na piedestale autorytetu. Dlatego to niesłychanym urokiem cieszyło się Towarzystwo Rolnicze, dla tej również przyczyny Warszawa z radością powitała Delegację Miejską i darzyła ją swoim uznaniem. Lecz dla Wielopolskiego wszystkie te autorytety, wyrastające ponad władzę rządu, były zawadą i przeszkodą. Władzę moralną pragnął margrabia zastąpić władzą istotną i sam zostać autorytetem. W myśl tego postanowił zmieść z widowni Towarzystwo Rolnicze, rozpędzić szczątki Delegacji w postaci Wydziału Obywatelskiego, a wkońcu rozprawić się z „anarchją“. Tuszył sobie, że w swych niedźwiedzich barach zdusi „potwora rewolucji“, powali go na ziemię, zdepcze, a następnie, poparty przez

spokojne elementy, poprowadzi kraj ku nowej a jasnej przyszłości. I znowu nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób własnymi rękoma zasypuje źródło, z którego wytrysnęły reformy i strumień jego własnej władzy.

Bezwzględny, pewny siebie, z ogromną energją przystąpił do pracy. Rozstrojona machina rządowa drgnęła odrazu, jak statek, wprawiony w ruch silną dłonią wprawnego sternika, a nieprzytomnej, chwiejnej, jak sam namiestnik, administracji Królestwa przybyła wraz z Wielopolskim i głowa i wola. Gorczakow nazywał go „mężem stanu w całym znaczeniu tego słowa“, a to wystarczało, aby całe otoczenie namiestnika spoglądało na margrabiego, jak na wschodzące słońce.

Pierwszy publiczny występ Wielopolskiego, a zarazem pierwsza jego mowa, skierowana do urzędników zniesionego okręgu naukowego, przebrzmiała bez echa. Więcej mówiono o przyjęciu cenzorów, którym margrabia rzucił zjadliwe powitanie:

— Widzę, że w naszym kraju więcej jest mażących, niż piszących.

Starszego cenzora Higneta, który nie znał języka polskiego, Wielopolski uwolnił od obowiązków i wiadomość o tem podał do wiadomości publicznej. Wizytatorowi szkół Sztenderowi, gdy przemówił po francusku, margrabia odpowiedział grobowem milczeniem. A gdy zmieszany dygnitarz, przypuszczając, że nowy jego zwierzchnik nie zna francuskiego lub też nie chce przemawiać tym językiem, rozpoczął mówić po niemiecku, Wielopolski przerwał mu zapytaniem, czemu nie mówi po polsku. Okazało się, że Sztender

w ciągu 29-ciu lat urzędowania w Królestwie nie nauczył się języka polskiego.

— Odtąd inaczej być musi, — powiedział margrabia, — i dlatego jest rzeczą słuszną, byś pan wziął dymisję.

Takie traktowanie dygnitarzy rosyjskich podobało się inteligencji, ale minęło bez głębszego wrażenia.

Warszawa w owym czasie przejęta była nastrojem bratania się różnych warstw społecznych. Ekstaza religijno-patryjotyczna panowała w mieście, a święta wielkanocne, które zbiegły się z początkami urzędowania margrabiego, większą przykuwały uwagę, niż sam ukaz carski i wyniesienie Wielopolskiego. We wszystkich domach bogatszych urządzano święcone dla ludności uboższej, a młodzież akademicka pełniła rolę gospodarzy. W pałacu pana Andrzeja z racji świąt panował ścisk ogromny. Niespodziewanie w różnobarwnym tłumie, zebrany u Zamoyskiego, zjawił się margrabia. Jego olbrzymia postać rzuciła cień na świątecznie usposobione zgromadzenie. Nieoczekiwany gość, wyciągając na powitanie rękę do gospodarza, wyraził nadzieję, że odtąd razem będą pracowali dla dobra kraju, ale pan Andrzej odpowiedział na to swoim lodowatym tonem kilka słów zdawkowych. Serca tych ludzi były dla siebie zamknięte, a margrabia, robiąc pierwszy krok na drodze pojednania, szykował zagładę dziełu, w które Zamoyski włożył swoją duszę. Towarzystwo Rolnicze było już skazane na śmierć, a nie jest wyłączeniem, że o tym zamiarze wiedział pan Andrzej. Posępna postać margrabiego przesunęła się przez salony, jak widmo, a pełne pychy milczenie, w które się przyo-

bleki gość niespodziewany, zmroziło na chwilę ciepłą atmosferę zebrania.

Dnia 2 kwietnia Wielopolski przyjmował duchowieństwo z biskupem Dekertem na czele. Mowa, którą przy tej okazji wygłosił, miała na celu powstrzymanie kleru od udziału w manifestacjach narodowych. Wielopolski oświadczył, że nie zboczy „z toru prawdziwej tolerancji“, ale surowo zapowiedział, że nie uzna „rządów w rządzie“.

Tą mową szorstką, niezręczną, wspominającą o tolerancji, jakby religja katolicka w kraju katolickim wymagała tolerancji ze strony dyrektora-katolika, naraził sobie margrabia cały kler polski, spowodował liczne protesty i element spokojny, a do pozyskania nietrudny, odepchnął od siebie.

Natomiast przedstawiciele Żydów przywitał komplementami, zapewniając, że dążyć będzie do zniesienia krępujących ludność żydowską ograniczeń, przyczem powiedział, że Żydzi, zajmując się handlem i przemysłem, powinni w rolniczej Polsce wytworzyć stan trzeci.

Mowa ta, zestawiona z przemówieniem do duchowieństwa katolickiego, rozdrażniła ogół, acz prąd przychylny Żydom był bardzo silny i panował w całym społeczeństwie.

Po tych niezręcznościach przyszła kolej na zamknięcie Wydziału Obywatelskiego i rozwiązanie Obywatelskiej straży bezpieczeństwa. Oburzenie przeciw margrabiemu rosło. A gdy 6 kwietnia ukazał się dekret, uśmiercający Towarzystwo Rolnicze, wrzenie ogarnęło Warszawę.

Nazajutrz tłum ludu zebrał się przed gmachem Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, w którym by-

ła siedziba Komitetu. Drzwi wejściowe przystrojono girlandami kwieciami i zieleni. Orzeł rosyjski, przybity do balkonu, zasłonięty został żałobną oponą, a na jego miejscu ukazał się orzeł biały. Publiczność przyjęła tę zmianę grzmiącymi wiwatami.

— Niech żyje Polska!...

I rozległ się śpiew: „Jeszcze Polska nie zginęła“...

Nadaremnie generał-gubernator Paniutyn, przysłany przez Gorczakowa, zjawił się przed gmachem Towarzystwa w asystencji jednego tylko kozaka i uprzejmie prosił publiczność, aby się rozeszła. Tłum ani chciał słuchać. Na uprzejme prośby uprzejmie odpowiadał, ale nie przestawał śpiewać i wznosić na cześć białego orła wiwatów. Tegoż dnia przedmiotem wielkiej owacji stał się prezes zamkniętego Towarzystwa, Andrzej Zamoyski. Olbrzymie tłumy zebrały się przed pałacem i długo wznosiły grzmiące okrzyki na cześć pana Andrzeja.

Wiadomość o manifestacjach w mieście zaniepokoiła namiestnika. Gorczakow, nieświadomy dalszych zamiarów demonstrantów, dał rozkaz generałowi Chrulewowi, aby wyprowadził wojsko na plac Zamkowy. Dwie kompanie piechoty wystąpiły niebawem pod bronią i wyciągnęły się wzdłuż zamku, dotykając z jednej strony ulicy Świętojańskiej, z drugiej opierając się o kościół Bernardynów. Widok wojska zważył na plac masy ludu, krążącego po ulicach. Wówczas Gorczakow postanowił sam rozmówić się z tłumem. Ufny w swoją powagę, wsiadł na konia i w otoczeniu paru generałów oraz kilku czerkiesów wjechał na plac i stanął przed zgromadzonym ludem.

Zjawienie się namiestnika wywołało sensację. Ale jego figura, chuda, śmieszna, niezgrabnie trzymająca

się na koniu, wesoło usposobiła widzów. To wrażenie komiczne spotęgowało się jeszcze, gdy Górczakow, zatrzymawszy konia, zaczął wołać łamaną polszczyzną:

— Rozchodźcie się! Idźcie spać! Do domu! do domu!..

Wezwanie to przyjęto śmiechem. Wesoły lud warszawski sypnął żartami:

— Idź sam do domu. My jesteśmy w domu...

Inny głos zawołał:

— Spaliśmy lat trzydzieści, nam się spać nie chce...

Ktoś inny żartował:

— Idź, stary, do domu, bo zimno. Kataru dostaniesz...

Nie brak było i żartów dotkliwszych, a wszystkie te głosy tłum przyjmował śmiechem.

— Czego chcecie?! — zaryczał Górczakow.

Odpowiedział mu chór pomieszanych głosów.

— Towarzystwa Rolniczego, Delegacji!..

— Wolności, konstytucji, wojska polskiego!..

— Chcemy Polski!..

Nadaremnie namiestnik wzywał tłumy do rozejścia się, nadaremnie groził, że jeśli go nie usłuchają, to rozkaże strzelać. Tłum rozochocony stał nieruchomo. Więc Górczakow, widząc, iż nic nie wskóra, cofnął się do zamku. Z kolei zwrócił się do ludu generał Chrulew. Odpowiedziano mu, że lud się rozejdzie, ale trzeba, by przedtem wojsko ustąpiło z placu. Chrulew, pragnąc uniknąć rozlewu krwi, zastosował się do tego żądania i wojsko wycofał. Wtedy i tłum zaczął się rozchodzić. Ale rozchodził

się pod wrażeniem odniesionego tryumfu z okrzykiem:

— Wygrana!

Wielopolski postanowił położyć koniec dalszym zbiegowiskom. Ponieważ następnego dnia miały się odbyć dwie demonstracje: jedna na cmentarzu, druga na kirkucie, ponieważ zachodziła obawa, że demonstracje te przeniosą się do śródmieścia, więc Gorczakow w nocy z 7-go na 8-ym kwietnia zwołał naradę. Na tej to naradzie na wniosek Wielopolskiego przyjęto nowe rozporządzenie o zbiegowiskach. Według tego rozporządzenia, po trzykrotnem daremnie wezwaniu tłumu do rozejścia się przez reprezentanta władzy, miała być użyta siła zbrojna. Nadto wojsku wydano rozkazy, aby na alarm, którego sygnałem stać się miały wystrzały armatnie z fortów cytadeli i rakiety, wypuszczone z zamku, natychmiast zajęło wskazane miejsca w różnych punktach Warszawy.

Nazajutrz, w pamiętnym dniu 8-go kwietnia, zapowiedziane uroczystości odbyły się bez zakłócenia porządku. W śródmieściu również panował spokój. Tylko pod figurą Matki Boskiej na Krakowskim Przedmieściu zebrała się po południu grupa młodzieży pod wodzą Nowakowskiego i, klęcząc, śpiewała hymn: „Boże, coś Polskę“... Grupa przechodniów przyłączyła się do klęczących, a trochę publiczności zatrzymało się na chodniku i, stojąc, słuchało donośnego śpiewu. Zwolna tłum rósł. Wiadomość o tym śpiewie musiała zaniepokoić namiestnika, bo z Zamku, jak w dniu wczorajszym, wystąpiła piechota i rozstała się na placu. Niespodziewanie ukazała się kurjerka, wyjeżdżająca przez Zjazd do Lublina. Pocztyljon, zbliżając się do Zamku, wydobył trąbkę i zagrał

na niej: „Jeszcze Polska nie zginęła“. A te drogie sercem polskim dźwięki, wpadłszy tak nieoczekiwanie w gwar miejski, poruszyły ulicę. Część publiczności zaczęła biedz za kurjerką, podrzucać w górę czapki, kapelusze, wywijać radośnie laskami. Widok wojska, które powiększało się przybywaniem na plac oddziałów jazdy i żandarmerji, zatrzymał biegnących.

Była godzina szósta po południu.

Na rojnych w owym czasie ulicach łatwo tworzyły się zbiegowiska. I tym razem zaczął się zbierać tłum różnobarwny, powiększający się nieustannie przez publiczność, powracającą gromadnie z żałobnych uroczystości.

Przed ten tłum, w myśl przyjętego w dniu wczorajszym rozporządzenia, o którym nic jeszcze w mieście nie wiedziano, wystąpił urzędnik policyjny w otoczeniu oficera i dwóch doboszów. Ku zdziwieniu publiczności, nieprzyzwyczajonej do takiego widoku, zawarczały przeraźliwie bębny i umilkły nagle. Zapanowała cisza. Wtedy przedstawiciel policji zawołał donośnym głosem, że z mocy prawa i rozkazu władzy wzywa zgromadzonych do rozejścia się. Oznajmił zarazem, że jeżeli trzykrotne wezwanie nie odniesie skutku, to do rozpedzenia zbiegowiska użyta zostanie siła zbrojna. Tłum odpowiedział na to żartami i ani myślał zastosować się do wezwania.

Urzędnik, spełniwszy polecenie, cofnął się wraz z eskortą, a wtedy od stojącego pod zamkiem wojska oderwał się oddział konnych żandarmów i rysią ruszył ku stłoczonej masie. Ciężcy jeźdźcy, pędząc przed sobą ludzi, oczyścili plac. Ale rozpedzeni demonstranci stanęli na trotuarach przylegających ulic.

Żandarmi, dobywszy szabel, rzucili się w ulice Senatorską i Podwale. Lecz lud nie dał się rozpędzić. Bronił się kijami, odpędzał konie uderzeniem pięści, ciskał w żandarmów wrywanymi z bruku kamieniami, kłębił się, kotłował, ale nie myślał uciekać. Śród jęku rannych, walących się na ziemię, śród wrzawy bitewnej rozlegał się raz po raz silny głos, niby komenda:

— Stać! nie uciekać! gińmy razem!..

I lud, ociekając krwią, stał, jakby siłą wyższą przygwożdżony do ziemi. Jakaś ekstaza, jakieś niezwykle uniesienie ogarniało ludzi. Wielu padało na kolana i, nie zważając na wzniesione szable, na grożące zmiażdżeniem kopyta rozhukanych koni, zaczęło modlić się na głos z wzniesionymi ku niebu rękoma. Żandarmi, mimo największych wysiłków, nie mogli dać sobie rady. Wtedy Chrulew rozkazał wystąpić piechocie, która w oczach tłumu nabiła karabiny.

Śmiertelna cisza zaległa plac Zamkowy i przylegające ulice.

Tłum wiedział, że wojsko będzie strzelało, ale poczucie niebezpieczeństwa nie zdołało rozproszyć masy podnieconej, gotowej na śmierć. Rozlegały się głosy: stać! I tłum stał, wystawiając swe piersi na strzały.

Wtem od Krakowskiego Przedmieścia zaczęła postępować ku zamkowi grupa młodzieży. Na jej czele szedł olbrzymi Karol Nowakowski z czarnym krzyżem w ręku i, przerywając dręczącą ciszę, grzmącym głosem rozpoczął śpiewać: „Święty Boże, święty mocny!“ Kilku żołnierzy skoczyło ku śmiałkowi i chwyciło go za bary. Ale Nowakowski zastawił się krzy-

żem i, z wielką siłą roztrzając napastników, szedł naprzód i śpiewał nieustannie. Broniąc się zajadle, pogruchotał krzyż o głowy żołnierzy. Obezwładniono go wreszcie, obalono na ziemię, poczem pochwycono na ręce i tak niesiono do Zamku. I teraz przecież nie przestawał śpiewać:

— Od ognia, głodu i Moskali, zachowaj nas, Pannie!..

A tymczasem jeden z oddziałów wyprowadzonej przez Chrulewa piechoty zwrócił się frontem ku Krakowskiemu Przedmieściu, drugi — ku wylotowi Podwala, inny ku Pivnej i Świętojańskiej. Kilku oficerów wystąpiło do tłumu z perswazjami. Ale nadaremnie.

— Strzelajcie! mordujcie bezbronnych! — wołano w najwyższym podnieceniu.

Na dany znak piechota uniosła broń. Długie lufy skierowały się ku zbitej ciżbie ludzkiej, ogarniętej w tej chwili płomieniami ekstazy. Zabrzmiała złowroga komenda i natychmiast rozległ się głuchy trzask karabinów. Straszne jęki rozdarły powietrze. A gdy rozwiały się obłoki dymu, strzelający żołnierze ujrzeli niezwykle widowisko. Na Podwalu, wśród skłębionych ciał rannych i zabitych, na bruku, zlanym krwią, stłoczona gromada ludzka rzuciła się na kolana i, nie bacząc na niebezpieczeństwo, na grożące rany i śmierć, rozpoczęła śpiew:

— Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!..

Ale w tej chwili zamilkło wszelkie zmiłowanie. W odpowiedzi na te głosy błagalne, mogące wzruszyć najbardziej kamienne serca, rozległy się nowe salwy i nowy grad kul posypał się do tłumów. Strze-

lano wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia, wzdłuż Senatorskiej, Świętojańskiej, Podwala, Marjensztadtu, aż trupami zasłano bruk miasta i rozproszono wreszcie oszalałe tłumy.

Tryumf nad bezbronną masą nie uspokoił zebranych na zamku generałów. Bohaterska postawa ludności w obliczu śmierci miała w sobie coś zatrważającego. Obawiano się wybuchu rewolucji. Więc postanowiono zaalarmować załogę. Z fortów cytadeli odezwały się armaty, a ich grzmot przeciągły wstrząsnął przerażeniem miastem. Zaraz potem z zamku puszczono kolejno kilkanaście rakiet, które z sykiem przeszywały gęstniejące mroki i, błysnąwszy krwawymi smugami na niebie, gasły, pękając z przeraźliwym szumem.

Na ten sygnał ze wszystkich stron miasta wysypały się wojska i z największym pośpiechem runęły w pustoszące ulice. Zadrżały mury miejskie, zatrzęsała się cała Warszawa. Liczne pułki jazdy, kozaków, ułanów, dragonów, oddziały żandarmerji, jak potoki zniszczenia, pędziły w różnych kierunkach. Tętent kopyt końskich łączył się z dudnieniem armat, z chrzęstem różnej broni, z odgłosem miarowych kroków maszerujących pośpiesznie pułków piechoty. Publiczność z największym przerażeniem chroniła się do bram domów przed tą nawałą ludzi i żelaza. A kto nie zdążył uciec, kto znalazł się na drodze, ten ginął, stratowany kopytami koni, padał od ciosów szabel, od uderzenia kolb i bagnatów tryumfującego żołdactwa. Wreszcie wojska zajęły wyznaczone im stanowiska. Miasto opustoszało. Na placach i ulicach zapłonęły ognie. Przy biwakach stały oddziały wojsk z bronią gotową do strzału.

Liczne patrole przeciągały przez miasto. Śród ciszy nocnej raz po raz słychać było groźne: kto idiot? Policja snuła się w dzielnicy, przylegającej do zamku, zbierała trupy, które składano na furgony i wywożono do cytadeli. Rannych wyszukiwano po zaułkach miejskich, po bramach i podwórzach domów, poczem nieszczęsne ofiary przenoszono do zamku i tam w jednej z sal pokotem ciskano na ziemię.

Liczba ofiar pozostała nieznana. Obliczano zabitych na setki, ranionych na tysiące. To pewna, że z górą 200 osób przypłaciło życiem pamiętny dzień 8-go kwietnia 1861 roku.

„Porządek“ zapanował na zbuczonych krwią ulicach Warszawy.

Nazajutrz stolica wyglądała, jakby ją szturmem zdobyto. Po całym mieście krążyły gęste patrole, na wszystkich placach obozowały wojska. Przed zamkiem ustawiono armaty, a ciemne ich paszcze skierowane były w wyloty ulic, przylegających do placu Zamkowego. Policja zatrzymywała przechodniów, zdeirała z ubrań krepę i oznaki żałoby, a czyniła to w sposób najbrutalniejszy.

Tegoż dnia ogłoszono rozporządzenie o zbiegowiskach, które z takim okrucieństwem, mimo że go publiczność znać jeszcze nie mogła, w dniu poprzednim zostało zastosowane.

Oburzenie, spowodowane rzezią, we wszystkich warstwach społeczeństwa było nieopisane. A wieść o strasznych wypadkach w Warszawie z błyskawiczną szybkością rozeszła się wszędzie. W całej Polsce podniósł się straszliwy krzyk grozy. Opinia szukała winowajcy, a głos powszechny obwinał Wielopolskiego. Najokropniejsze klątwy i złożeczenia zaczę-

ły ścigać jego imię. Ale margrabia nie uląkł się krzyków, lecz śmiało stanął przeciw burzy i, nie zważając na ulewę przekleństw i wymysłów, na gromy potępień, postanowił nową walkę stoczyć z opinią kraju.

Sytuacja Wielopolskiego była tragiczna.

Już w krytycznym dniu, gdy na prośby Chałubińskiego zdecydował się jechać do zamku, by skłonić namiestnika do zaprzestania rzezi, o mało życia nie postradał. Karete, którą jechał, obrzucono kamieniami i błotem, a syczące okrzyki nienawiści dały mu poznać uczucia, jakie sam widok jego budził. A jednak się nie zachwiał. Zdawało mu się, że, zamknąwszy Towarzystwo Rolnicze, pokonał szlachtę, roszczącą sobie prawo do odgrywania w kraju roli przodowniczej, że, rozpędziwszy szczątki Delegacji, uśmierzył pretensje mieszczaństwa, że, pokazawszy pięść duchowieństwu, nakłonił je do swojej woli. Z kolei przyszedł czas na „żywioty anarchji“. Krwawa kąpiel 8-go kwietnia miała przekonać tłumy, że władza nie żartuje. Pozostawało dokończyć dzieła i, przeraziwszy społeczeństwo, utrwalić ład w kraju, pozwolić ludności korzystać w spokoju ze zdobytych reform. Oburzenie powszechne nie zdołało margrabiego zawrócić z drogi, na którą wkroczył. Niezachwiany niczem, żelazny w swoim postanowieniu, śmiało wstąpił na piętrzącą się przed nim górę wielkich zadań i natychmiast nowe wyzwanie rzucił społeczeństwu.

Nazajutrz po strasznej rzezi nowomianowany dyrektor sprawiedliwości, Jan Kanty Wołowski, podał się do dymisji, motywując dymisję brutalnem zastosowaniem prawa, które nie mogło być jeszcze znane

publiczności. Margrabia śmiało podjął rzuconą mu przez kolegę rękawicę i sam zajął jego miejsce. W ten sposób stanął na czele dwóch komisji, podniósł swoje znaczenie i rozszerzył swe wpływy. Ale jednocześnie zaświadczył tym krokiem, że za wypadki 8-go kwietnia bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność. A nazajutrz, przyjmując przedstawiających mu się urzędników komisji sprawiedliwości, powiedział, że porządek publiczny, uzbrojony w nowe prawo, a ocalony, niestety, w krwawym starciu, oddaje w ręce przedstawicieli prawa. Zaznaczywszy następnie, że życie jego znajduje się w ręku Boga, nie zawahał się dodać, że gdyby tem nowym prawem utrwalił i ubezpieczył porządek publiczny, jużby dla dzieci dobrą o sobie pozostawił pamięć.

Ta mowa, świadcząca, że margrabia bierze na swoje sumienie krew przelaną 8-go kwietnia, że nawet chęłpi się owem prawem, którego zastosowanie spowodowało straszną katastrofę, wywołała nowe oburzenie. Jedni z osłupieniem pytali, co margrabia nazywa ocaleniem porządku, o jaki porządek mu chodzi i co wogóle nazywa porządkiem? Inni widzieli w tej mowie zapowiedź nowych gwałtów i prześladowań, patrzyli na Wielopolskiego, jak na tyrana, który, sprzymierzywszy się z Moskałami, przez krew i trupy dąży do wszechwładnego panowania w kraju.

W tej chwili miał wszystkich przeciw sobie.

Ale nieugięty margrabia nie wątpił, że da sobie radę i dojdzie do celu.

Potężna wola jednego człowieka miała się zmierzyć z opinją całego kraju.

VI.

POLITYKA I REFORMY MARGRABIEGO.

Wyzywając tę opinię do boju, Wielopolski był przekonany, że uskutecznienie zapowiadanych reform i nowe ustępstwa, które spodziewał się wyjednać, przekonają społeczeństwo, że właściwą drogą, prowadzącą kraj do odrodzenia, jest droga pracy legalnej, jest konieczność przeciwstawienia mrzonkom o niepodległości spraw realnych, pozytywnych, mających bezpośredni wpływ na całokształt życia codziennego, na żywotne zagadnienia i potrzeby narodu. Ale tragizm sytuacji margrabiego polegał na tem, że, odepchnąwszy od siebie własne społeczeństwo, musiał się oprzeć na władzy rosyjskiej, władzy słusznie przeklinanej i znienawidzonej, władzy drapieżnej usposobionej względem Polski wrogo, a czyniącej ustępstwa jedynie pod wpływem całego splotu zewnętrznych okoliczności międzynarodowych i wypadków, które się wewnątrz kraju rozgrywały. Na pierwsze z nich Wielopolski nie miał żadnego wpływu, drugie potępiał. W ten sposób przystępował do budowy gmachu na gruncie, który z jednej strony podmywała fala nieufności szerokich warstw społeczeństwa

polskiego, a z drugiej podtrzymywała nieszczerść i zła wiara rządu rosyjskiego.

W warunkach niezwykle trudnych przystępował margrabia do pracy, ale przystępował z ogromną energją.

Dwie komisje, na których czele stanął, nie mogły wyczerpać zapasu jego sił żywotnych. Nie lękając się ogromu zadań, ogarnął całokształt potrzeb kraju i na wszystkich dziedzinach życia ówczesnego wycisnął swoje własne piętno. Odkąd zajął swoje stanowisko, nic już w Królestwie nie działo się bez jego wiedzy, woli i wpływu.

Najważniejszą i najbardziej piekącą sprawą, którą należało załatwić, była sprawa włościańska. Przystępując do rozwiązania tej sprawy, Wielopolski nie sięgał zbyt daleko w przyszłość. Był, jak Zamoyski, zdecydowanym przeciwnikiem uwłaszczenia. Zdawało mu się, że nadwyręzenie prawa własności w jednej komórce organizmu społecznego cały organizm musi zatruci i znieprawić. On, zachowawca, przywiązany do własności, wyobrażał sobie, że dla zachowawczej masy włościańskiej tytuł własności jest obojętny, że chłopu wystarczy, jeśli swój nadział gruntowy zabezpieczy na lat kilkanaście, a zamiast pańszczyzny będzie mógł wypłacać się czynszem. Rozumując w ten sposób, był nawet przeciwnikiem stopniowego wykupu ziemi przez włościan, albowiem obawiał się nie bez przyczyny, że „raz obudzony urok własności“ nie da się już wytrawić, że zatem chłop, przed którego oczyma otworzy się perspektywa własności, zaraz, nie czekając dopełnienia warunków wykupu, nadzieloną ziemią, jak swą własnością, zapagnie się rozporządzać. Było to szczególne rozumowanie! Strach

przed rozbudzonym „urokiem własności“ prowadził margrabiego do takiego rozwiązania, które ten „urok“ czyniło wyłącznym przywilejem szlachty.

Stanowczy przeciwnik wywłaszczenia części gruntów szlacheckich na rzecz włościan, Wielopolski stał uparcie przy oczynszowaniu długoterminowem. W tym duchu wydział rolny przy komisji spraw wewnętrznych opracował ustawę, która zyskała zatwierdzenie Petersburga w maju 1861-go roku, a według której pańszczyzna mogła być zamieniona na okup. Prawo pozostawiało włościanom wolną wolę: pozostać przy odrabianiu pańszczyzny, lub przejść na czynsz, ale ci, co pańszczyznę porzucili, powrócić już do niej nie mogli. Czynsz miał być wnoszony co kwartał z góry, a w razie nieuiszczenia go w terminie, włościanin, tytułem kary, obowiązany był obok zaległej raty zapłacić właścicielowi jeszcze odszkodowanie, wynoszące aż połowę istotnej należności. Dziedzicowi pozostawiano prawo ścigania niewypłacalnych czynszowników zarówno przez sąd, jak środkami administracyjnymi.

Później przysła kolej na wypracowanie prawa o oczynszowaniu z urzędu. Ustawa dopiero po upływie roku została opracowana i zatwierdzona, ale związane z nią projekty banku czynszowego, który miał umożliwić włościanom nabycie nadzielonej ziemi w ciągu lat 29, nie doszły do skutku. Wypadki późniejsze daleko radykalniej rozstrzygnęły sprawę włościańską.

Legalna „władza polska“, uosobiona w Wielopolskim, wbrew domaganiu się opinii demokratycznej, wbrew zdaniu światlejszych w społeczeństwie jednostek, nie zdołała się wyrwać z kręgów starszszlacheckich.

kiego przesądu, nie potrafiła złożyć tego przesądu na ołtarzu dobra przyszłości narodowej, nie podtrzymała tradycji wielkich reformatorów polskich, lecz zasklepiła się w skorupie egoizmu stanowego. Rząd rosyjski w sposób bardzo umiejętny miał wyzyskać z czasem wielki błąd margrabiego.

Wielopolski, twardy zachowawca, gdy chodziło o interesy własności ziemskiej, umiał w innych sprawach być liberalnym. Dowodem tego liberalizmu był stosunek jego do Żydów. Przychylny w owym czasie nastrój społeczeństwa dla ludności żydowskiej sprzyjał zamiarom margrabiego, który był gorącym rzecznikiem równouprawnienia obywatelskiego Żydów. Jakóż w duchu tych poglądów w czerwcu 1861 roku wydana została ustawa do rad powiatowych i miejskich, do których Żydzi narówni z ludnością chrześcijańską mogli być wybierani. Później zniesione zostały ograniczenia, nie pozwalające Żydom osiedlać się na wsi i w niektórych dzielnicach miast, a następnie Żydzi otrzymali prawo nabywania wszelkiej własności nieruchomości w miastach oraz własności ziemskiej. W zamian za te prawa Żydzi zobowiązani byli do prowadzenia ksiąg handlowych, umów, korespondencji, do spisywania testamentów w języku polskim.

Projekt reformy gminnej Wielopolskiego, jak na swoje czasy, również nie był pozbawiony pierwiastku demokratycznego. Przedewszystkiem prawo wyborcze przyznane zostało mężczyznom pełnoletnim bez różnicy wyznania i stanu. Włościanie ograniczeni byli o tyle, że z prawa wyborczego korzystać mogli ci, którzy mieli nadział ziemi, przewyższający trzy morgi. Pozatem prawo wyboru przysługiwało wszyst-

kim mieszkańcom, którzy się mogli wykazać bądź dochodem rocznym w wysokości 90 rubli, bądź opłaceniem 15 rubli komornego. Rada gminna składała się z wójta, nauczyciela szkoły gminnej, proboszcza i sześciu członków z wyboru. Kandydat na wójta winien był posiadać wykształcenie przynajmniej cztero-klasowe, a dodani mu do pomocy sołtysi obowiązani byli umieć czytać i pisać. Do rady należał rozkład podatków, zarząd majątkiem gminnym, utrzymywanie kościołów, szkół i szpitali, układanie budżetu (budżet zatwierdzały urzędy gubernjalne) i wydawanie wszelkich postanowień gminnych, które przesyłano naczelnikowi powiatu, a które, o ile w ciągu dni ośmiu ze strony władzy powiatowej nie nadszedł protest, nabierało mocy obowiązującej.

Rady powiatowe miały się zbierać cztery razy do roku. Należać mogli do nich obywatele, którzy ukończyli lat 30 i płacili przynajmniej 15 rubli podatku rocznego. Każda z rad powiatowych wybierała swojego przedstawiciela do rady gubernjalnej, zbierającej się raz na rok pod prezydencją gubernatora. Rady powiatowe zajmowały się sprawami powiatu—gubernjalne gubernji. Tym ostatnim przysługiwało prawo występowania ze swemi przedstawieniami do rady stanu.

Mniej demokratyczny był samorząd miejski. W miastach widział Wielopolski ośrodek ruchu rewolucyjnego i dlatego zarząd miejski oddawał pod władzę rady administracyjnej, której przysługiwało prawo rozwiązania rady miejskiej i zarządzenia nowych wyborów. W Warszawie rada miejska składała się z 24 członków, w większych miastach z 12, w mniejszych — z 8. Prawo wyboru przysługiwało mężczyznom, liczącym lat 25, a płacącym komornego

najmniej 60 rubli rocznie. Obrady były tajne. Prezydenta i trzech członków magistratu mianował rząd. W ten sposób rada miejska miała prawa bardzo ograniczone: nie mając wpływu na skład miejskiej władzy wykonawczej, stawała się instytucją doradczą. Tajność obrad i działalności doradczej odbierała jej właściwe znaczenie.

Ponad temi instytucjami stała rada stanu Królestwa Polskiego, w której zasiadali członkowie rady administracyjnej oraz dygnitarze, przez rząd mianowani. Rada stanu rozpatrywała budżet Królestwa, sprawozdania dyrektorów komisji, przedstawienia rad gubernjalnych, a nadto zajmowała się przestępstwami, popełnionymi na urzędach państwowych i przestępstwa te sądziła. Pod sąd swój mogła pociągać najwyższych dygnitarzy, nie wyłączając dyrektorów komisji. Przewodniczył w radzie stanu namiestnik, a namiestnika zastępować mógł wiceprezes, którego na to stanowisko zatwierdzał sam car.

Nowy ustrój Królestwa miał swoje wielkie braki: naogół daleki był od wymagań demokratycznych, wymagających szerszego uwzględnienia pierwiastków wyborczych i jawności działań poszczególnych ogniów samorządu. Ale posiadał stronę dodatnią: wprowadzał do zarządzania krajem elementy obywatelskie, które okres popowstaniowy postawił poza nawiasem życia publicznego. To też, mimo swoje wielkie braki, reformy Wielopolskiego były znacznym krokiem naprzód, a tem większe posiadały znaczenie, że wewnętrzne życie kraju wyrwały z rąk drapieżników czynowniczych i oddawały w ręce polskie.

Jednocześnie ze zmianami w zarządzie krajem zamierzał Wielopolski zreorganizować sądownictwo pol-

skie i wyrwać je z pod wpływów Petersburga. Do tego samego celu dążył w zamierzonej reformie kościoła, ale projekty, skutkiem wydarzeń późniejszych, już nie mogły być wcielone w życie.

Lecz koroną, która uwieńczyła działalność Wielopolskiego, była reforma szkolna, pomyślana szeroko, a wprowadzona ręką stanowczą i śmiałą.

Wychowanie młodzieży i dzieło oświaty polskiej, zaczynając od czasów księdza Konarskiego, miało za sobą przepyszne tradycje, było jasną smugą, przewijającą się przez całe stulecie mrocznych dziejów Polski, a stanowiło najpiękniejszy objaw żywotności narodu, który szukał światła i gdy tylko miał możliwość, umiał rozpałać najwspanialsze ogniska wiedzy. To też w epoce, poprzedzającej wybuch powstania listopadowego, nim dłoń Nowosilcowa, uzbrojona w topór gniewu i zemsty, rozpoczęła dzieło zniszczenia, oświata na ziemiach polskich błyszczała najpyszniejszym blaskiem. Ale po upadku powstania cios za ciosem sypał się na oświatowy dorobek pokolenia. Pod tymi ciosami padły uniwersytety wileński i warszawski, a z istniejących w 1831 r. 15 gimnazjów zaledwie 7 ocalało. Od roku 1851-go i do tych gimnazjów utrudniono przystęp: tylko szlachta i urzędnicy państwowi mogli w nich kształcić swe dzieci. Język polski, historia polska, a pozatem wszystko, co kształci serce i charakter, zostało upośledzone, spaczony, naciągnięte do systemu, który zatruił serca, szerzył demoralizację, budził w młodzieży polskiej uczucia nienawiści i zemsty.

Ludność Królestwa w ciągu lat trzydziestu powiększyła się dwukrotnie, lecz ilość szkół elementarnych pozostała ta sama. To też obniżył się niesłuchanie

ogólny poziom wykształcenia — i społeczeństwo, nie idąc naprzód, cofało się wstecz.

Wznović piękne tradycje szkolnictwa polskiego, ruszyć naprzód, odrobić trzydzieści lat zastoju, stanąć u mety, przy której znalazły się już społeczeństwa zachodnie, oto było zadanie, do którego Wielopolski z wielką przystąpił energją. Zachowawczy margrabia rozumiał doskonale, że dziedzina wychowania i oświaty narodowej najgruntowniejszej wymaga reformy. Więc przedewszystkiem zwrócił uwagę na szkolnictwo początkowe i w zamierzonej reformie posunął się daleko, gdyż nauczanie w Polsce miało być powszechne i obowiązkowe. Projekt jego stanowił: „wszystkie dzieci bez wyjątku do szkoły uczęszczać powinny pod rygorem kary pieniężnej, która się do funduszków szkoły przyliczać będzie“. Nauka miała obowiązywać już od szóstego roku życia i trwać lat cztery do pięciu. Projekt Wielopolskiego z uznaniem przyjęła rada stanu, ale przestraszył się go Petersburg i liczne wynalazł trudności, przemawiające przeciw projektowi.

Ustawa dla szkół elementarnych przewidywała powiększenie ich z 1.114 do 3.000. Nauczyciel wiejski, pozostający dotąd pod dozorem proboszcza lub wikarego, poddany został pod władzę ustanowionych dozorów szkolnych, złożonych z wójta, dwóch obywateli i proboszcza. Naczelna rewizja szkół należała do inspektora, będącego zarazem członkiem rady wychowawczej, najwyższej instytucji oświatowej.

W gimnazjach skasowane zostały stanowiska dyrektorów i inspektorów, pełniących w czasach paskiewiczowskich czynności policyjne. Odtąd na czele gimnazjów i szkół powiatowych stali rektorzy, a po-

mocnikami ich byli prefekci. Obaj posiadać musieli odpowiednie wykształcenie i być z zawodu pedagogami. Ilość gimnazjów z 7 podniesiona została do 13-stu.

W Puławach powstał instytut politechniczny i leśno-agronomiczny, a Szkoła sztuk pięknych w Warszawie miała być zreorganizowana i postawiona na stopie europejskiej.

Ale główną zdobyczą i uwieńczeniem zasług Wielopolskiego na polu oświaty było powołanie do życia w Warszawie uniwersytetu pod nazwą Szkoły Głównej. Zdobycz ta nie przysłała mu łatwo i nie odrazu ją otrzymał. W Petersburgu długo nie chciano zgodzić się na utworzenie w stolicy polskiej uniwersytetu: ustąpiono wreszcie i uniwersytet powstał, choć pod nazwą, która nie odpowiadała istocie rzeczy.

Szkoła Główna posiadała cztery wydziały: medyczny, fizyko-matematyczny, prawny i filologiczno-historyczny, posiadała szeroki samorząd, miała wybieralnego rektora, profesorów zwyczajnych, nadzwyczajnych, adjunktów i docentów. Na czele wydziałów stali dziekani. Rada uniwersytecka pod prezydencją rektora składała się z dziekanów i ośmiu profesorów. Przy uniwersytecie utworzona została biblioteka. Dla wykształcenia pedagogów, których brak dotkliwie się odczuwał, powołane zostały do życia seminarja nauczycielskie.

Wpisy były niskie: wpis w szkole powiatowej wynosił 8 rubli, w gimnazjum — 15, w Szkole Głównej— 20. Językiem wykładowym we wszystkich zakładach naukowych był polski; język rosyjski i historję Rosji wykładano narówni z innymi przedmiotami.

Dzięki tej reformie, oświata, która w epoce Paskiewicza stała się jednym z narzędzi polityki gwałtów i bezprawia, wkraczała na właściwe tory i zyskiwała należne jej miejsce. A Szkoła Główna z zaproszonym na rektora doktorem Józefem Mianowskim, uczonym wielkiej miary, działaczem o pięknym sercu i silnej woli, acz powstała już w czasach gorących, w epoce wydarzeń, do głębi poruszających kraj cały, rozwinęła się świetnie, wykształciła w swoich murach wielu obywateli, których nazwiska szeroko zasłynęły później na polach pracy społecznej, nauki i literatury.

Całość reform, które przeprowadził Wielopolski, świadczyła, że jest on zwolennikiem władzy silnej, scentralizowanej, wyznawcą absolutyzmu, ale absolutyzmu oświeconego. Zachowawczy pogląd na sprawę włościańską nie przeszkodził mu być liberalnym w stosunku do Żydów, postępowym w sprawie nauczania powszechnego, antyklerykalnym, gdy odsuwał duchowieństwo od spraw politycznych i ograniczał wpływ kleru na szkolnictwo początkowe.

Reformy te świadczyły jeszcze, że margrabia jest człowiekiem woli i czynu. Społeczeństwu, którem przez lat trzydzieści rządziło bezprawie, dawał samorząd i oświatę, stwarzał placówki, których rozwój poważnie mógł zaważyć na losach i przyszłości kraju. Ale na nieszczęście swoje margrabia miał potężnego wroga w samym sobie: postępowaniem swoim nieustannie podburzał przeciw sobie opinię i podkopywał swoje własne dzieło. W przeszkody, jakie spotykał ze strony społeczeństwa, uderzał zawsze ciężkim młotem swojej bezwzględności, nie licząc się ze skutkami, nie bacząc na dalsze następstwa. Opór

wzbudzał w nim gniew, a w gniewie był niepomawany.

Oto np. w gimnazjach uczniowie, podnieceni wypadkami, rozgrywającymi się w kraju, darli na strzępy książki rosyjskie i na wykłady języka rosyjskiego nie chcieli uczyć się. Pomiędzy zwierzchnością szkolną a młodzieżą dochodziło z tego powodu do ostrych zatargów. Wielopolski nie należał do ludzi, którzyby zatargi umieli łagodzić. Podrażniony nieposłuszeństwem młodzieży, rozkazał zamknąć na czas nieograniczony czwartą i piątą klasę w gimnazjum radomskim, trzecią klasę w gubernjalnym gimnazjum warszawskim, a w Kaliszu całą szkołę realną rozpuścił.

Środki, stosowane przez margrabiego, nie tylko nie prowadziły do celu, lecz podniecały w szkołach wzburzenie. A inteligencja protestowała przeciw takiemu sposobowi „szerzenia oświaty“ i z niepokojem myślała, co będzie dalej, jeżeli Wielopolski nie zmieni swego postępowania.

Gniewny margrabia lekcewał te głosy, a przyrodzoną mściwość często posuwał aż do śmieszności.

Taką śmiesznością okrył go proces sądowy, który on, dyrektor komisji oświecenia, wytoczył uczniom szkoły realnej. Przyczyną tego procesu były okoliczności następujące. Wielopolski, zajmując w początkach swojego urzędowania mieszkanie w pałacu kazimierskim, rozkazał oddzielić na swój użytek część ogrodu, z którego dotąd niepodzielnie korzystali uczniowie. Młodzież, wydawszy hasło, że jak Wielopolski „rządów w rządzie“, tak ona „ogrodów w ogrodzie“ nie zniesie, rozpuściła robotników, za-

jętych ustawianiem sztchet. Na wieść o tem margrabia uniósł się niepohamowanym gniewem. W duszy jego zasyczała żmija pieniactwa — i w dostojniku państwowym obudził się adwokat-procesowicz. Sprawę natychmiast skierował na drogę sądową i podał ten fakt do wiadomości publicznej. Rodzice oskarżonych podnieśli gwałt, a uczniacy, którym tego tylko było potrzeba, aby dokuczyć niepopularnemu człowiekowi, rozbiegli się po mieście i w miejscach publicznych, na ulicach, na placach, w ogrodach zaczęli publiczność i prosili ją o wskazanie adwokatów, którzyby podjęli się bronić ich przed Wielopolskim. Z małej rzeczy wynikł wielki skandal i tem większego nabierał rozgłosu, że zawzięty margrabia wzywał do siebie sędziów, prokuratorów i, nadużywając niegodnie swojego stanowiska, starał się wywrzeć wpływ na wynik procesu.

Wrażliwy na głos krytyki, i w innym wypadku wykazał mściwość, nie licując się z wysokiem stanowiskiem. Oto z powodu nieprzyjaznych dla niego korespondencji, pomieszczanych w „Czasie“ krakowskim, zamknął temu dziennikowi wstęp do Królestwa. A grzechów takich miał dużo na swoim sumieniu. To też odstraszał od siebie nawet tych, co gotowi byli podać mu rękę i stanąć do współpracy.

Ale nietylko postępowaniem wysoce nietaktownem, często nieprzyzwoitem i bezwzględnem, podważał własne dzieło. Był ciągle osamotniony, a to osamotnienie miało i głębsze przyczyny.

Wprowadzając w życie swe plany, margrabia był pewien, że dzięki rozległym reformom usposobi dla siebie przychylnie wszystkie elementy ładu i spokoju, a następnie przy ich pomocy pokona bezlitośnie

wszelkiego rodzaju „wichrzycieli“, „awanturników“, sprawców ulicznych zamieszek i manifestacji. Nie rozumiał tylko, że ów spokój, do którego dążył, mógł się stać końcem jego poczynań, nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia ogół jest podminowany, nie dostrzegał, że kunsztowną budowlę swych reform wznosi na wulkanie, który dymił już groźnie i kazał spodziewać się wybuchu. Miał do czynienia ze społeczeństwem chore, zatrutem trzydziestoleciem rządów paskiewiczowskich, ze społeczeństwem, które zaledwie przychodziło do zdrowia. Środki, których używał, zbyt często drażniły zaledwie gojące się rany.

— Margrabia leczy społeczeństwo na administrację, gdy ono chore jest na politykę, — mówiono w Warszawie po pierwszych wystąpieniach Wielopolskiego i w tem powiedzeniu było dużo trafności. Albowiem margrabia nie miał w sobie nic z lekarza politycznego. Dłoń jego była szorstka i ciężka. Od społeczeństwa przedzielał się niedostępnością, pogardą, uzbierał się wobec swoich w pancierz, najeżony żelazną szczecina brutalności i pychy. Nadto, jako działacz polityczny, pozbawiony był daru rozumienia swoich przeciwników, unosił się namiętnością, dał się powodować najgorszym w polityce doradcom: uczuciom zemsty i nienawiści. Jemu, który opierał się na sile obcej, nie przyszło na myśl, by stanąć oko w oko ze swoimi przeciwnikami i spróbować porozumieć się z nimi. Traktując dążność do powstania, jako szaleństwo i zbrodnię, on, co przeżył powstanie listopadowe, nie widział ideowego związku teraźniejszości z przeszłością, lecz jak

zbrodniarzy traktował tych, co pod sztandarem niepodległości Polski pragnęli znowu walczyć i umierać. Serce jego nie biło w takt uderzeń zbiorowego serca narodu. Więc choć dla narodu pracował, przeciw sobie miał naród.

Samotny margrabia nie rozumiał tego, co się dzieje w kraju — i kraj nie mógł zrozumieć margrabiego.

VII.

BIALI I CZERWONI.

Po krwawym dniu 8 kwietnia ustały w Warszawie manifestacje i zbiegowiska. Ale nastrój stolicy był w dalszym ciągu podniecony, a fala manifestacyjna, wstrzymana na pewien czas nieludzką rzezią, rozlała się niebawem bardzo szeroko. Za Warszawą poszły miasta prowincjonalne, ruch demonstracyjny przeniósł się z Korony na Litwę i wzburzenie coraz szersze zataczało kręgi.

W takich okolicznościach reformy margrabiego ukazywały się społeczeństwu, niby niknące obrazy na ekranie. Przez chwilę przykuwały uwagę, a choć nieraz pozostawiały głęboki ślad w życiu, nie budziły głębszego zajęcia. Umysły pochłonięte były czem innym. Margrabia widział, że zdobycze jego nie osiągną celu, lecz nie ustawał w pracy. Nie wątpił, że młotem swej woli rozwali wkońcu skałę obojętności własnego społeczeństwa i ludzi umiarkowanych pozyska dla współpracy. Niespodziewanie dla niego zachwiała się podstawa, na której dotychczas się opierał. W maju 1861 r. umarł książę Górczakow, a na jego miejsce przysłany został czasowo minister wojny, generał Suchozanet, istna figura z operetki, ogra-

niczony starzec, pragnący budzić swoją osobą strach i grozę, a wywołujący nawet w najbliższym otoczeniu uśmiechy szyderstwa i politowania. Suchozanet z góry spoglądał na Wielopolskiego i w przeciwstawieniu do Gorczakowa okazywał mu lekceważenie. Ale Wielopolski nie należał do ludzi, którzy pozwalają lekceważyć siebie. Więc pomiędzy obu dygnitarzami dochodziło do zatargów. Pozycja margrabiego stawała się nieznośna. Czuł on swoją umysłową przewagę nad tępym generałem i tłumił w sobie gniew, który nim miotał. Nie trwało to długo. Okoliczności zmusiły go do stanowczej decyzji. Dnia 29 maja 1861 roku umarł w Paryżu Lelewel. Zgon wielkiego patrioty poruszył całą inteligencję i stał się przyczyną wielu manifestacyjnych nabożeństw w kościołach, kirchach, synagogach, zarówno w Warszawie, jak Wilnie i pomniejszych miastach. W kilka miesięcy później zmarł w 93-im roku życia książę Adam Czartoryski. Wielopolski, spodziewając się nowych manifestacji, nieprzyjaznych rządowi, postanowił uprzędzić te zamiary i tym razem uczynił zręczne posunięcie: zawiadomił arcybiskupa Fijałkowskiego, że władze nic nie mają przeciw odprawieniu mszy żałobnej za duszę księcia Adama. Arcybiskup skorzystał z tego i przez gazety zawiadomił publiczność, że w katedrze odbędzie się uroczystość żałobna. Więc olbrzymie tłumy przepęłniły katedrę, a po skończonym nabożeństwie urządziły arcybiskupowi gorącą owację. Gdy Fijałkowski opuszczał świątynię, powitano go grzmiącymi okrzykami, a gdy staruszek zsiadł w powozie, tłum wyprzągnął konie i, mimo protestów arcybiskupa, zaciągnął go wśród niemilkających wiwatów do pałacu przy ulicy Miodowej.

Generalowie, otaczający Suchozaneta, a wiedzący o jego usposobieniu względem Wielopolskiego, nie taili oburzenia z powodu, że margrabia urzędowo pozwolił modlić się za duszę buntownika, prezesa rządu, co porwał się do walki z Rosją, przestępcę, skazanego na śmierć przez ścięcie głowy toporem. Suchozanet, acz pierwotnie pochwalił zarządzenie margrabiego, pod wpływem otoczenia, zwrócił się do Wielopolskiego z ostremi wymówkami. Pyszny magnat odpowiedział na te wymówki wręczeniem dymisji. Suchozanet skwapliwie przesłał dymisję do Petersburga. Był pewien, że zostanie przyjęta. A Wielopolski liczył na to, że w Petersburgu nie zechcą się go pozbyć. Car obu przeciwnikom uczynił zawód, zażądał bowiem, aby margrabia pełnił swe obowiązki do czasu przybycia nowego namiestnika.

Jakoż pod koniec sierpnia przyjechał do Warszawy nowy namiestnik.

Był nim Karol hr. Lambert, z pochodzenia Francuz, Europejczyk o wytwornych formach, wymowny, układny, zręczny. Miał plamę na swojej przeszłości, przed laty bowiem, dowodząc pułkiem gwardji, okradł kasę pułkową. Ale plamę tę pokrył z czasem blask licznych orderów — i zręczny karjerowicz, pnąc się po szczeblach zaszczytów, otrzymał w 43-im roku życia wysoki urząd namiestnika. Lambert miał dążyć do uspokojenia kraju, postępować łagodnie i powściągliwie, aby zaś w powściągliwości swej nie poszedł zbyt daleko, generał-gubernatorem warszawskim mianowany został Gerstenzweig, typowy stupajka rosyjski, mający w stosunku do Polaków reprezentować „silną rękę“.

Lambert politykował z Wielopolskim, ale jednocześnie zapraszał na rozmowy do siebie wpływowych jego przeciwników, pragnął zjednać dla rządu arcybiskupa Fijałkowskiego, lawirował pomiędzy sprzecznymi prądami, starał się powstrzymać manifestacje i słodkimi słówkami zyskać serca polskie. Na nic się to nie zdało. Nieufność w społeczeństwie rosła i demonstracje trwały w dalszym ciągu. Car żądał od nowego namiestnika, aby je stłumił i ogłosił w Królestwie stan wojenny. Wówczas Lambert stracił głowę i całkiem już nie wiedział, co począć. Chwiejny i niezdecydowany, długo nie mógł się zdobyć na decyzję, a tymczasem manifestacje, początkowo drobne, nieznaczne, zaczynały rozszerzać się i urastać do rozmiarów kolosalnych.

Dnia 12 sierpnia, a więc jeszcze przed objęciem urzędu przez nowego namiestnika, w całym Królestwie i w wielu miejscowościach Litwy odbyły się olbrzymie manifestacje ku uczczeniu Unji Lubelskiej. Uroczystości te miały zaświadczyć przed światem o niewygasłych dążeniach Polaków do połączenia w jedną całość państwową Korony i Litwy. Szczególniej imponująco wypadł obchód w Kownie, dokąd na hasło, rzucone w szeroko rozpowszechnianych odezwach, zjechało się mnóstwo osób z różnych stron dawnej Rzeczypospolitej. W oznaczonym dniu o godz. 9 rano procesja, licząca 30.000 osób, śpiewając pieśni religijne i patryjotyczne, wyruszyła z Kowna ku mostowi na Niemnie. W tym samym czasie, stosownie do ułożonego programu, z drugiej strony Niemna ciągnęła druga olbrzymia procesja. Na moście obie procesje: z Korony i z Litwy, miały się z sobą połączyć. Jakoż, pomimo przeszkód ze strony wojska

i częściowego rozebrania mostu, uroczystość wypadła wspaniale. Przy dźwięku dzwonów, bijących we wszystkich kościołach kowieńskich, obie procesje stanęły naprzeciw siebie, przedzielone wodami błękitnego Niemna. Na powitanie pochyliły się liczne sztandary, a potem z obu stron rzeki zabrzmiał potężny hymn: „Boże, coś Polskę“... Później naprawiono most i obie procesje wśród entuzjastycznych okrzyków połączyły się z sobą.

Dnia 10 października odbyła się znowu ogromna manifestacja pod Horodłem dla uczczenia Unji Horodelskiej i podkreślenia niewygasłego związku pomiędzy Koroną, Litwą a Rusią.

A obok tych wielkich manifestacji wszędzie niemal odbywały się demonstracje lokalne, a w wielu kościołach w Królestwie i na Litwie odprawiano prawie nieustannie nabożeństwa za pomyślność ojczyzny. Wybitny udział duchowieństwa w tych manifestacjach zatrważał sfery rządowe. Obawiano się wpływu księży na lud, drżano na myśl, że ze stolicy kraju, z większych miast i miasteczek gorączka, panująca wśród ludności miejskiej, przeniesie się na wieś i ogarnie masy włościańskie. Ruch rewolucyjny, odbywający się niejako pod patronatem Kościoła, stawał się siłą tem groźniejszą, że postawa kleru była coraz bardziej wojownicza i wyzywająca.

Dnia 15 sierpnia ukazała się odezwa duchowieństwa stolicy „do braci i kolegów w całej Polsce“. W odezwie tej silnie dźwięczała nuta rewolucyjna i zapowiedź wielkiego czynu, do którego naród polski przygotować się winien.

„Spotęgujmy — głosiło duchowieństwo stolicy — i podwójmy naszą pracę, bo wielka a stanowcza chwila

la nadchodzi, a biada temu, kto z założeniami rękoma nie pracuje w winnicy, bo nie skosztuje smacznych jej owoców... W imię Boga i wolności podniosimy krzyż zbawienia, choćbyśmy mieli stanąć na Golgocie! bo lepiej stokroć umrzeć, aniżeli patrzeć na znieważenie świętości, na upodlenie synów pełnej niegdyś sławy dziedziny“...

Odezwa w energiczny sposób opowiadała się za uwłaszczeniem i wzywała księży, by w tej sprawie stali się pośrednikami „między ludem a jego starszymi braćmi“...

Wielopolski, chcąc opanować duchowieństwo, zawiązał biskupów całego kraju do Warszawy, ale poniósł klęskę stanowczą. Biskupi zredagowali memoriał, w którym między innymi żądali ograniczenia władzy komisji wyznań religijnych, możliwości bezpośredniego komunikowania się z Rzymem, uwolnienia wszystkich księży aresztowanych i rękojmi, że nikt z kleru bez wiedzy swojej władzy duchownej nie będzie w przyszłości uwięziony. Pod memoriałem pierwszy podpisał się arcybiskup Fijałkowski. Wieść o stanowisku biskupów szeroko rozniosła się po kraju i silniej jeszcze związała duchowieństwo z rozrastającym się ruchem narodowym. Lambert memoriału nie przyjął, ale dokument ogłoszony został w prasie zagranicznej i zdobył rozgłos olbrzymi.

Wkrótce po zjeździe biskupów, dnia 5 października zmarł arcybiskup Fijałkowski. Śmierć popularnego w kraju dostojnika stała się przyczyną imponującej manifestacji pogrzebowej, w której wzięły udział wszystkie warstwy społeczeństwa. Pogrzebowi arcybiskupa, jako prymasa i interrexa, starano się nadać przepych królewski. Jakoż za trumną na purpuro-

wych poduszkach niesiono insygnja królewskie: koronę i berło.

Te nieustanne manifestacje do żywego oburzały dygnitarzy rosyjskich w Warszawie. Generał-gubernator Gerstenzweig nalegał na Lamberta, aby ogłosił stan wojenny. Namiestnik wahał się, ale zapowiedź olbrzymiej manifestacji na dzień 15 października, w rocznicę zgonu Kościuszki, skłoniła Lamberta do stanowczego kroku. Dnia 14 października ogłoszony został stan wojenny, wraz z surowymi przepisami, grożącymi za niedozwoloną działalność sądem wojennym. Pomimo to nazajutrz tłumy ludu zebrały się w kościołach Św. Krzyża, Bernardynów i Św. Jana. Wojsko zbrojno wkroczyło do dwu świątyń ostatnich i po strasznych scenach, które w oblężonej katedrze przeciągnęły się do późnej nocy, aresztowało blisko 2.000 mężczyzn, których osadzono w cytadeli.

Nazajutrz wzburzenie ogarnęło miasto. Tłumy ludu hałasowały na ulicach i odgrażały się Moskalom. Kozacy nahajami rozpędzali gromadzącą się publiczność, ale postawa ludu była tak groźna, że całą załogę Warszawy zmobilizowano i rozkazano jej czekać w pogotowiu bojowym. Tegoż dnia ksiądz Antoni Białobrzeski, wybrany niedawno przez kapitułę administratorem djecezji, pod wpływem wzburzenia, które ogarnęło duchowieństwo warszawskie, rozkazał opieczetować kościół Bernardynów i katedrę, a w całej djecezji pozamykać kościoły. Była to manifestacja niezwykła i uczyniła wrażenie piorunujące. Krok ten oskarżał wobec całego świata rządy rosyjskie w Polsce w sposób niestęchanie jaskrawy. Zrozumiał to Lambert i zawezwał do siebie Białobrzeskiego.

Ale nadaremnie żądał otwarcia świątyń. Białobrzeski oświadczył, że nie spełni żądania, dopóki namiestnik nie da rękojmi, że straszne sceny gwałtów w kościołach nie powtórzą się więcej oraz dopóki wszyscy aresztowani nie zostaną uwolnieni. Chwiejny Lambert nie złożył żadanego oświadczenia, ale więźniów rozkazał wypuścić na wolność.

Rozkaz ten wywołał całkiem nieoczekiwane następstwa.

Oto generał-gubernator Gerstenzweig, niesłuchanie oburzony rozkazem, wpadł do Lamberta i najgorętsze zaczął mu czynić wymówki. Uniósł się Lambert — i pomiędzy obu dygnitarzami rozegrała się scena gwałtowna, o której potem głuche krążyły wieści. Opowiadano, że starcie skończyło się czynnemi zniewagami i że ich skutkiem miał być pojedynek amerykański. To fakt, że nazajutrz Gerstenzweig palnął sobie w łeb, a Lambert, przerażony wypadkami dni ostatnich, chory, zrozpaczony, telegraficznie zażądał od cara natychmiastowego uwolnienia go od obowiązków, a wpadłszy z jednej ostateczności w drugą, zarządził masowe aresztowania.

Wyludniona cytadela zapełniła się znowu.

Tak zakończył swoje rządy w Polsce „liberalny“ namiestnik.

Na miejsce Lamberta car znowu wyznaczył czasowo Suchozaneta, a nominacja ta skłoniła Wielopolskiego do ponownego zgłoszenia dymisji. Suchozanet czynił ze swej strony wszystko, aby dymisja margrabiego została przyjęta. Zanosilo się na poważne zmiany w administracji Królestwa. Ale i tym razem car zgotował niespodziankę: zażądał, aby Wielopolski stawiał się przed nim w Petersburgu, jednocześnie

przecież rozkazywał Suchozanetowi, by w razie odmowy margrabiego, aresztował go i wtrącił do cytadeli. Suchozanet, nie wiedzący, jak postąpi margrabia, znalazł się w ogromnym kłopotcie. Nienawidził Wielopolskiego, ale obawiał się go zarazem i nie wyobrażał sobie, by można go było aresztować. Wytworzyła się szczególna sytuacja, pod panowaniem carów jedynie możliwa, a wymownie świadcząca, na jak grzązkim i niepewnym gruncie budował margrabia swoją politykę. Na szczęście dla Suchozaneta Wielopolski ani myślał o stawianiu oporu woli carskiej. Dawno pragnąc porozumieć się osobiście z Aleksandrem, wyruszył w początkach listopada do stolicy nad Newą. Był nawet dobrej myśli. Postanowił stoczyć w Petersburgu walkę o swój system polityczny, a nie wątpił, że uzyska nowe reformy i w kraju, wstrząśnany już burzą rewolucji, zapoczątkuje erę nowych rządów i nowego życia.

A do Warszawy niemal współcześnie z wyjazdem margrabiego przybył nowy namiestnik, generał Lüders. Był to, według opinii księdza Felińskiego, „dzielny wojskowy, gotów na rozkaz cesarza wyrznąć choćby kraj cały, ale poza służbą frontową nie znający się na niczem“. Do tej charakterystyki można by dodać, że był to jeszcze hulaka i utracjusz, mistrz w kradzieży grosza rządowego. Wyniesiony w braku innych kandydatów na dostojęństwo namiestnika, Lüders rozpoczął rządy od ucisku i aresztowań, którymi obiecywał sobie kraj uspokoić. Wielu znanych obywateli znalazło się w więzieniu, a szczególnie wielkie wrażenie wywarło aresztowanie księdza Biało-brzeskiego. Stary, siedmdziesięcioletni prałat w nocy porwany został z mieszkania, a następnie wtrąco-

ny do cytadeli. Oddano go pod sąd polowy, który wydał wyrok śmierci przez rozstrzelanie. Jednakże Lüders nie ośmielił się zatwierdzić wyroku, a car rozkazał akta sprawy przesłać do Petersburga. Ostatecznie Białobrzeski skazany został na pół roku fortocy, ale ani wyrok śmierci, ani złagodzenie wyroku celu nie osiągnęło. Kościoły w dalszym ciągu pozostawały zamknięte, a fakt ten wiele kłopotu sprawiał w Petersburgu, gdyż niebywała manifestacja szeroko omawiana była za granicą. Oburzenie opinii europejskiej na rządy rosyjskie w Polsce rosło nieustannie. Załagodzenie manifestacji było tem trudniejsze, że kapituła warszawska zacięła się w uporze i odmówiła wyboru nowego administratora.

Wielopolski, bawiący podówczas w Petersburgu, wiedział z doświadczenia, że ani groźbą, ani namową nie można będzie przełamać oporu duchowieństwa. Więc postanowił wynaleźć na godność arcybiskupią kandydata, który zgodzi się kościoły otworzyć, a księży odsunie od polityki. Kandydata takiego znalazł w osobie księdza Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, młodego profesora Akademii duchownej w Petersburgu. Rzym zatwierdził tę kandydaturę i ksiądz Feliński, wyświęcony w styczniu 1862 roku, wyruszył do Warszawy.

Nowy arcybiskup, człowiek wykształcony, żarliwy kapłan, w głębi duszy marzyciel i poeta, snujący fantastyczne rojenia o nawróceniu całej Rosji na katolicyzm, wychowywał się w tradycjach patryjotycznych, a miał za sobą przeszłość, która mu mogła zjednać społeczeństwo. Matką nowego dostojnika była Ewa z Wendorfów Felińska, głośna patryjotka, zesłana w swoim czasie na Sybir za udział w spisku

Konarskiego. Ojciec był czynny w powstaniu listopadowym, stryj cieszył się rozgłosem, jako poeta i autor popularnego w owej dobie hymnu: „Boże, coś Polskę“... Sam Feliński, nim został kapłanem, ukończył w uniwersytecie moskiewskim wydział matematyczny, następnie przebywał zagranicą. We Francji interesował się żywo działalnością emigracji i serdecznie zaprzyjaźnił się z Juljuszem Słowackim. W roku 1848-ym brał czynny udział w powstaniu poznańskim. Po upadku powstania znowu znalazł się w Paryżu. Postanowiwszy poświęcić się stanowi duchownemu, wrócił do kraju, wstąpił do seminarjum w Żytomierzu, następnie wysłany został do Akademji duchownej, w której z czasem objął katedrę filozofji. Był to człowiek najzupełniej oddany swemu powołaniu, pobożny, skromny, cichy. Przekonany przez Wielopolskiego o szkodliwej działalności kleru w Królestwie, sam wreszcie przeświadczony, że duchowieństwo nie powinno brać udziału w ruchu politycznym, zgodził się przyjąć dostojęństwo arcybiskupie i otworzyć w całej djecezji kościoły. Feliński wierzył w dobre intencje rządu rosyjskiego, sądził, że wpływając na uspokojenie kraju, przyspieszy wielkie dzieło reform i przysłuży się ojczyźnie, ku której żywił miłość głęboką.

Przyjechawszy do Warszawy, energicznie przystąpił do dzieła.

Opinia powitała go pomrukiem niechęci. Dnia 13 lutego nowy arcybiskup, otoczony klerem, uroczystie otworzył katedrę Św. Jana, a po akcie rekoncylacji wszedł na ambonę i wygłosił długą mowę, pełną zwrotów gorących i patryjotycznych. Ale jednocześnie w mowie tej arcybiskup zaklinał obecnych, aby nie

dawali powodu do obrazy świętyń, aby wrócili do dawnego trybu modlitwy i nie śpiewali w kościołach niedozwolonych pieśni. Publiczność w milczeniu słuchała tego przemówienia. Gdy jednakże wzruszony i przejęty misją swą Feliński zwrócił się do słuchaczy z wezwaniem, by ci, którzy chcą iść za jego radą, przyklękli, a on udzieli klęczącym błogosławieństwa pasterskiego, w kościele rozległ się głos:

— Niech nikt nie klęka!..

Istotnie bardzo niewiele osób uklękło. Co więcej! tłum zakłótył się i z hałasem zaczął opuszczać świątynię.

Tak więc pierwsze wystąpienie nowego arcybiskupa nie tylko chybiło celu, ale wywołało ogromne rozdrażnienie. Prasa zakordonowa i nielegalna uderzyła na alarm. „Chrystus ucieka z pośród murów, które dziś z woli cara stały się mieszkaniem fałszu i zdrady“ — głosiła „Pobudka“. Wywiezienie z Warszawy tak popularnych w owym czasie księży, jak Białobrzegi, Wyszyński i Stecki, oburzało ogół, było zarazem rękawicą, ciśniętą duchowieństwu, które w zesłańcach widziało ofiary patryjotyzmu. Feliński, mimo energii i przeświadczenia moralnego, że działa dla dobra kraju, nie zdołał opanować umysłów, nie potrafił powstrzymać fali wzburzenia, która podnosiła się coraz wyżej. Duchowieństwo nie zmieniło swojego stanowiska, a w kościołach, jak dawniej, rozbrzmiewały pieśni patryjotyczne.

Powoli w społeczeństwie utrwaliło się przekonanie, że istniejący stan rzeczy utrzymać się dłużej nie może, że kraj stoi w przededniu niesłychanie ważnych wypadków. Dotychczasowe ustępstwa i reformy nie zadowolily opinji. Na porządku dziennym

dyskusji, toczonych w różnych kołach inteligencji, coraz częściej omawiać zaczęto sprawę wyzwolenia się z pod jarzma rosyjskiego i zdobycia całkowitej niepodległości.

Kwestja zbrojnego przeciw Rosji powstania zaprzętała umysły.

Na tem tle zaczęły się tworzyć stronnictwa.

Śród kół umiarkowanych powstała myśl wytworzenia organizacji, któraby ujęła w swe ręce całokształt spraw politycznych kraju i, przeciwstawiając się nieobliczalnym dążeniom młodzieży, poprowadziła społeczeństwo do czynu. Kadry takiej organizacji znaleziono śród członków rozwiązanego Towarzystwa Rolniczego i delegacji miejskich, które na wzór Warszawy powołały w swoim czasie do życia miasta prowincjonalne, a które zamknięte zostały z rozporządzenia władzy. Myśl spotkała się z uznaniem — i po wielu wysiłkach stanęła organizacja, ogarniająca kraj cały. Królestwo, według dawnego wzoru, podzielono na województwa, w których zebranie wybitniejszych obywateli wybierało swoich mężów zaufania. W grudniu 1861 roku przedstawiciele województw zjechali się w Warszawie i wybrali swój zwierzchni organ, składający się z pięciu osób, a nazwany Dyrekcją. Do składu Dyrekcji powołani zostali obywatele ziemscy Wojciechowski i Kurtz, przedstawiciele mieszczaństwa Kronenberg i Jurgens, wreszcie Karol Majewski, jako reprezentant młodzieży. Andrzej Zamoyski wy mówił się od przyjęcia mandatu.

Obóz ten, nazwany białym, w całej rozciągłości hołdował poglądom Jurgensa, który skłaniał się coraz bardziej ku powstaniu, ale uważał, że poprzedzić je musi wytężona praca przygotowawcza, obliczona

na długi okres czasu. Poza ten program białych był programem umiarkowanie liberalnym.

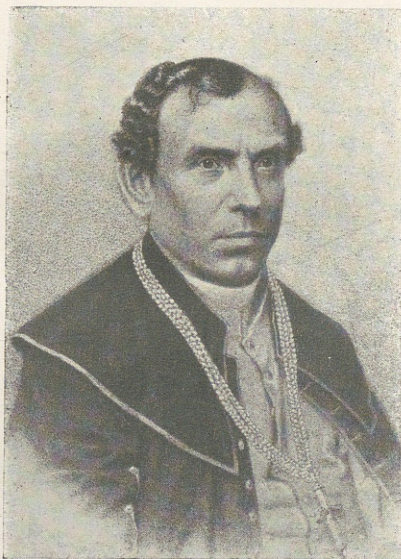
Jurgens, pisząc do wybitnego na emigracji działacza, szczerego demokraci, Leona Zienkowicza, o piśmie, które organizacja projektowała wydawać zagranicą, w tych słowach program pisma, a zarazem program stronnictwa białych, scharakteryzował:

„...Zadanie demokratyczne przestało być walką i antagonizmem z arystokracją, która nie ma żadnych przywilejów,—jest dziś w epoce nie negacyjnej i niszczącej, ale rodzajnej i budującej przyszłości. Pismo, o którym mowa, musi popierać tę ideę wogóle, mówić za równouprawnieniem wszystkich stanów, za potrzebą ofiar dla pozyskania sobie włości i ułatwienia im nabycia własności, za braterstwem Żydów, za równością obywatelską wszystkich bez różnicy wiary i stanu. To zadanie stoi na czele. Nie można jednak ani zbyt gwałtownie bić na szlachtę, ani nadto jawnie wywieszać chorągwi, aby do niej nie zrażać uprzedzonych“...

„...Położenie polityczne kraju na pierwszym miejscu znowu każe nam kłaść za samą potrzebę zjednoczenia patryjotycznego nie tylko ludzi, ale prowincji, silną organizację, mającą u steru niemal dyktatorską (władzę), która w czasach walki, czy się jednym wyraża człowiekiem, czy zbiorowym zarządem, musi być warunkiem porządnego działania“...

W sprawie samego powstania w ten sposób wypowiedział się Jurgens:

„Polska ma jeszcze wiele przed sobą do zrobienia i przygotowania, niżeli będzie gotową do boju i walki całymi siłami swymi; ma przed sobą moralne uzbrojenie swoje, zjednoczenie, wreszcie materialne



Ks. ZYGMUNT SZCZĘSNY-FELIŃSKI

usposobienie do ostatecznej walki... Konieczne jest wpoić to, że myśl narodowa nie tylko nie odrzuca najdalszych konsekwencji obrony narodowości, ale je widzi nieuchronnymi, że powstanie zbrojne nie tylko przypuszcza, ale się doń, jako do konieczności przygotowuje; ale zarazem, że kierownicy mają za obowiązek darmo nie szafować ani krwią, ani ludźmi, ani zasobami materialnymi, ani siłą moralną. Nie cofną się oni, jeżeli najmniejsze prawdopodobieństwo dozwoli rozpocząć walkę, która jest ostatecznym celem usiłowań. Potrzeba jednak wybór chwili i rachunek prawdopodobieństwa zostawić tym, którzy pierwsi siebie gotowi są poświęcić, ale nie mogą na próżno dać drugich na ofiarę. Walka stanowcza musi być zwycięską; rozpoczynać jej nikt sam, z gorącości zapału lub rozpaczony nie ma prawa“... *)

Ponadto biali dążyli do tego, aby opanować rady miejskie, powiatowe i gubernjalne, a wszystkie ważniejsze urzędy obsadzić swoimi członkami. W ten sposób chcieli wytworzyć „rządy w rządzie“, podporządkować swoim planom aparat urzędniczy Królestwa i zagarnąć w swoje ręce faktyczną władzę w kraju. Za głowę swego stronnictwa uważano w tym obozie Andrzeja Zamoyskiego, który do Dyrekcji wejść nie chciał, ale pozostawał z nią w porozumieniu przez syna swojego Władysława.

Dyrekcja usilnie gromadziła pieniądze.* W krótkim czasie zebrała dwa miliony złotych polskich, rozszerzyła organizację swoją na Litwę i Ruś, a pod sztandarem swoim w dość szybkim czasie skupiła liczne koła mieszczaństwa i szlachty. W Poznańskim

*) Z rękopisu, znajdującego się w posiadaniu prywatnym.

w myśl zasad stronnictwa działali poseł Niegolewski i wybitny uczestnik powstania w r. 1848-ym, Aleksander Guttry. W Galicji popierała białych grupa partyjotów, skupiających się przy „Czasie“, który w owej dobie wywierał duży wpływ na umysły i w sferach inteligencji wielkiem cieszył się uznaniem.

Elementy rewolucyjne starała się Dyrekcja usunąć od wpływów. Założona w Genui, a następnie przeniesiona do Cuneo Szkoła podchorążych, kształcąca młodzież w sztuce wojennej, długi czas pozostawała pod dyrektorstwem Mierosławskiego. Na skutek starań białych zastąpił starego rewolucjonistę generał Wysocki, aczkolwiek i ten ostatni nie godził się z taktyką Dyrekcji i w chwili stanowczej nie myślał hamować rwącej się do walki młodzieży.

Dążąc do opanowania kraju i pochwycenia władzy w swe ręce, biali spotkali niebezpiecznego przeciwnika w przedsiębiorczym a ruchliwym obozie czerwonych.

Obóz ten, długo niespojony w całość organizacyjną, często powoływał do życia różne komitety, których egzystencja krótka i przemijająca, nie zdołała w ówczesnem życiu zaznaczyć się wybitniej. Ale obóz ten, acz rozproszony i podzielony na koła, posiadał jednostki o wielkim temperamentem bojowym, o sercach gorących i głowach zapalnych. Jedno z kół młodzieży akademickiej, pozostające pod wodzą Daniłowskiego i Janczewskiego, zorganizowane było w dziesiątki i setki, a miało charakter wybitnie powstańczy. Członkowie tego koła uczyli się mustry i władania bronią, zbierali składki na uzbrojenie przyszłych wojsk powstańczych, gromadzili oręż i agitowali wśród sfer rzemieślniczych na rzecz szybkiego wybuchu powsta-

nia. Pozatem istniały różne koła, wyznające często jedne i te same zasady, ale nie związane węzłem organizacyjnym. Komitet akademicki nie umiał tych kół zjednoczyć, choć myśl zjednoczenia nieraz była podejmowana. Pracę tę podjęła nanowo pod koniec r. 1861 niewielka grupa spiskowców, wśród których wysunął się na czoło Ignacy Chmieleński, konspirator wytrawny i energiczny, ale człowiek ogromnie próżny i zarozumiały, w stosunkach z ludźmi cierpki, zgryźliwy, odstrasżający swoją pewnością siebie i niepohamowaną żądzą władzy. Otóż Chmieleński wraz z młodzieńcem Juljanem Wereszczyńskim i Leonem Głowackim utworzyli nowy komitet, zwany później Komitetem Miejskim, obok którego istniało powołane przez przedstawicieli innych organizacji rewolucyjnych Koło, jako łącznik pomiędzy Komitetem a poszczególnymi organizacjami. Do Koła należeli ludzie młodzi, namiętni, niecierpliwi, trawieni gorączką czynu.

„Koło, — powiada Agaton Giller, — sprawiało zamęt w działaniach i ciągłe burze oraz odmiany w Komitecie: robota naprzód nie posuwała się, nie było bowiem w niej programu, nie było ładu i porządku“...

Sytuacja zmieniła się znacznie, gdy w lutym 1862 roku zawitał do Warszawy Jarosław Dąbrowski, który po świetnym ukończeniu Akademii wojskowej w Petersburgu, rozpoczął starania, aby go przeniesiono do stolicy Polski. Starania odniosły pożądaną skuteczną — i Dąbrowski odkomenderowany został do sztabu generalnego szóstej dywizji piechoty.

Stanąwszy w Warszawie, młody, bo 25-letni spiskowiec, odznacżający się żelazną energią i kamien-

nym uporem, postanowił uorganizować obóz czerwonych i objąć nad nim władzę. Śmiały do szaleństwa, przedsiębiorczy, pewny siebie, kipiący życiem i młodością, zgrabny i wdzięczny, przezwany dla małego wzrostu Łokietkiem, rzucił się w wir spiskowy i nieustrudzoną rozwinął działalność. Swoimi poglądami krańcowo czerwonymi, zapalem, energją, śmiałością pomysłów, wreszcie autorytetem wojskowym oddziaływał na wyobraźnię młodzieży. Według określenia Daniłowskiego, Dąbrowski „miał wyższe wykształcenie i przyrodzone zdolności, lecz w głowie i w sercu wulkan, wiecznie wybuchający“. Śmiały i rzutki, rozwalił przedewszystkiem Koło, które krępowało działalność Komitetu Miejskiego, następnie rozwalił skład Komitetu i wraz z Ignacym Chmieleńskim oraz Stanisławem Matuszewiczem stanął na jego czele. Później połączył w jedną organizację kadry Komitetu Akademickiego i Komitetu Miejskiego, którego skład powiększył się o dwóch nowych członków: Daniłowskiego i Marczewskiego.

Organizacja dzieliła się na dziesiątki i setki. Miasto podzielone zostało na cztery wydziały, z których każdy miał trzy okręgi. Naczelnicy okręgów stali na czele setników, sami zaś podporządkowani byli naczelnikom wydziałów, ci zaś podlegali władzy naczelnika miasta, który stał na czele całej organizacji miejskiej.

Naczelnikiem miasta został Jarosław Dąbrowski.

W ten sposób „Łokietek“ dopiął celu: w jego ręku znalazł się ster organizacji. Wtedy młody spiskowiec pówziął plan śmiały, szalony. Przy pomocy oficerów w wojsku rosyjskim, częściowo Polaków, częściowo Rosjan, zamierzał on niespodziewanym napa-

dem opanować cytadelę w Warszawie i twierdzę w Modlinie, zdobyć broń, uzbroić lud i tymi krokami rozpocząć zbrojne przeciw Rosji powstanie. Plan ten przedstawił Komitetowi, a był tak pewny siebie, że nawet termin wybuchu wyznaczył na dzień 26 czerwca 1862 roku. Komitet plan zatwierdził, ale gdy wiadomość o tem rozeszła się wśród wybitniejszych członków organizacji, podniosła się przeciw Dąbrowskiemu burza. Pod wpływem Daniłowskiego, który doszedł do przekonania, że cały projekt skończyć się musi niechybną katastrofą, garść niezadowolonych spiskowców, uzbroiszy się w sztylety i rewolwery, wtargnęła na posiedzenie Komitetu i zażądała od jego członków, aby złożyli swoje mandaty. Jakoż Komitet się rozpadł, a wypadek ten postanowili wyzyskać biali i utwierdzić swe wpływy w rewolucyjnych sferach Warszawy. Cel osiągnięto, gdyż nowy Komitet stanowili: noszący płaszcz na dwu ramionach Karol Majewski i Juljan Paszkiewicz. Z dawnego składu pozostali Daniłowski i Marczewski, a nową siłą, mającą wkrótce w dziejach ruchu narodowego odegrać rolę poważną, był znany redaktor „Czytelnicy Niedzielnej“ popularny w sferach rzemieślniczych sybirak, Agaton Giller, spiskowiec o dużej ambicji, niepośledni talent organizatorski, równie, jak czerwoni dążący do powstania, ale podobnie, jak Jurgens, zwolennik solidnej pracy przygotowawczej, mającej wybuch poprzedzić.

W ten sposób Dąbrowski usunięty został z Komitetu, ale sprawcy zamachu nie śmieli go pozbawić stanowiska naczelnika miasta. A Dąbrowski wykorzystał ten błąd i na zamach odpowiedział zamachem. Wpadłszy na posiedzenie Komitetu, oświadczył no-

wym jego członkom, że organizacja miejska nie jest zadowolona z tego, co się stało, że naczelnicy wydziałów postanowili, aby Komitet nie ważył się nie przedsiębrać bez wiedzy i zgody naczelnika miasta.

Dyktatorski gest Dąbrowskiego odniósł zamierzony efekt. Paskiewicz i Majewski, spłoszeni ruchem rewolucyjnym, ustąpili z Komitetu. Pozostali na swoich stanowiskach Daniłowski, Marczewski i Giller, wszedł ponownie Dąbrowski, a piątym członkiem został wybitny działacz rewolucyjny z Białegostoku, Bronisław Szwarce. Dąbrowski znowu wysunął się na czoło, ale jego plan powstania został udaremniony.

W czerwcu 1862 roku Komitet Miejski, który dzięki systematycznej pracowitości i talentom organizacyjnym Gillera, uporządkował organizację i rozszerzył swe wpływy na prowincji, przybrał miano Komitetu Centralnego Narodowego.

Sama nazwa świadczyła, że odtąd czerwoni pragną reprezentować interesy całego narodu.

Organizacja Komitetu w dalszym ciągu dzieliła się na dziesiątki i setki. Na czele dziesięciu setek stał naczelnik okręgowy i podlegał wydziałowi miejskiemu, który podlegał znowu naczelnikowi miasta. Na prowincji działali naczelnicy powiatu, oddani pod władzę naczelników wojewódzkich. Łącznikiem pomiędzy naczelną władzą całej organizacji, Komitetem Centralnym a wojewódzkimi, byli komisarze. Komitet Centralny miał władzę nieograniczoną, sam uzupełniał swój skład i zmieniał swoich członków.

Pomimo braku środków materialnych, organizacja Komitetu Centralnego rosła nieustannie, objęła w szybkim czasie wiele miast i miasteczek, znalazła zwolenników wśród młodszego pokolenia obywateli

ziemskich, wśród duchowieństwa, drobnej szlachty i młodzieży szkolnej. Z czasem zdobyła pewne wpływy w zaborach pruskim i austryjackim, utworzyła swój wydział na Rusi, próbowała zorganizować Litwę. Komitet Centralny, pomny na swe obowiązki względem ludu, rozwinął energiczną agitację wśród włościan, ale lud niechętnie słuchał o powstaniu i podejrzliwie śledził pracę agitatorów. Jedyne na Podlasiu, gdzie działalnością swoją zdobył wielką popularność ksiądz Stanisław Brzózka, włościanie wykazali lepsze zrozumienie rzeczy i chętnie garnęli się do organizacji.

Dzięki ruchliwości, Komitet Centralny rósł w znaczenie i wpływy i coraz większą zdobywał powagę. Tymczasem biali, ukończywszy czynności organizacyjne, więcej wagi przywiązywali do pracy kulturalnej i oświatowej, do zdobywania ważnych stanowisk, do opanowywania Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i innych placówek, niż do akcji politycznej. Wprawdzie i biali mówili o powstaniu, lecz sztandar powstańczy wywieszali ostrożnie, pragnęli wszystkich do siebie przyciągnąć, nikogo nie zrazić, postępowali chwiejnie, niezdecydowanie i w agitacji nie mogli dorównać czerwieńcom, nie mogli się mierzyć z ich zapałem, śmiałością, energią...

Ale na drodze czerwonych stanął przeciwnik potężny.

Przeciwnikiem tym był margrabia Wielopolski.

VIII.

CZERWONI I WIELOPOLSKI.

Nieubłagany wróg ruchu, ujawniającego się w kraju, Wielopolski, stanąwszy w stolicy nad Newą, uczynił wszystko, aby ten ruch wyzyskać na rzecz nowych zdobyczy. Jego myślą przewodnią był rozdział władzy cywilnej od wojskowej i uwolnienie społeczeństwa z pod samowoli generałów rosyjskich. Pragnął zarazem, by na stanowisko namiestnika mianowany został książę krwi cesarskiej, a więc dostojnik, któryby zarówno w Warszawie, jak w Petersburgu, cieszył się większą powagą, niż wszyscy następcy Paskiewicza. Rolę naczelnika rządu cywilnego przeznaczył margrabia Polakowi, a nie wątpił, że w razie urzeczywistnienia tych planów, on sam na tę godność zostanie wyniesiony.

Do dzieła zabrał się Wielopolski z wprawą wytrawnego gracza-dyplomaty. Drażliwy aż do krańcości wobec swoich, małostkowy i mściwy w Warszawie, zdobywał się na wspaniałe gesty w otoczeniu obcem. Od jego olbrzymiej, a niesłuchanie pewnej siebie postaci, wiało jakimś posepnym majestatem, który nad Newą budził szacunek i zdziwienie. Wielki pan polski, noszący wysoko swoją lwią głowę,

a przed nikim nie zginający hardego karku, był w atmosferze służalczości tak niezwykle zjawiskiem, że powszechną wzniecał sensację. W wypadkach wątpliwych ratował sytuację niezachwianą pewnością siebie, która nieraz w najwyższym stopniu imponowała Moskałom. Kiedy na przyjęciu dworskiem, w dzień noworoczny, zjawił się w sali przyjęć pałacu Zimowego, mistrz ceremonji nie wiedział, gdzie wyznaczyć mu miejsce. Margrabia wybawił go z kłopotu. Pewnym siebie krokiem przeszedł całą salę i stanął obok korpusu przedstawicieli państw zagranicznych. Wtedy mistrz ceremonji zwrócił mu uwagę, że to nie jest miejsce właściwe. Wielopolski ani drgnął.

— Wiem, panie, gdzie jest moje miejsce, — odpowiedział tak wyniosłym tonem, że strapiiony dygnitarz dworski zamilkł i nie ośmielił się nowej uczynić uwagi.

Innym razem, czekając na cara w sali audjencjonalnej, margrabia zasiadł w fotelu. Gdy mu powiedziano, że na cara czeka się, stojąc, odpowiedział żartem, że to Rosjanie czekają na cara i dla tego stoją, on zaś oczekuje na swojego króla, więc siedzi.

Dygnitarze rosyjscy z wzrastającym podziwem spoglądali na tego magnata, który nie piął się po szczeblach kariery, lecz wprost z zacisza wiejskiego, wyniesiony na wysoki urząd, ośmielał się w Warszawie stawiać do walki z namiestnikami samego cara, a w Petersburgu otaczał się dumą i nakazywał dla swojej osoby szacunek. Nie wiedziano, co z nim robić. Dostrzegano w nim siłę, rozumiano, że usług takiego człowieka odrzucać nie można, jeśli Polska ma być uspokojona, ale jednocześnie nie dowierzano mu i obawiano się spełnienia jego żądań. Proponowano mu

stanowisko ministra sekretarza stanu do spraw Królestwa, ale margrabia odrzucił tę propozycję, gdyż, jak się wyraził, nie chciał być „pocztyljonem bez inicjatywy“. Nie zgodził się również na wyjazd do Rzymu dla uregulowania spraw kościelnych w Królestwie, gdyż twierdził, że w Rzymie nikomuby nie dogodził, a wątek spraw krajowych musiałby wypuścić z ręki. Widocznem było, że ambicje jego sięgają dalej, że uśmiecha mu się władza cywilna nad krajem. Więc i nad tem radzono w najwyższych sferach nad Nawa, co nie przeszkadzało, że zastanawiano się jednocześnie, czy nie należałoby potraktować margrabiego, jak przestępcę i dać mu rozkaz, by nazawsze opuścił Polskę. W państwie wszelkich niemożliwości wszystko stawało się możliwem. Ostatecznie przecież zgodzono się z Wielopolskim, że dotychczasowe ulgi dla Polaków były niedostateczne, że jedynie dalszemi ustępstwami można ułagodzić rosnące w kraju wzburzenie.

W myśl tej decyzji dnia 8 czerwca 1862 roku ukazał się reskrypt cesarski, mianujący wielkiego księcia Konstantego namiestnikiem Królestwa, a Wielopolskiego naczelnikiem rządu cywilnego.

W ten sposób margrabia cel swój osiągnął. Na stanowisko namiestnika wyniesiony został brat cesarski, cała administracja kraju wraz ze wszystkimi komisjami przeszła pod zarząd Wielopolskiego i wydartą została z pod władzy wojskowej. Głównodowodzącym wojskami w Królestwie mianowany został generał Ramsay. Drugi z kolei reskrypt carski mianował Wielopolskiego wiceprezesem Rady Stanu. Wobec tego, że prezesem tej instytucji był sam namiestnik, margrabia zostawał następcą namiestnika. Tak

więc Królestwo otrzymało autonomję w zakresie szerokim, a na jej straży stawał Polak w osobie margrabiego.

W. książę Konstanty, w przeciwstawieniu do swojego imiennika, który w dziejach Królestwa Kongresowego niezapomnianą odegrał rolę, był człowiekiem wykształconym i czytającym, posiadał umysł lotny i bystry, odznaczał się taktem i umiał pozyskiwać ludzi, których pragnął sobie zjednać. Liczył podówczas lat trzydzieści pięć, a miał ambicje wielkie. Urząd namiestnika przyjął z wielką skwapliwością. Z Wielopolskim porozumiał się prędko, uwierzył w jego rozum, był pewien, że przy jego pomocy utrwali swe stanowisko w Warszawie. Nowego namiestnika podejrzewano nawet, że snuje daleko sięgające plany, że marzy mu się korona polska, jeśli tylko okoliczności ułożą się pomyślnie.

W czerwcu 1862 r. Wielopolski wyjechał z Petersburga. W. książę miał przybyć za kilka tygodni, podczas których władza namiestnicza pozostawała w ręku Lüdersa.

Margrabia powracał z całym poczuciem odniesionego tryumfu, pewien dodatniego wrażenia, przekonany, że tym razem zjedna dla współpracy umiarkowany odłam społeczeństwa polskiego. Spotkał go zawód i to zawód bardzo bolesny. Wprawdzie wrażenie, wywołane rykryptami carskimi, było olbrzymie, ale gdy margrabia zetknął się z rodakami, przywitała go lodowata niechęć. Sprawca krwawej katastrofy 8 kwietnia, mąż stanu, obrzucający nieustannie pianą swej wzdgardy wszystkich przeciwników, pozostał dla ogółu znienawidzonym człowiekiem. Opinja nie myślała go rozgrzeszyć — i tryumfatora

otoczyła pustka w jego własnym kraju. Ta zimna obojętność uczyniła na Wielopolskim wrażenie tak potężne, że, jak zapewnia jego biograf, Lisicki, jeszcze przed samą śmiercią, wspominał o doznaniem w Warszawie przyjęciu, jako o największym zawodzie, jakiego doznał w swem życiu. Przyznać przecież trzeba, że nie upadł pod brzemieniem okazywanej mu obojętności, lecz z energją przystąpił do pracy.

W wygłoszonych mowach zapowiedział, że reformy wprowadzane będą bez „czczych pozorów i przewłok“, a jego pewność siebie nie pozostawała bez wpływu na umysły. Dostrzegł to margrabia i uwierzył, że zjedna sobie białych. Ale na myśl o obozie czerwonych jeżył się i zaciskał pięści. Czytając wydawane przez ten obóz pisma, ośmieszające „pseudo-reformy“, a traktując wszystkie zdobycze, jako oszustwo rządu najeźdźniczego, unosił stę niepohamowanym gniewem. On, który w stolicy nad Newą umiał tak znakomicie wyzyskać działalność czerwonych i wywoływany przez nich niepokój, drżał teraz na myśl, że garść szaleńców unicestwi jego dorobek i niewczesnym wybuchem pokrzyżuje wszystkie zamiary. Więc jednym zamachem postanowił zmiążyć całą organizację. W tym celu nawiązał za pośrednictwem Kronenberga stosunki z Dyrekcją białych. Dawał do poznania Dyrekcji, że jeżeli kraj zacznie korzystać lojalnie z przyznanych mu reform, to reformy te rozszerzone zostaną z czasem na Litwę, Wołyń i Podole, mówił, że w. książę Konstanty przyjeżdża do Warszawy z wielkimi zamysłami, że cała przyszłość narodu zależy obecnie od tego, by życie publiczne w kraju popłynęło łóżyskiem spokojnej,

wyężonej pracy. Ponieważ zaś na przeszkodzie tej pracy stoją knowania rewolucjonistów, wzywał tedy Dyрекcję, aby wydała w jego ręce całą organizację czerwonych wraz z Komitetem Centralnym.

Tego rodzaju wezwanie do głębi poruszyło Dyрекcję. Jej członkowie byli zbyt „praktycznymi“ ludźmi, zbyt wiele posiadali „rozsądku“, aby na uwłaczającą propozycję odpowiedzieć, jak należało. Więc postanowili uczynić zadość żądaniom margrabiego, a Karol Majewski, mający stosunki w obozie rewolucyjnym, zgodził się odegrać rolę Judasza i wydać niedawnych swoich towarzyszy w ręce Wielopolskiego. Ale Majewski, acz margrabia zapewniał, że nie myśli gubić czerwonych, że zamierza tylko wysłać ich na jakiś czas w głąb Rosji, by wkrótce pozwolić na powrót do kraju, miał wątpliwości, czy mściwy naczelnik rządu cywilnego dotrzyma swego słowa. Majewski wiedział, że rewolucjoniści nie będą mieli miłosierdzia dla zdrajców. Więc żądał, by Wielopolski dał piśmienne zobowiązanie, że nic się czerwonym nie stanie. Ten nie chciał na to przystać i układy zostały zerwane. W ten sposób ocaleni czerwoni. Ale margrabia, idąc za popędem przyrodzonej mściwości, uniósł się gniewem i, nie mogąc uwięzić wszystkich swych wrogów, rozkazał wtrącić do cytadeli Majewskiego.

Pogłoski o zamiarach naczelnika rządu doszły do uszu zainteresowanych i wśród jednostek zapaleńszych wywołały pragnienie odwetu. Ignacy Chmieleński, niezadowolony z działalności Komitetu Centralnego, a mający już własną organizację, porozumiał się z Jarosławem Dąbrowskim i na zamach zamachem postanowił odpowiedzieć. Nie tylko przecież uczucie ze-

msty powodowało rewolucjonistami, gdy powzięli zamiar rozprawić się z Wielopolskim. Jak margrabia był przekonany, że tylko jego system może zbawić Polskę, tak czerwoni byli pewni, że Wielopolskiego wyniosła fala rewolucyjna, że wszelkie ustępstwa, na które zgodzono się w Petersburgu, są wynikiem obawy o wybuch zbrojny, że dość, aby w Polsce zapanała dawna martwota, a wróci dawny system rządu, wszystkie zaś reformy obrócą się wniwecz. Co więcej, wierząc równie głęboko, że tylko przez walkę zbrojną naród może odzyskać należne mu prawa, czerwoni widzieli w Wielopolskim potężną tamę, wstrzymującą bieg fali powstańczej.

W takich warunkach musiało dojść do walki śmiertelnej pomiędzy przeciwnikami i bądź margrabia, bądź obóz rewolucyjny paść w tych zapasach musiał.

Tak też całą sprawę ujmował Chmieleński.

„Kula w łeb“, — oto była odpowiedź rewolucjonistów na nieudany zamach margrabiego.

Jakoż Chmieleński przystąpił do urzeczywistnienia tej myśli, lecz zaszedł wypadek, który porachunek z margrabią odsunął na plan dalszy. W owym czasie uwagę publiczną przykuwał proces, wytoczony wojskowym rosyjskim, których oskarżano o szerzenie agitacji rewolucyjnej wśród wojska. Porucznik Arnold, podporucznik Śliwicki, podoficer Rostkowski, acz śledztwo nie ujawniło, by należeli do spisku, skazani zostali na śmierć, a Lüders wyrok ten zatwierdził. W odpowiedzi na to kapitan Andrzej Potiebnia, postanowił zabić Lüdersa. Jakoż 27 czerwca w ogrodzie Saskim wypalił z pistoletu do spacerującego namiestnika. Strzał był celny. Lüders, trafiony w szczę-

kę, padł zalany krwią, a Potiebnia skorzystał z po-
łochu, i znikł niepostrzeżenie w tłumie.

Lüders przyszedł wkrótce do siebie, ale zamach,
wbrew oczekiwaniom rewolucjonistów, przyspieszył
przyjazd w. księcia Konstantego. Wtedy Chmieleński
zmienił plan i przed rozprawieniem się z margrabią,
postanowił przywitać kulą brata cesarskiego i poło-
żyć go trupem, nimby zdołał rozpocząć swe rządy.
Dwaj czeladnicy krawieccy: Edward Rodowicz i Lu-
dwik Jaroszyński podjęli się zastrzelić Konstantego,
gdy będzie wysiadał z wagonu. Jakoż dnia 2 lipca,
w dzień przyjazdu nowego namiestnika, obaj spiskow-
cy udali się na dworzec petersburski. Ale nie wyko-
nali zamachu. W. ksiązę wysiadł z wagonu wraz
z żoną, a obecność przy jego boku kobiety, skłoniła
spiskowców do poniechania zamiaru. Wszakże na
drugi dzień, gdy Konstanty, po przedstawieniu teatral-
nem, wsiadał do karety, huknął niespodzianie strzał.
To Jaroszyński spełnił dane mu polecenie. Lecz ku-
la drasnęła tylko w. księcia — i zamach się nie udał.
Jaroszyński zaraz na miejscu został aresztowany,
a w. ksiązę, po opatrunku w gmachu teatralnym, spo-
kojnie odjechał do Belwederu.

Nazajutrz rewolucjoniści przekonać się mogli, że
środek, który wybrali, najzupełniej zawiódł ich ocze-
kiwania. Wrażenie było ogromne, ale tym razem
opinja publiczna zwróciła się przeciw sprawcom za-
machu. Arcybiskup, wszystkie władze, a więc Rada
stanu, Rada administracyjna, Rada miejska, nawet
przedstawiciele T-wa Kredytowego Ziemskiego z An-
drzejem Zamoyskim na czele, udali się do Belwede-
ru, by wyrazić w. księciu swój żal i oburzenie. Po-
tępiła zamach cała prasa legalna, wyparła się go re-

wolucyjna „Strażnica“, wystąpił przeciw niemu „Ruch“, organ Komitetu Centralnego.

Tak więc strzał chybił i chybił sam zamach. Zamiast podniesienia się nastroju rewolucyjnego, zapanał w Warszawie duch pojednawczy. Biali od myśli o powstaniu przeszli do popierania polityki margrabiego, który działał energicznie i faktami dowodził, że nowy kurs polityczny nie jest bynajmniej oszustwem. Pomimo to garść rewolucjonistów z Chmieleńskim na czele powróciła do planu zgładzenia margrabiego. Dnia 7 sierpnia 1862 r. litograf, Aleksander Ryll, strzelił dwukrotnie do Wielopolskiego, gdy ten wchodził do gmachu komisji skarbu. Strzały chybiły, a Rylla ujęto. Zamach powtórzony został 15 sierpnia. Tym razem Jan Rzońca, równie, jak Ryll pracujący w zakładzie litograficznym, gdy margrabia przejeżdżał przez Aleje Ujazdowskie, wskoczył na stopnie powozu i z zatrutym sztyletem rzucił się na Wielopolskiego. Ale ten uchylił się od ciosu i, szybko wydobywszy rewolwer, zmierzył w pierś napastnika. Rzońca rzucił się do ucieczki, ujęto go jednak i osadzono w cytadeli.

Te zamachy wstrząsnęły znowu opinią i przechyliły jej szalę na korzyść Wielopolskiego. W dziejach walki margrabiego z czerwonymi rozpoczął się punkt zwrotny. Znienawidzony człowiek urósł w oczach kraju, natomiast jego nieubłagani wrogowie coraz silniej byli potępiani. Nadto garstka rewolucjonistów, gotowych walczyć terorem, inną jeszcze poniosła klęskę. Najgorętsi rewolucjoniści zeszli z widowni: Chmieleński, zagrożony aresztowaniem, uciekł z Warszawy, a główna sprężyna działań rewolucyjnych, Jarosław Dąbrowski, dostał się do więzienia. W Ko-

mitecie Centralnym wzięła górę idea Gillera, który dążył do wywołania walki zbrojnej, ale był zwolennikiem działań ostrożnych, wikłających powoli do spisku wszystkie warstwy społeczeństwa. Napięcie rewolucyjne w obozie czerwonym traciło na swej sile.

W takich warunkach margrabia mógł liczyć na powodzenie, tembardziej, że w. książę czynił ze swej strony wszystko, by zdobyć zaufanie społeczeństwa i wybitniejszych jego przedstawicieli pozyskać dla rządu. Margrabia brał górę. W jego rękach znajdowały się środki, które mogły mu zapewnić ostateczny tryumf. Ale Wielopolski nietylko nie potrafił zużytkować sprzyjających mu okoliczności, lecz sam znowu podkopał zdobytą z wielkim trudem pozycję.

Sprawa, wytoczona Jaroszyńskiemu, dawała mu doskonałą sposobność do pozyskania przychylności kraju. Jaroszyński podczas śledztwa zachowywał się z godnością. Zeznania, które złożył, świadczyły, że jedynie głębokie przeświadczenie, iż przysłuży się krajowi, kierowało jego ręką, gdy lufę pistoletu skierował w pierś w. księcia. Opinia zgodnie potępiła w swoim czasie zamach, ale podczas procesu z tą samą jednomyślnością domagała się ułaskawienia nieszczęśliwej ofiary. Tymczasem sąd, jak było do przewidzenia, skazał Jaroszyńskiego na śmierć, a w. książę pod wpływem margrabiego zatwierdził straszny wyrok.

Surowość ta wzburzyła Warszawę.

Dnia 21 sierpnia, w dzień kaźni, olbrzymi tłum zebrał się na stokach cytadeli i z najwyższem przeżaniem przypatrywał się egzekucji. Gdy skazaniec, ubrany w białą śmiertelną koszulę zawisł na szubie-

nicy, lud z rozgłośnym jękiem rzucił się na kolana. Wkoło miejsca stracenia do późnej nocy rozlegały się płacze i przekleństwa, a krwawe widmo Jaroszyńskiego rzuciło ponury cień na dobre chęci w. księcia i na postępowanie wszechwładnego naczelnika rządu.

Warszawa spodziewała się, że przynajmniej Ryll i Rzońca unikną śmierci. Lecz mściwy margrabia nie tylko nie myślał o złagodzeniu wyroku, ale nadużywał swej władzy, by wyrok śmierci uzyskać. I celu dopiął. Dnia 26 sierpnia obie ofiary zawisły na szubienicy.

Trzy wyroki śmierci, wykonane publicznie, wywołały w całym kraju okropne oburzenie. Najchłodniejsi ludzie ze wstrętem zaczęli odzywać się o rządzie i jego krwawym naczelniku. Margrabia utracił przychylność, którą już zaczął sobie zdobywać. Okoliczność tę wyzyskali czerwoni. Uderzyła na alarm „Strażnica“, gwałtownie przemówił „Ruch“, podniosły się pełne oburzenia głosy w prasie zagranicznej, zarówno polskiej, jak cudzoziemskiej. Dnia 28 sierpnia w kościołach warszawskich odbyły się żałobne nabożeństwa za dusze straconych, a za przykładem Warszawy poszły miasta prowincjonalne. Niestety młodzieńcy urastali na bohaterów, a wkoło Wielopolskiego coraz większa czyniła się pustka...

Posępniał margrabia, lecz nie ustawał w pracy. Reorganizował administrację, reformował sądownictwo, dźwigał z gruzów dzieło oświaty narodowej. Przekształcał kraj, faktami starał się usprawiedliwić owocność swojej polityki. Nie umiał przecież zmienić systemu swojego postępowania. Dumny, hardy, pomiatał opinią i nieopatrznie wyzywał ją ciągle do

boju. Takim wyzwaniem było coraz bezwzględniejsze krępowanie prasy, mianowanie prezydentem Warszawy syna Zygmunta, śmieszny nakaz, aby urzędnicy państwowi ukazywali się na ulicach w cylindrach, wreszcie, działalność publicystyczna margrabiego w cieszącym się całkowitą swobodą organie urzędowym, „Dzienniku Powszechnym“. Nadto wszystkim, co zetknęli się z Wielopolskim, raziała jego niepomiaralna pycha, dochodząca do tego stopnia, że nawet gościom swoim, zapraszanim na przyjęcia w pałacu brühlowskim, dumny magnat nie podawał ręki. To też pustoszały salony naczelnika rządu cywilnego i coraz większa otaczała go pustka. A wszystkie jego błędy, nietakty, uchybienia, wyzyskiwali zwolennicy powstania. Była chwila, iż zdawało się, że czerwoni stracili swe wpływy: margrabia postępowaniem swoim znowu wyprowadził ich na widownię.

Szeregi działaczy tego obozu powiększały się niustannie. Przybyło do kraju grono młodzieży ze szkoły wojskowej w Cuneo i Genui, a wielką siłą w organizacji stał się Zygmunt Padlewski, profesor szkoły podchorążych w Genui, dawny oficer rosyjski, młody 28-letni marzyciel, łączący płomienny patryjotyzm z gorączką czynu, gaszoną nieraz przez powiewy refleksji. Pełen zapału i poświęcenia, wykształcony wojskowo, od razu zajął wybitne miejsce w sferach kierowniczych organizacji. Po aresztowaniu Dąbrowskiego urząd naczelników miasta piastowali Wasilewski, a następnie Rolski. Obaj nie mogli sprostać trudnemu zadaniu. Z czasem miejsce to zajął Padlewski, ale i on nie zdołał dorównać energii zamkniętego w cytadeli „Łokietka“. Z innych wybitniejszych postaci obozu czerwonego na pierwszy plan

wysunął się młodziutki Stefan Bobrowski, głowa otwarta i jasna, pracownik niestrudzony, charakter mocny, nieugięty. Zaznaczyli się w organizacji prawnik Oskar Awejde, Stanisław Krzemiński, Józef Narzymski, Adam Asnyk i wielu innych, ale w szeregu tych postaci nie było wodza, nie było głowy politycznej, ogarniającej całość olbrzymiego przedsięwzięcia. Zapaleńsze jednostki na wodza przyszłego powstania przeznaczały Mierosławskiego, którego imię rewolucyjne szeroko było znane w Europie. Ale stary rewolucjonista, trawiony niepomierną ambicją, a niezadowolony z Komitetu Centralnego, chciał być wszechwładnym w kraju dyktatorem, acz stale przebywał zagranicą. Nie mogąc liczyć na poddanie się Komitetu, postanowił własną utworzyć organizację. W tym celu przysłał do Warszawy Kurzyńę, który z resztek organizacji Chmielińskiego, utworzył Komitet Rewolucyjny. Rozpoczęły się wśród czerwonych niesnaski, kłótnie, podniosła głowę intryga. Pomimo to Komitet Centralny rozszerzał się, rósł w znaczenie i wpływy. Czując swe siły, zdecydował się nawet na krok ryzykowny. Dnia 1 września 1862 r. wydał szumną odezwę, w której ogłaszał się, jako „rzeczywisty, własny rząd krajowy“ i zapowiadał, że dopóty w charakterze rządu występować będzie, dopóki naród wolnymi głosami nowego nie postawi rządu. Odezwa nawoływała do jedności, do posłuszeństwa władzy, a wyrażała nadzieję, że zgodne działanie przyspieszy godzinę walki o wolność i niepodległość Polski. W innej odezwie Komitet nazwał Wielopolskiego katem i zdrajcą ojczyzny, wszystkie reformy — komedią, graną dla zamydlenia oczu Europie, bo reformy te nie są wpro-

wadzane na Litwie i Rusi, a stwarzają pozór, że naród polski wyrzeka się tych krajów.

Działalność Komitetu Centralnego wyrwała z uspie-
nia białych. Zrozumieli oni, że w kraju zanosi się na
burzę, że zająć mogą wielkie wypadki, na które nie-
podobna patrzeć obojętnem okiem. Zapowiedź po-
wstania przez tajny rząd przeraziła białych. Posta-
nowili więc rzucić swój wpływ na szale wydarzeń.
Chcąc zażegnać powstanie, zdecydowali się udzielić
poparcia rządowi, wszakże pod warunkiem przywró-
cenia konstytucji z r. 1815-go oraz przeprowadzenia
reform na Litwie i Rusi. Postanowiono porozumieć
się z Wielopolskim, ale margrabia nie chciał słyszeć
o żadnych warunkach.

— Waszego, ani niczyjego poparcia nie żądam,
ani potrzebuję — odpowiedział dumnie i dodał szy-
derczo:

— Dla Polaków można czasem coś dobrego zro-
bić, ale z Polakami nigdy.

Wielki dyplomata w stosunkach z rządem rosyj-
skim, nie miał wobec swoich nic z giętkości dyploma-
tycznej.

Biali, odepchnięci brutalnie przez Wielopolskiego,
nawiązali stosunki z wielkim księciem, a później
zwołali do Warszawy zjazd, który postanowił złożyć
Konstantemu adres z żądaniem przeprowadzenia re-
form na Litwie i Rusi oraz złączenia tych krajów
z Koroną. W. książę odmówił przyjęcia adresu tej
treści. Wtedy zebrana szlachta złożyła swoje życze-
nia w formie „mandatu“ na ręce Andrzeja Zamoj-
skiego. Środek ten nie osiągnął zamierzonego celu.
Pod wpływem Wielopolskiego w. książę zawezwał
do siebie pana Andrzeja i rozkazał mu jechać do Pe-

tersburga dla wytłumaczenia się przed carem. Nie było rady. Zamoyski, acz traktowany przez eskortującego go oficera z wielkimi względami, wyruszył do stolicy nad Newą. Tutaj, po rozmowie z carem, otrzymał rozkaz wyjazdu za granicę.

W ten sposób z widowni życia publicznego w Polsce zeszedł człowiek, który w ciągu ostatnich lat kilku był widowym sztandarem szlachty polskiej. Dobry obywatel, zasłużony działacz na polu pracy ekonomicznej i kulturalnej, nie miał zmysłu politycznego, nie był mężem stanu. Bez myśli przewodniej, bez własnego programu, bez woli silnej i zdecydowanej, poddawał się opinii otoczenia i płynął na jej falach bez względu na to, dokąd go niosły. Pozostawił po sobie pamięć człowieka nieskazitelnego, ale jako wódz szlachty, jako jej kierownik polityczny nie zaznaczył się ani jednym wybitniejszym czynem. Był przeciwstawieniem margrabiego. O ile Wielopolski nie liczył się z opinią, o tyle ulegał jej Zamoyski. Margrabia wierzył tylko w siebie, był samotnikiem. Popularny pan Andrzej miał za sobą całą armję, ale zamiast nią dowodzić, sam szedł za jej głosem. Pierwszy odpychał od siebie ludzi, drugi przyciągał ich ku sobie. Gdy jednak Zamoyski stanął na drodze Wielopolskiemu, margrabia usunął go, jak sprzęt zaważający.

A biali nie potrafili obronić swego przywódcy.

Kłęska Zamoyskiego była ich własną kłęską. Odepchnięci przez Wielopolskiego, odepchnięci przez w. księcia, zawiśli niejako w powietrzu. Mogąc zaważyć na przyszłości i losach kraju, mogąc w przełomowej chwili zdecydować o wyniku walki pomiędzy margrabią a czerwonymi, stali się niemym tej

walki świadkiem. W ten sposób zmałała ogromnie przestrzeń, dzieląca Wielopolskiego od jego wrogów nieprzejednanych i walka pomiędzy dwiema siłami w nową wkraczała fazę.

Klęska białych, a następnie ich bierność, podniosła znaczenie Komitetu Centralnego.

Widział to margrabia i przedsięwziął energiczne środki, by organizację rozbić. Rozpoczęły się na wielką skalę szpiegostwa i areszty, skutkiem których pękały poszczególne ogniwa organizacji Komitetu Centralnego. W odpowiedzi na to rewolucjoniści odpowiedzieli terorem. W Warszawie zabity został inspektor policji tajnej, Felkner, a wielu szpiegów, zarówno w stolicy, jak na prowincji, życiem przypłaciło swoje rzemiosło. Organizacja ponosiła straty, ale nie tylko nie uległa rozbiciu, lecz rozlewała się coraz szerzej i coraz energiczniejszą rozwijała działalność.

Wtedy nieubłagany naczelnik rządu cywilnego po raz drugi postanowił jednym śmiertelnym ciosem zmiażdżyć nienawistny mu obóz. Pierwotnie pragnął to uczynić za zgodą i przy pośrednictwie białych, tym razem zdecydował się oprzeć na sile obcej. A cios, który przygotowywał, istotnie był straszny. Oto jednej nocy zamierzył całą młodzież polską, podejrzaną o knowania powstańcze, porwać z domów rodzinnych i oddać w „sołdaty“...

Piekielny ten pomysł nie mógł być uczyniony na drodze legalnej, ale nieugięty margrabia nie przebieirał w środkach.

Po upadku powstania listopadowego pobór do wojska odbywał się w Królestwie na podstawie przepisów barbarzyńskich z roku 1816-go. Według tych

przepisów komisje rekruckie wybierały najodpowiedniejszych w ich opinii rekrutów ze sporządzonych spisów młodzieży, podlegającej służbie wojskowej, i w określonym terminie, trzymanym przed ogółem w tajemnicy, rozkazywały policji dostawiać wybraną młodzież do miejsc zbornych. Policja, zazwyczaj w nocy, wpadała do domów i nieszczęsną młodzież gwałtem przyprawiała do wskazanych punktów. W Królestwie już od lat sześciu nie było poboru. Straszne widmo branki, napełniające tysiące domów polskich przerażeniem, przestało zagrażać ludności.

W r. 1859 Aleksander zmienił system poboru. Zmiana polegała na tem, że nie komisje rekruckie, popełniające wielkie nadużycia, wybierały rekrutów z listy popisowych, lecz sami popisowi stawali do losowania. Margrabia postanowił zawiesić moc tego prawa i wrócić do przepisów z roku 1816 go, gdyż tylko w ten sposób mógł mieć pewność, że ofiarą branki padną jego wrogowie.

Przeciw temu projektowi podniosły się liczne głosy w otoczeniu w. księcia, który sam obawiał się skutków niebywałego zamachu. Sprawa oparła się o Petersburg, a Petersburg wziął stronę margrabiego. Wielopolski przystąpił do dzieła, a tak dalece pewien był powodzenia, że zamiaru swego nie trzymał w tajemnicy. W październiku 1862 r. urzędowy organ, „Dziennik Powszechny“ odsłonił karty, które margrabia postanowił wyrzucić w strasznej grze z czerwonymi.

I znowu w całym kraju podniósł się przeraźliwy krzyk oburzenia. Widocznem było dla wszystkich, że zamach margrabiego skazuje kwiat młodzieży polskiej na okropne losy służby wojskowej w głębi

Rosji, na Kaukazie, za Uralem, w pustyniach sybirskich, że wiedzie tę młodzież na zgubę i zatracenie. Nawet garstka ludzi, wspierająca Wielopolskiego, starała się go przekonać, że ohydny gwałt nie da pożądanых rezultatów, że raczej przyspieszy wybuch zbrojny. Wielopolski nie dał się zbić z tropu. Na wszelkie przedstawienia odpowiadał zimno:

— Wrzód nabrał i rozciąć go należy.

Kiedy mu mówiono, że wywoła krokiem swoim powstanie, zapewniał z zimną krwią, że obecnie w ciągu tygodnia da sobie radę z ruchawką, że jak zające po śniegu wytropi powstańców. Nie zważał na perswazje, nie uląkł się krzyków całego kraju, nie przestraszył się gromów potępienia, które rozległy się na szpaltach pism zagranicznych. Pewny swego, nie zachwiał się na chwilę, choć chwiał się w książkę, choć na wieść o brance przyjechał do Warszawy z zagranicy poseł rosyjski, hr. Orłow i przedstawiał w księciu, że branka wywołać musi zbrojny opór, a opór ten spowoduje Napoleona do wydobycia oręża w obronie Polski. Przeciw brance, jakiej domagał się Wielopolski, wypowiadali się dygnitarze rosyjscy i naczelny wódz armji rosyjskiej w Polsce, generał Ramsay. Ale margrabia, mając za sobą oparcie Petersburga, trwał w niezłomnym uporze. Zawisł on swą złowrogą, potężną wolą nad przyszłością kraju i dopiął swego: termin branki, trzymany w tajemnicy, wyznaczony został na noc z 14-go na 15 stycznia 1863 roku.

Kości były rzucone.

IX.

WYBUCH POWSTANIA.

Wielopolski był pewien, że organizacja spiskowa podejmie ciśniętą jej rękawicę, ale na chwilę nie wątpił, że z tej ostatniej walki na śmierć i życie wyjdzie zwycięsko. Zamach margrabiego istotnie strasznym był dla czerwonych ciosem. Komitet Centralny, mający w swych rękach wszystkie nici organizacji, od dawna zapowiadał powstanie, ale pracę, przygotowującą walkę zbrojną, zaledwie był rozpoczął. Członkowie Komitetu poczuli się do obowiązku uczynić ze swej strony wszystko, by przeszkodzić brance, lecz znając swe środki, rozumieli, że na gwałt margrabiego niepodobna w istniejących okolicznościach odpowiadać powstaniem. Tymczasem młodzież, zagrożona branką, domagała się od Komitetu kroków stanowczych, zapowiadając, że raczej zginie, niż pozwoli wcielić się do wojska rosyjskiego. Uniesienie zapanowało w niższych warstwach organizacji, płomień ogarniał głowy, gorączkowe zniecierpliwienie owładało umysłami.

Sytuacja stawała się tragiczną.

Komitet, widząc, co się dzieje, starał się opanować wzburzenie i odwlec chwilę wybuchu. Jedno-

cznie gorączkowe czynił przygotowania. Całą gotówkę, jaką rozporządzał, przeznaczył na zakup broni za granicą i przygotowywał plan powstania, którego termin wyznaczył na wiosnę. Jarosław Dąbrowski, acz strzeżony w cytadeli, zdołał nadesłać Komitetowi szczegółowo opracowany projekt, według którego powstanie zacząć się miało jednocześnie w całym zaborze rosyjskim. Plan Dąbrowskiego został przyjęty — i Komitet przystąpił do organizacji.

Ustanowiono pięć okręgów wojennych, które oprócz Królestwa obejmowały Ruś i Litwę. Na prawym brzegu Wisły dowództwo powierzono profesorowi Szkoły wojskowej w Cuneo, Marjanowi Langiewiczowi, na lewym — pułkownikowi Lewandowskiemu, uczestnikowi powstania węgierskiego w roku 1848-ym. W województwach Płockiem i Augustowskiem dowodzić miał pułkownik Józef Czapski, na Litwie Zygmunt Sierakowski, na Rusi — pułkownik Różycki oraz pułkownik Zygmunt Miłkowski.

Ci upatrzeni wodzowie wezwani zostali do Warszawy dla obmyślenia szczegółów walki oraz dla narad nad wyszukaniem wojskowych, którymby można było powierzyć dowództwo poszczególnych oddziałów.

Liczono, że do wiosny organizacja uczyni znaczne postępy i zbrojna siła polska przedstawiać się będzie poważnie.

Tymczasem termin wybuchu wyznaczyć miał margrabia, a nieprzewidziane okoliczności nie pozwoliły na ukończenie przygotowań. Na Komitet waliła się klęska za klęską. Agenci, wysłani do Paryża po zakup broni, zostali zaaresztowani, pieniądze, przeznaczone na broń, dostały się w ręce policji francuskiej,

w Warszawie wykryto przy ulicy Widok tajną drukarnię Komitetu i uwięziono Bronisława Szwarcego, jednego z energiczniejszych w Komitecie członków. Areszty na prowincji uczyniły w szeregach organizacji dotkliwie luki, a na domiar wszystkich nieszczęść, zapaleńsze jednostki, nie znając istotnego położenia, coraz energiczniej parły do powstania. Oczekiwana branka, grożąca ruiną planowi powstańczemu, wymagała niezwłocznie środków zaradczych. Komitet na wniosek Gillera rzucił hasło, by popisowi przesiedlali się z miejsc stałego zamieszkania do innych okolic i w ukryciu przeczekali niezbędny czas dla ukończenia przygotowań wojennych. Rozpoczęła się tak zw. dyslokacja młodzieży, ale środek ten nie wszystkim trafił do przekonania. Przeciw zwłoce agitowali zwolennicy Komitetu Rewolucyjnego, a nadto własne szeregi Komitetu Centralnego coraz silniejsze ogarniało wrzenie. Komisarz województwa Lubelskiego, młodzieutki Leon Frankowski, patryjota gorący, niecierpliwy, zwołał zjazd komisarzy wojewódzkich, którzy po odbytych naradach zażądali od Komitetu, aby branka stała się hasłem do powstania całego kraju. Komisarze zapewniali, że prowincja gotowa jest powstać i że bez względu na to, co Komitet postanowi, rewolucja współcześnie z branką wybuchnie. To oświadczenie poparła ze swej strony organizacja miejska w Warszawie. Komitet był w rozpacz. Nadaremnie opierał się tym żądaniom, nadaremnie przedstawiał niepodobieństwo rozpoczynania walki. Wieść, że Wielopolski postanowił przyspieszyć pobór w Warszawie, wzburzyła całą organizację i wzmogła w niej nastrój bojowy do tego stopnia, że Komitet Centralny uczuł się bezsilnym. Widząc, że nie zdoła prze-

szkodzić wybuchowi, uległ żądaniom i zdecydował się rzucić hasło do boju.

Już pod wpływem pąlegań, by wybuch niezwłocznie rozpocząć, z Komitetu ustąpili Giller i Marczewski, skutkiem nieporozumień z kolegami usunął się na pewien czas Daniłowski, a odtąd zmiany w Komitecie stawały się zjawiskiem coraz częstszym. Jedni z jego członków opuszczali szeregi, by po pewnym czasie powrócić, tymczasem wchodzili ludzie nowi, nieobeznani z pracami organizacji, a skutkiem tego rozprzęgała się władza naczelna i w coraz trudniejszym stawała położeniu. W chwili decyzji najdzielniejsi dwaj członkowie organizacji, Padlewski i Bobrowski, doprowadzeni byli do rozpacz. Pierwszy myślał o tem, by utworzyć „armję zrozpaczonych“, stanąć na jej czele i zginąć w nierównej z Moskałami walce, drugi rzucił projekt, by Komitet Centralny oddał się w ręce władzy rosyjskiej i poniósł raczej śmierć z rąk wroga, ale nie rozpoczynał walki, która, jak był pewien, nie miała najmniejszych szans powodzenia i skończyć się musiała najstraszliwszą klęską. Projekt, nie mogący zapobiedz już wybuchowi, stanowczo odrzucony został, ale wymownie świadczył, jak strasznie upadli na duchu najdzielniejsi wodzowie powstania.

Bez wiary w sprawę, z sercami, przepętlionemi rozpaczą, zdecydowali się na krok stanowczy.

Młodzieży warszawskiej dano rozkaz opuszczenia miasta i gromadzenia się w Puszczy Kampinoskiej oraz w lasach, otaczających Serock i Modlin. Tam popisowi mieli tworzyć oddziały i oczekiwać na broń, którą Komitet nie rozporządzał oraz na dowódców, których jeszcze nie było. Rozkaz został usłuchany,

a że władze rosyjskie zachowywały się beczynn timer, więc młodzież bez przeszkody wymykała się z miasta i maszerowała ku wskazanym punktom.

Zbliżała się chwila krytyczna, chwila, którą przewidywał Wielopolski.

Śród wzburzenia, ogarniającego kraj cały, w nocy z 15-go na 16-ty stycznia policja w otoczeniu wojska dokonała w Warszawie poboru. Popisowych, co zostali w mieście, przemocą porywano z domów i pod silną eskortą odprowadzano do cytadeli. Przeciw zaś tym, co ukryli się w lasach, wyprawiono silny oddział wojska pod dowództwem podpułkownika Bremsena, który miał zbiegów otoczyć i przyprowadzić do miasta.

W Warszawie ogółem wzięto 1.657 ludzi, z których z górą 1.000, jako aresztowanych bez powodu musiano w następnych dniach uwolnić. Tak więc półów nie dał oczekiwanych rezultatów. Ale sam fakt, że branka przeszła spokojnie, że Komitet Centralny, którego siły przesadzano, dopuścił do porwania młodzieży, wywołał oburzenie i wreszcie skłonił Komitet, że termin wybuchu wyznaczył na noc z 22-go na 23-go stycznia. W ten sposób chciano uprzędzić pobór w miastach na prowincji, mający się odbyć 25-go stycznia. Wszystkim organizacjom prowincjonalnym przesłano rozkaz uzbrojenia spiskowych w strzelby myśliwskie, w kosy i uderzenia na najbliższe załogi rosyjskie. Dowództwo naczelne zdecydowano się od dać Mierosławskiemu, który przebywał w Paryżu, a do którego wysłani zostali Władysław Janowski i Stanisław Krzemiński. Wreszcie Komitet postanowił ogłosić się Tymczasowym Rządem Narodowym i przygotował manifest, zzywający naród Polski, Li-

twy i Rusi do walki z rządem najezdniczym. Współcześnie ogłosił dwa dekrety, rozwiązujące najważniejsze ówczesne zagadnienia społeczne: kwestję włościańską. Jeden z tych dekretów zapowiadał uwłaszczenie włościan w dobrach prywatnych, rządowych, donacyjnych i kościelnych, a wykonanie reformy powierzał naczelnikom wojskowym. Drugi — nadawał wszystkim obywatelom, utrzymującym się z pracy rąk własnych, a stającym do szeregów powstańczych, dział gruntu z dóbr narodowych, który wynosić miał najmniej trzy morgi na osobę.

Tymczasem margrabia tryumfował. Spokój podczas branki w Warszawie utwierdzał go w przekonaniu, że do poważniejszych rozruchów nie dojdzie. Był pewien, że młodzież, błakającą się po lasach, wojsko z łatwością otoczy i przyprowadzi do Warszawy. Twierdził, że „wrzód pękł“ i był najlepszej myśli. W dumnym magnacie wzięła nawet górę przyrodzona mściwość. Pomieścił on w „Dzienniku Powszechnym“ artykuł i naigrawał się z bólu społeczeństwa. Utrzymawał, że młodzież, wzięta do wojska, okazywała radość z powodu, iż pójdzie kształcić się w szkole porządku, jaką jest służba wojskowa. To cyniczne, niegodne kłamstwo oburzyło wszystkich. Nigdy Wielopolski nie był bardziej znieawidzony, niż po ogłoszeniu tego artykułu, nigdy jeszcze nie ściągnął na swoją głowę więcej kłatw i złorzeczeń.

Niedługo przecież miał tryumfować margrabia.

Zbliżała się pamiętna w dziejach polskich noc styczniowa...

Ówczesni członkowie Komitetu Centralnego, Awejde, Józef Janowski, Maykowski i ksiądz Mikoszewski wyruszyli do Kutna, skąd zamierzali udać się do

Płocka, na który miało uderzyć jednocześnie kilka oddziałów powstańczych. W Płocku, po wypędzeniu Moskali, mieli oni ujawnić się, jako Rząd Narodowy. Padlewski urząd naczelnika miasta ustąpił Bobrowskiemu, sam zaś wyjechał do Puszczy Kampińskiej, by objąć dowództwo nad zgromadzoną w lasach młodzieżą. W Warszawie z ramienia rządu, jako komisja wykonawcza, mająca do czasu ujawnienia się rządu sprawować władzę naczelną, pozostali Bobrowski, Daniłowski i Marczewski.

Wódz naczelny wojsk rosyjskich w Królestwie, generał Ramsay miał w owej chwili do swego rozporządzenia 100.000 wojska, które posiadało doskonałą broń gwintowaną, było należycie wyćwiczone, a miało w swych rękach wszystkie twierdze oraz wszystkie ważniejsze punkty strategiczne i komunikacyjne.

Przeciw tej sile Komitet Centralny, według różnych obliczeń, mógł wyprowadzić w pole 25.000 ludzi (w gruncie rzeczy trzecia część tej liczby stanęła w pierwszej chwili na wezwanie) i to ludzi bezbronych, niewdrożonych do służby wojskowej, nieuzbrojonych, nie mających nawet strzelb myśliwskich, bo te z powodu stanu wojennego oddawna konfiskowano w całym kraju. Tak więc bez wojska, bez broni, bez pieniędzy rozpoczął Komitet walkę z najpotężniejszym podówczas państwem militarnym w Europie. Garstka bezbronnej młodzieży stawała do boju z uzbrojonym od stóp do głów kolosem północy.

Nic dziwnego, że Wielopolski tryumfował i wrogom swoim niechybną przepowiadał klęskę.

Rzeczywistość boleśnie zadrwiła z tego tryumfu: wbrew wszelkim przewidywaniom i wbrew wszelkiej rachubie, już nietylko Wielopolskiego, ale samych



LUDWIK MIEROSŁAWSKI

członków Komitetu, krwawa łuna powstania nadszpiewanie długo miała świecić nad nieszczęsnym krajem. Było to zjawisko tem godniejsze uwagi, że pierwsze kroki, tak ważne dla podniesienia ducha i przyszości walki, fatalnie skończyły się dla powstańców.

Rozkazy Komitetu nie dotarły na termin do wszystkich organizacji prowincjonalnych, a w niektórych ośrodkach wzbudziły najwyższe zdumienie. Więc i tam, gdzie rozkaz otrzymano, nie wszędzie, wobec braku dowódców i broni, wyruszono w pole.

Pierwsze kroki wojsk rosyjskich zawiodły wszelkie oczekiwania. Podpułkownik Bremsen, mający otoczyć w lasach młodzież, co wymaszerowała z Warszawy, nie spełnił swego zadania. Padlewski, podzieliwszy młodzież na oddziały, uzbrojone w kosy, piki i drągi, przeszedł bez przeszkody Wisłę pod Secyminem i, wymknąwszy się Bremsenowi, pomaszerował w kierunku Płocka, w którym miał się ujawnić Rząd Narodowy.

Nadeszła wreszcie pamiętna noc z 22 na 23 stycznia.

Uwaga wyższych sfer organizacji skierowana była na Płock.

Ale Padlewski, umiejący w najtrudniejszych warunkach ożywić swych podkomendnych i podnieść w nich ducha, nie zdążył na czas zjawić się pod Płockiem, a inne oddziały również uczyniły zawód. Konrad Tomaszewski, znany pod pseudonimem Bończy, mający dowodzić atakiem na miasto, stanął we wsi Leszczynie pod Płockiem. Siły, które, według zapewnień różnych członków organizacji, powinny się skupić, miały wynosić blisko 14.000 ludzi, co nawet przy lichem uzbrojeniu wystarczało najzupełniej do wyparcia 500 Moskali, stojących załogą w Płocku.

Ale zamiast 14.000 stawiło się zaledwie 1.000 spiskowych. Mimo to Bończa postanowił rozkaz wykonać. Hasłem do ataku miało być uderzenie we dzwony w starym tumie. Na ten sygnał członkowie organizacji miejscowej mieli wystąpić zbrojnie na ulice i zawezwać ludność do broni, a otaczające miasto oddziały dokonać wspólnymi siłami napadu.

Stosownie do tego planu, powstańcy, zbliżywszy się w nocy do miasta, czekali w najwyższym napięciu na umówione hasło. W gęstym mroku, śród ulewnego deszczu nasłuchiwała młodzież sygnału. Lecz w mieście trwała posępna, przerażająca cisza. Dopiero o godzinie 1-ej w nocy odezwał się jękliwy głos dzwonu. Bończa ruszył konno do miasta i z dobytym pałaszem wpadł na plac przed odwachem, gdzie połączyli się z nim członkowie organizacji miejscowej. Było ich niewielu, a co gorsza! okazało się, że Moskale przygotowani byli na napad. Bezbronną młodzież powitał przed odwachem grad kul, jednocześnie zaś chmurne niebo przeszły ogniste wstęgi zapalonych rakiet, zapomocą których porozumiewała się ze sobą załoga rosyjska. Powstańcy, widząc krwawe smugi, zataczające półkoliste kręgi w ciemnym przestworzu, byli pewni, że Moskale z dział biją. Więc z wielką niepewnością wkraczali do miasta. Przywitani ogniem piechoty, nie wytrzymali ognia nieprzyjacielskiego. Popłoch wkradł się w szeregi i młodzież pośpiesznie zaczęła się cofać. Bończa próbował powstrzymać pierzchających, wszakże wysiłki jego były daremne. Miasto, po wycofaniu się powstańców, stało się pastwą tryumfujących Moskali, którzy rzucili się na bezbronną ludność i najokropniejszych dopuścili się gwałtów.

Tak więc zamiar zdobycia Płocka spełził na niczem.

Nie udał się również przedsięwzięty tejże nocy napad na Płońsk.

W województwach mazowieckiem, kaliskiem, krakowskiem, bądź w oznaczonym terminie do starć nie doszło, bądź napady na placówki rosyjskie zakończyły się odparciem powstańców. W województwie podlaskiem, dzięki energii Walentego Lewandowskiego, powstańcy wykonali z powodzeniem napady na Sokołów, Łomazy, Łosice i Kodeń, wtargnęli bohatercko pod dowództwem głośnego później partyzanta, księdza Stanisława Brzózki do Łukowa, wygnali stamtąd załogę rosyjską i dopiero po przybyciu Moskałom znacznych posiłków cofnęli się z miasta, uwożąc ze sobą rannych i zdobyte karabiny. Sam Lewandowski uderzył na Stok Lacki i po żwawej utarczce z piechotą rosyjską opanował magazynu nieprzyjacielski, z którego szczęśliwie uwiózł broń i amunicję.

W województwie lubelskiem zaatakowany został Lubartów. Dzięki niespodziewanemu napadowi, powstańcy rzucili popłoch na załogę rosyjską i zdobyli kilka armat. Ale po pewnym czasie wyparci zostali przez wroga. Uchodząc, pozostawili zdobyte armaty i kilku rannych. Doktor Neczaj z Dubienki na czele 400 powstańców zajął Hrubieszów i, rozbiorwszy znajdujących się tam inwalidów, zabrał kasę powiatową. Leon Frankowski na czele „puławiaków“ wkroczył do Kazimierza nad Wisłą i rozpoczął organizację oddziału, który w ciągu dni kilku urósł do 700 ludzi.

W Sandomierskiem dowództwo spoczywało w rękach Marjana Langiewicza, profesora szkoły w Cuneo, oficera, budzącego wielkie nadzieje. Ale mimo dzielności dowódcy, mimo śmiałości jego podkomendnych, i w tem województwie powstańcy nie mogli pochwalić się poważniejszymi rezultatami. Po napa-
dach na Jedlnię, Bodzentyn i Szydłowiec oddziały powstańcze ruszyły do Wąchocka, gdzie Langiewicz wyznaczył im punkt zborny.

Tak więc noc z 22 na 23 stycznia zakończyła się niepowodzeniem. Nie opanowany został Płock, a inne miejscowości, do których wtargnęły oddziały powstańcze, oddane zostały Moskałom. Poniszczone komunikacje telegraficzne, trochę zdobytej broni i amunicji oto były tryumfy, jakimi w pierwszym dniu walki mogło poszczycić się powstanie.

A jednak, pomimo nadzwyczajnie nikłych rezultatów pamiętnej nocy styczniowej, wiadomość o jednoczesnych napadach na załogi rosyjskie, rozrzucone po całym kraju, do żywego poruszyła ogół. Cały naród drgnął, jakby zbudzony uderzeniem pioruna. Od dłuższego czasu mówiono o powstaniu, oczekiwano wybuchu, gdy jednakże społeczeństwo stanęło wobec faktów dokonanych, wrażenie było niesłychane. Manifest Komitetu, jako Rządu Narodowego, jego dekrety, rozwiązujące kwestję włościańską w duchu demokratycznym, szczęk broni i huk wystrzałów, tyśiączne, często nieprawdziwe wieści o stoczonych walkach w najwyższym stopniu podnieciły ludność. Najróżnorodniejsze uczucia zatargały sercami. Biali, przestraszeni wypadkami, które rozegrały się poza ich wpływem, nagwałt zwołali zjazd do Warszawy i rozpoczęli burzliwe obrady. Ale stojąc wobec faktu

dokonanego, który potępiali, nie umieli zdobyć się na stanowczą decyzję. Niepewni jutra, nie umiejący ocenić wydarzenia dziejowego, postanowili zachowywać się biernie, czekać na wypadki, a narazie uspokajając umysły i przeciwdziałać powstaniu.

W kołach rządowych panowała niepewność. Wprawdzie Wielopolski powtarzał uparcie, że „wrzód pękł”, że za kilka tygodni skończy się ruchawka, był dobrej myśli i uspokajał w. księcia. Ale w sferach wojskowych nie wiedziano, co czynić. Głównodowodzący armją rosyjską w Królestwie, generał Ramsay całkiem stracił głowę. Przesadzał niebezpieczeństwem i siłą powstania, obawiał się, że pomniejsze załogi zagrożone są przez powstańców, że rozpierchnione wojska rosyjskie ponieść mogą klęskę. Więc postanowił skoncentrować znaczniejsze siły w wybranych punktach strategicznych, ściągnąć do nich załogi, pozostawione w mniejszych miastach, i dopiero po uformowaniu silniejszych kolumn rozpocząć z powstańcami decydującą walkę. Skutkiem tych rozkazów z nad granicy galicyjskiej cofnęła się straż pograniczna, z pomniejszych miast i miasteczek z pośpiechem uchodziły placówki rosyjskie — i w całym Królestwie zapanał olbrzymi ruch. Wszystkimi traktami ciągnęły wojska różnych rodzajów broni, a ludność, widząc to nadzwyczajne poruszenie, często wyglądające na ucieczkę w popłochu, dochodziła do przekonania, że powstańcy wielkimi muszą rozporządzać siłami, skoro Moskale z takim pośpiechem opuszczają swoje kwatery.

Gorętsza młodzież rwała się do broni, łączyła się w gromadki i, chwyciwszy strzelby, kosy, nieraz tylko drągi, okute żelazem, maszerowała do najbliższych

partji. Pustoszały biura, warsztaty, ławy szkolne, rozpoczynał się ruch w dworach wiejskich. Młodsze pokolenie szlachty dosiadało koni i ruszało w lasy. Ale masy włościańskie, mimo dekretów o uwłaszczeniu, z podełba przyglądały się oddziałom powstańczym. Hasła wolności nie rozgrzały serca ludu. Wiekowa niewola chłopów mściła się na powstaniu: cały ciężar walki spadał niemal wyłącznie na garść szalonej młodzieży, która wbrew wszystkiemu i wszystkim szlachetną ofiarą krwi własnej zapisywała nową w dziejach Polski kartę... Potępiona przez białych, skazana na zagładę przez Wielopolskiego, narażona w każdej chwili na śmierć od kul i bagnetów moskiewskich, uzbrojona tylko w poczucie, że spełnia swój obowiązek patryjotyczny, przetrwała pierwsze klęski i samem swem trwaniem oddziałać miała niebawem i pociągnąć ku sobie przeciwne walce z Rosją koła.

Koncentracja wojsk rosyjskich oddawała pod chwilową władzę powstańców wiele miast i miasteczek, a wycofanie z nad granicy straży rosyjskich ułatwiało dowóz broni z Galicji i przechodzenie młodzieży galicyjskiej do tworzących się oddziałów powstańczych.

Powstanie rosło w siły...

X.

DWIE DYKTATURY.

Tworzyły się coraz większe partje, a niektórzy dowódcy śmiało rozpoczęli działania zaczepne. Apolinary Kurowski, stojący obozem w Ojcowie, przyciągnął do swego oddziału sporo ochotników z Zagłębia, tudzież młodzieży z uniwersytetu Jagiellońskiego i zorganizował partję, liczącą blisko 2.000 ludzi. Oczyszcivszy granicę galicyjską od placówek straży pogranicznej, zajął Olkusz, ogłosił w nim władzę Rządu Narodowego, rozkazał opublikować dekrety o uwłaszczeniu włościan, a 7 lutego ruszył na Sosnowiec, wyparł z niego załogę rosyjską, zabrał z komory 90.000 rubli, zdobył kilkadziesiąt koni oraz pewną ilość karabinów i amunicji. W oddziale Kurowskiego znajdował się zorganizowany przez Francuza, Franciszka Rochebruna, bataljon żuawów śmierci, złożony głównie z młodzieży uniwersytetu krakowskiego, nieźle uzbrojony, a ożywiony zapałem i męstwem swojego dowódcy. Niestety, Kurowski nie posiadał doświadczenia wojskowego i nie umiał wyzyskać pierwszych powodzeń. Zagrożony otoczeniem przez silne kolumny rosyjskie, wyruszył z Ojcowa i postanowił połączyć się z Langiewiczem. W drodze pokusił się

o zdobycie Miechowa. Niestety, źle obmyślane przedsięwzięcie zakończyło się straszliwą klęską. Powstańcy stracili kilkuset zabitych i rannych, a cały oddział, pod wpływem katastrofy, podupadł na duchu i rozpierchnął się na wszystkie strony.

Na Podlasiu odznaczył się śmiały partyzant, Roman Rogiński, który, ucierając się mężnie z generałem Nostitzem, uprowadził swój oddział na Litwę i stanął w Siemiatyczach, dokąd w tym samym czasie ściągnęli swoje oddziały Lewandowski, Zameczek i inni. Tu, pod naczelną komendą Lewandowskiego, rozegrała się krwawa bitwa, w której szczególnie odznaczyli się kosynierzy. Mimo męstwa połączonych oddziałów polskich wojska rosyjskie wzięły górę i powstańcy z wielkimi stratami zmuszeni byli do odwrotu. Połączeni dowódcy rozdzielili swe siły i znowu rozpoczęli działania na własną rękę. Lewandowski z garstką niedobitków pociągnął na Podlasie, a Rogiński ruszył do puszczy Białowieskiej, gdzie oddział powstańczy formował głośny później w Europie generał komuny paryskiej, Walery Wróblewski.

W Sandomierskiem walczył szczęśliwie Czachowski i coraz większy rozgłos zdobywał sprawnymi obrotami Marjan Langiewicz. W Kaliskiem odznaczył się Mielecki, w Mazowieckiem — Jeziorański, na Podlasiu, prócz Lewandowskiego, zasłynął Marcin Borelowski, występujący pod pseudonimem Lelewela, oraz żywo uwijający się ksiądz Brzózka. Natomiast w Lubelskiem i Augustowskiem powstańcy ponieśli ciężkie klęski, a nie mogli pochwalić się żadnym powodzeniem.

Niewyćwiczone oddziały, nie mające najczęściej ni broni, ni amunicji, licho odziane, głodne, doznaw-

szy porażki, demoralizowały się szybko i bądź przestawały istnieć, bądź rozbite i zdziesiątkowane, w innych partjach szukały schronienia. A jednak, mimo wszystkie klęski, mimo wszystkie braki, młodzież znosiła głód i zimno, przyzwyczajała się do niebezpieczeństw, do trudów, do niewygód życia obozowego— i z nadzwyczajnem poświęceniem podtrzymywała powstanie. Więc walka chaotyczna, prowadzona bez planu, pozbawiona komendy naczelnej, na jedną chwilę nie ustawała. W opuszczonych przez władze rosyjskie miastach i miasteczkach coraz częściej zjawiały się oddziały powstańcze, proklamowały Rząd Narodowy, ogłaszały jego dekrety o uwłaszczeniu włościan, poczem nikły w borach, by za chwilę wyłonić się gdzieindziej. Coraz więcej tworzyło się oddziałów i o uszy mieszkańców coraz częściej obijał się zgiełk walki.

Rząd Narodowy, pod którego imieniem działano, coraz większą powagę zdobywał w kraju. Tymczasem i Rządu Narodowego w gruncie rzeczy nie było. W Warszawie działała tylko z ramienia Komitetu komisja wykonawcza, a członkowie rządu po nieudanym napadzie na Płock tułali się po kraju. Z Kutna, gdzie było bardzo niebezpiecznie, umknął najpierw ksiądz Mikoszewski, a trzech pozostali: Awejde, Janowski i Maykowski, postanowili udać się do obozu Langiewiczza, którego nazwisko coraz głośniejszem stawało się w kraju. Ale po różnych przygodach, uniknąwszy szczęśliwie niebezpieczeństw, wrócili do Warszawy. Zjawił się tu i ksiądz Mikoszewski, lecz z powodu oburzenia, które obudził ucieczką swą z Kutna, musiał usunąć się od udziału w rządach.

Oczekiwano przybycia Mierosławskiego, któremu ofiarowano dyktaturę. Ale Janowski i Krzemiński, zagrożeni w drodze rewizją, zniszczyli swoje dokumenty i nie mogli dopełnić powierzonej im misji. Więc by przyśpieszyć przyjazd dyktatora, wysłano do Paryża Daniłowskiego.

Stary rewolucjonista, w którym, jak w wulkanie, kłębiły się namiętności, krzykliwy, niepohamowany w języku, zarozumiały bez granic, gwałtowny i łatwo unoszący się gniewem, skwapliwie przyjął dyktaturę i obiecał niezwłocznie wyruszyć do kraju. Żądał tylko, aby w punkcie granicznym, który miał przekroczyć, stawił się oddział, złożony z 200 ludzi, a na ogłoszenie dyktatury pozwalał dopiero wtedy, gdy, uwolniwszy od Moskali znaczną część kraju, będzie mógł godnie władzę dyktatorską piastować. Zwolennicy Mierosławskiego spodziewali się, że ukazanie się jego na placu boju podniesie ducha powstania, wierzyli, że dyktator żelazną ręką pochwyci ster władzy, uorganizuje siły zbrojne i poprowadzi Polskę do zwycięstw.

Mierosławski po licznych przeszkodach przekroczył 17. lutego granicę i stanął w Krzywosądzu na Kujawach. Wraz z „czerwonym generałem“ przybyło kilku weteranów rewolucji: oficer z roku 1831-go, major Celiński, major Buski, kapitan Krosnowski, obaj garibaldeczycy, garstka młodzieży ze szkoły geneueńskiej oraz Jan Kurzyna, przyjaciel i sekretarz generała, twórca Komitetu Rewolucyjnego, działacz dobrze znany w kołach młodzieży z czasów swojego pobytu w Akademii medycznej. Ale zamiast oddziału z dwustu żołnierzy, Mierosławski zastał kilkudziesięciu źle uzbrojonych akademików. Cały oddział

wraz z przybyłymi składał się z 96 ludzi, posiada dwadzieścia kilka strzelb myśliwskich, jeden sztucer i 52 kosy.

Z taką siłą nie można było myśleć o rozpoczęciu działań poważniejszych. W okolicy znajdował się oddział Mieleckiego, złożony z 400 ludzi. Daniłowski, który wraz z Janowskim towarzyszył Mierosławskiemu z ramienia rządu, wysłał Mieleckiemu rozkaz, aby śpieszył do Krzywosądza. Jakoż nad ranem dnia 19 lutego przybyła konna awangarda Mieleckiego, złożona z 30 jeźdźców.

Zwycięzca z pod Wrześni i Miłostawia, uważany przez rządy europejskie za jednego z najstraszniejszych tygrysów rewolucji, samą swą obecnością natchnął garstkę podkomendnych duchem wojennym i odrazu potrafił nadać im postawę żołnierską. Lecz gwiazda czerwonego generała najwidoczniej bladła. Zaufany w tę gwiazdę, nie przedsięwziął należnych środków ostrożności. Nie ruszał się z miejsca i, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, spokojnie oczekiwał przybycia Mieleckiego. Tymczasem 19 lutego rano wpadł do obozu jeździec na spienionym koniu i zaalarmował oddział okrzykiem:

— Moskale zbliżają się do obozu!..

Okrzyk ten stropił rekrutów, ale energiczny głos Mierosławskiego w samym zarodku zdusił budzący się popłoch. Na komendę generała wszyscy porwali się do broni i stanęli w ordynku. Czas był najwyższy. Strzały rozstawionych pikiet dawały znać, że nieprzyjaciel nadciąga.

Jakoż istotnie tak było.

Ku laskowi krzywosądzkiemu zbliżał się silny oddział rosyjski pod dowództwem pułkownika Schilde-

ra-Schuldnera. Za łańcuchem tyraljerów ciągnęła w szyku bojowym kolumna piechoty, a po obu jej skrzydłach posuwała się jazda. 700 regularnych żołnierzy szło przeciw garstce lichu uzbrojonych powstańców.

Mierosławski, będąc przekonanym, że przez parę godzin wytrzyma natarcie i doczeka się przybycia Mieleckiego, którego awangarda znajdowała się już w obozie, postanowił bitwę przyjąć. Więc ściągawszy pikiety, rozstawił swe siły na brzegach lasu i czekał natarcia. Moskale postępowali ostrożnie. Zbliżywszy się do lasu, rozpoczęli ogień karabinowy. Młodzież, po raz pierwszy znajdującą się w ogniu, słuchała milcząco świstu kul, siekących gałęzie ponad jej głowami, lecz stała nieruchomo. Zbyt wielka odległość nieprzyjaciela nie pozwoliła odpowiadać z dubeltówek, a karabinów nie było. Więc trwała czas jakiś kanonada ze strony rosyjskiej, żadnej w szeregach polskich nie zrządzając szkody. Naraz strzały ucichły, odezwał się natomiast głos trąbek sygnałowych i ścieśniona kolumna piechoty rosyjskiej ruszyła do ataku. Przywitano ją ogniem kilkunastu dubeltówek, a garstka kosynierów z największem męstwem wytrzymała natarcie Moskali. Rozgorzała walka, lecz siły były nierówne. Mielecki nie przybywał, amunicja powstańców szybko się wyczerpywała, a bój trwał już parę godzin. Coraz więcej zabitych i rannych wyrwały kule moskiewskie z szeregów. Przewaga liczebna brała górę nad męstwem. Całemu oddziałowi doszczętne zagrażało zniszczenie. Oficerowie, otaczający Mierosławskiego, widząc, na co się zanosi, zaczęli wołać na niego, aby uchronił. Jakoż Mierosławski, który dotąd mężnie kierował bi-

twą, zdecydował się opuścić plac boju. Poleciwszy Celińskiemu powstrzymywać napór Moskali, dosiadł podanego mu konia i wraz z całą jazdą wycofał się z ognia. Dzielny Celiński, stojąc na czele 20 strzelców i tyłuż kosynierów, bronił się zajadle i niemal z całym oddziałem legł bohatercko na polu walki. Zabici zostali obaj garibaldczycy, major Buski i kapitan Krosnowski, padł z kosą w rękę komisarz Rządu Narodowego, Władysław Janowski, a ogółem 39 trupów zaległo plac boju.

Mierosławski, nieścigany przez wojska rosyjskie, uszedł szczęśliwie i zatrzymał się w Płowcach, dokąd nazajutrz przybył i Mielecki.

Tak skończyła się pierwsza bitwa pod komendą naczelnego wodza powstania. Bitwa ta wykazała bohaterstwo młodzieży polskiej i haniebne niedołęstwo Schildera-Schuldnera, który nie umiał wyzyskać swojej przewagi liczebnej i pozwolił wycofać się Mierosławskiemu. A jednak pułkownik rosyjski otrzymał za tę bitwę podziękowanie carskie i złotą szablę z napisem: „za waleczność“. Wódz polski nie okazał dostatecznej przeczności i nie usprawiedliwił sławy wojennej, którą go otaczano. Na nieszczęście dla Mierosławskiego, Mielecki, obywatel ziemski, jeden z domorosłych wodzów, których wielu powołało powstanie na widownię walki, krzywo patrzył na czerwonego generała, i, jak cała szlachta ówczesna, widział w nim wcielonego djabła rewolucji. Usposobienie dowódcy podzielał podkomendni i Mierosławski znalazł się w otoczeniu wrogiem. Przyszło do starć, kłótni, niesnasek, gorszące sceny rozgrywały się nieustannie w obozie. Pod Nową Wsią Schilder-Schuldner zaatakował powstańców. Panika, która zaraz na

początku bitwy ogarnęła kawalerję polską, a następnie udzieliła się strzelcom, do nowej przyczyniła się porażki. Oddział, straciwszy kilkudziesięciu rannych i zabitych, w popłochu wycofał się z bitwy.

Teraz krzyk oburzenia podniósł się przeciw Mierosławskiemu, któremu niesłusznie przypisywano poniesioną klęskę. Nieszczęsny generał, osaczony płomieniami nienawiści, niepewny życia, opuścił obóz i z kilkoma towarzyszami przekroczył 23 lutego granicę, poczem wyjechał do Paryża.

W taki sposób skończyła się dyktatura Mierosławskiego.

Wprawdzie nie myślał on rezygnować i składać swej władzy, ale wieść o przegranych bitwach i ucieczce wzburzyła przeciw niemu niechętnych. Na wniosek Stefana Bobrowskiego Rząd Narodowy zdecydował, że jeżeli Mierosławski do 8 marca nie zjawi się na placu boju, to należy uważać, że władza jego ustaje.

Ale współcześnie z upadkiem gwiazdy Mierosławskiego na chmurnem niebie polskiem inna zabłysła gwiazda. Była to gwiazda Marjana Langiewicza, osobistego przeciwnika strąconego dyktatora.

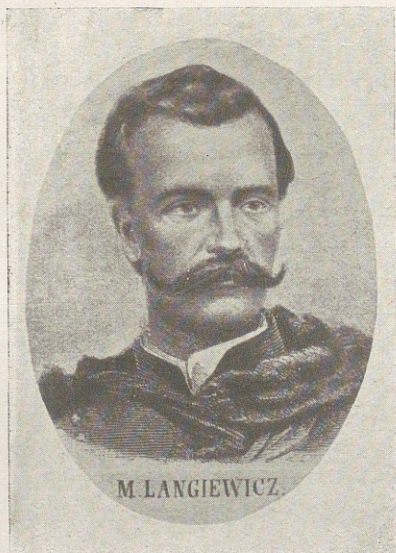
Langiewicz liczył podówczas lat 36. Syn lekarza, który w powstaniu listopadowem służył w szeregach wojsk polskich, wychowany w tradycji patryjotycznej, od wczesnych lat marzył o wielkiej karierze wojskowej. Odznaczał się niepospolitemi zdolnościami do matematyki, a traktując ją, jako podstawę nowoczesnej sztuki wojennej, z wielkim zapalem oddawał się studjom matematycznym. Ukończył szkoły w Trzemesznie, kształcił się następnie we Wrocławiu, a później jeszcze w Berlinie. Małomówny i zamknięty w so-

bie, nie cieszył się sympatją kolegów. Był samotnikiem. Ale w duszy jego palił się płomień entuzjazmu. Wsłuchany w szum burzy rewolucyjnej 1848 roku, nie przestawał marzyć o wielkiej wojnie, któraby i naród polski poprowadziła na pole walki z jego ciemiężcami. Po odsłużeniu roku w wojsku pruskim, z którego wyszedł, jako oficer artylerji, Langiewicz ruszył do Włoch i zaciągnął się pod sztandary Garibaldiego. Bohater włoski zwrócił uwagę na walecznego Polaka i świetną wróżył mu przyszłość. Ten zaś, zdobywszy w armji włoskiej stopień oficerski i krzyż wojskowy za waleczność, nie przestawał kształcić się dalej. Wierząc, że i dla Polski wybije godzina wyzwolenia, przyjął obowiązki profesora w szkole podchorążych w Genui. Później zajmował się zakupem broni dla powstania, a mianowany naczelnikiem sił zbrojnych województwa sandomierskiego, oddał swe siły na usługi umiłowanej sprawy wolności.

W pamiętną noc z 22 na 23 stycznia uderzył mężnie na Szydłowiec, a potem cofnął się do Wąchocka, gdzie z dużą energją zreorganizował swój oddział. Zagrożony przez poważniejsze siły rosyjskie, cofnął się na Święty Krzyż. Tutaj atakował go generał Czenigiery. Po czterogodzinnej, uporczywej a dzielnie prowadzonej bitwie Langiewicz zręcznym manewrem wycofał się z nierównej walki i, stoczywszy jeszcze kilka utarczek, odbył mistrzowski marsz do Małogoszcza, gdzie połączył się z oddziałem Jeziorańskiego, człowiekiem nie bez zdolności wojskowych, ale ambitnym, zarozumiałym, niechętnie uznającym nad sobą zwierzchnictwo Langiewicza. Dnia 24 lutego przyszło w Małogoszczu do morderczej a nieszczęśliwej bitwy z Moskalami. Straciwszy kilkuset rannych

i poległych. Langiewicz ruszył na Pieskową Skalę, pod którą stoczył potyczkę, następnie, rozbiwszy w Skale dwie rotы piechoty nieprzyjacielskiej i sotnię jazdy, posunął się do Goszczy i tu zapadł obozem.

Mimo dotkliwej klęski pod Małagoszczem, bitwy, stoczone przez Langiewicza, rozślawiły jego imię. Obóz w Goszczy, położony w pobliżu granicy galicyjskiej, zasłynął szeroko i pociągnął ku sobie sporo ochotników. Do obozu przybyło wielu oficerów z rozbitej partji Kurowskiego, przyprowadził oddział, złożony ze stu kilkudziesięciu ludzi, stary generał Waligórski przyciągnął ze swą partją, waleczny partyzant, Teodor Cieszkowski, zjawił się Józef Czapski i objął dowództwo nad całą jazdą, której ćwiczeniem zajmował się gorliwie. Wraz z Waligórskim przybył do obozu Rochebrun i zorganizował znowu bataljon żuawów śmierci. Z Krakowa ściągąta gromadkami młodzież uniwersytecka, szkolna, rzemieślnicza i powiększała szeregi, których liczebność urosła niebawem do 3.000 ludzi. Utworzona została pod komendą Śmiechowskiego, awansowanego później na generała, brygada piechoty, złożona z dwóch pułków. Pierwszym z nich dowodził Dąbrowski, drugim — dzielny pułkownik Czachowski. Szefem sztabu został przybyły nieco później, doświadczony oficer wojsk pruskich, Władysław Bentkowski. Małeńka armja posiadała dwie armatki, oddziałek saperów, a rozłożona na dość znacznej przestrzeni, imponowała swoją liczebnością, podnoszoną przez kłamliwe wieści. Wielu polityków galicyjskich, sporo okolicznej szlachty, mnóstwo gapiów zjeżdżało do Goszczy, by przypatrzeć się życiu obozowemu. Jakoż obóz szumiął gwarem i życiem. Na błoniach ćwiczyła się młodzież we wła-



M. LANGIEWICZ.

daniu bronią i obrotach wojennych, wieczorami rozbrzmiewały pieśni żołnierskie, a olbrzymia luna, bijąca nocami z gwarnego obozowiska, utwierdzała okolicę w mniemaniu, że Langiewicz istotnie poważnemi rozporządza siłami.

Dzięki bliskości granicy galicyjskiej wraz z napływem ochotników przybywała do obozu odzież, żywność, a przede wszystkim broń, której, niestety, nie zdołano w dostatecznej dostarczyć ilości. Jednakże bataljon żuawów śmierci Rochebruna uzbrojony był w karabiny i sztucery austrijackie, cała jazda miała niezgorsze umundurowanie, a każdy kawalerzysta posiadał pałasz, lancę i pistolet. Piechota uzbrojona była bądź w strzelby, bądź w kosy, a choć na miarę wojska regularnego zaopatrzenie małej armji przedstawiało się bardzo lichy, to przecież w porównaniu z innymi oddziałami było imponujące.

Wyniesieniu Langiewicza sprzyjały okoliczności.

Pomimo klęsk, ponoszonych przez poszczególne oddziały, powstanie rosło na siłach i rozszerzało się nieustannie. Jednocześnie w opinji inteligencji polskiej całego kraju następował przełom w zapatrywaniach, a przyczyną nowego zwrotu była sympatja, jaką walka zbrojna budziła w Europie. Widoki na wmięszanie się w krwawy spór polsko-rosyjski mocarstw zachodnich skłoniły białych do wystąpienia w roli czynnej. Na ten zwrot wpłynął szczególnie książę Władysław Czartoryski, który kierował we Francji polityką zachowawczego odłamu emigracji polskiej, a opierając się na oświadczeniach dyplomatów, mniemał, że Polska liczyć może na pomoc zacho-
du. Upadek Mierosławskiego, którego radykalizm

przerazał szlachtę, dawał białym dobrą okazję do wyzyskania sytuacji i ujęcia steru powstania w swe ręce.

Na tle tych dążeń zrodziła się intryga, mająca na celu przeszkodzenie Mierosławskiemu do ponownego objęcia władzy.

Dnia 8 marca odbył się w Krakowie zjazd wybitnych obywateli z zaborów pruskiego i austrijskiego, a Adam hr. Grabowski, główna sprężyna intrygi, wystąpił samowładnie przed zebranymi, jako nadzwyczajny komisarz Rządu Narodowego i oświadczył uroczyście, że rząd postanowił władzę dyktatorską powierzyć Langiewiczowi; chcąc jednakże działać w porozumieniu z innymi dzielnicami Polski, sprawę tę oddaje decyzji zgromadzonych.

Obecni jednomyślnie uchwalili przychylić się do mniemanego postanowienia Rządu Narodowego i zaraz na drugi dzień wysłali do Goszczy deputację, by zawiadomić Langiewicza o powziętej uchwale.

Langiewicz zgodził się przyjąć dyktaturę.

Wojsko, które sformowano w czworobok na błoniach pod Goszczą i któremu odczytano proklamację, ogłaszającą Langiewicza dyktatorem, z zapałem przyjęło do wiadomości fakt spełniony, a choć w obozie nie brak było gorących zwolenników Mierosławskiego, choć Langiewicz miał poważnych przeciwników, to jednak pod wpływem zapału żołnierzy umilkły uczucia zawiści i niechęci.

— Niech żyje dyktator! — wołało wojsko na błoniach pod Goszczą, a okrzyk ten rozbrzmiał niebawem po całej Polsce — i nowy dyktator stał się odrazu najpopularniejszym w całym kraju człowiekiem, wyrósł na bohatera narodowego i najpiękniejsze obudził nadzieje. A przebywający w Warszawie członkowie

Władzy Naczelnej, zaskoczeni dokonany zamachem, nie śmieli zaprotestować przeciw nowej dyktaturze. Pogodzili się z faktem dokonany, lecz dla zbadania intrygi postanowili wysłać do obozu Langiewicza deputację.

Tymczasem Langiewicz zwinął obóz w Goszczy i ruszył do Sosnówki, gdzie złożył przysięgę na wierność narodowi i przysięgę odebrał od wojska. Dnia 17 marca stoczył pod Chrobrzem bitwę zwycięską z 3.000 Moskalami pod dowództwem Czengierygo i Zwierowa, zdobył dwa działa, 500 karabinów i zmusił nieprzyjaciela do odwrotu. Po tem zwycięstwie zręcznym marszem posunął się do Grochowisk i w tej wsi, otoczonej gęstym lasem i trzęsawiskami, postanowił dać strudzonym żołnierzom odpoczynek, a następnie przedrzeć się w góry Świętokrzyskie.

Ale nieprzyjaciel pokrzyżował te plany.

Czengiery i Zwierow, otrzymawszy posiłki z Pińczowa i Chmielnika, a rozporządzając 5.000-ną siłą, postanowili zniszczyć armję Langiewicza. Jakoż wojska rosyjskie skombinowanym manewrem rozpoczęły okręzać obóz pod Grochowiskami. Gdy przednie straże polskie wysunęły się z lasów, przywitwały je rzęście salwy karabinowe i ogień armatni. Niebezpieczeństwo zawisło nad oddziałem polskim. Przeważające siły nieprzyjaciół i wyższość regularnego żołnierza nad lichem uzbrojonym i niewyćwiczonym powstańcem czyniły sytuację beznadziejną. Lecz Moskale działali chwiejnie i niezdecydowanie, bitwa rozprzegła się i rozbiła na starcia pojedynczych oddziałów, a w starciach tych męstwo żuawów Rochebruna i śmiałe ataki kosynjerów rozstrzygnęły bitwę na ko-

rzyść Polaków. Wojska rosyjskie, odparte ze znacznymi stratami, cofnęły się w stronę Pińczowa. Ale i powstańcy ponieśli znaczne straty: kilkuset zabitych i rannych ubyło z szeregów, część jazdy pierzchła na początku bitwy, a Czachowski, oddzieliwszy się od głównych sił, rozbił inny oddział moskiewski, ale w pogoni za nieprzyjacielem oddalił się od Langiewicza i zerwał z nim związek. Dyktator znalazł się w położeniu nadzwyczajnie trudnem. Żołnierze jego byli niesłychanie znużeni i wyczerpani, w obozie brakło żywności i amunicji, a znaczniejsze siły rosyjskie nie przestawały zagrażać otoczeniem całemu oddziałowi.

Langiewicz, straciwszy wiarę w możliwość dalszej walki, poprowadził swe wojsko do Welcza i tutaj po radzie wojennej postanowił podzielić swój korpusik na kilka pomniejszych oddziałów, które na własną rękę miały się wymykać z przygotowywanej przez Moskali obławy, sam zaś zdecydował się wyjechać do Krakowa, zabawić tam dni kilka dla uregulowania spraw, związanych z dyktaturą, a następnie znowu udać się na plac boju i w innych okolicach Królestwa ożywić powstanie.

I w myśl tej decyzji dnia 19 marca, a więc w dzień po ogłoszeniu dyktatury, wyruszył ku granicy galicyjskiej w otoczeniu kilku wyższych oficerów oraz adjutanta swego, słynnej panny Pustowojtówny.

Krok ten pociągnął za sobą najfatalniejsze następstwa.

Na wieść o wyjeździe dyktatora w obozie wybuchła panika. Śmiechowski, któremu Langiewicz oddał dowództwo oddziału, nie zdołał zapanować nad wzbu-

rzeniem, ogarniającem żołnierzy. Pękły karby posłuszeństwa i cały oddział rzucił się w kierunku granicy austryjackiej. Śmiechowski zaledwie kilkuset ludzi zdołał utrzymać w jakim takim porządku, ale i on wbrew rozkazom Langiewicza szedł również ku granicy, gdyż o marszu w innym kierunku nie chcieli już słyszeć podwładni. Piękna, a budząca w Goszczy tyle nadziei partja Langiewicza stała się bezładną gromadą rozbitków, z których każdy myślał jedynie o ocaleniu swojej własnej głowy. Jakoż rozprzegło się wszystko. Śmiechowski przeszedł granicę i szukał schronienia w Galicji. Jego tylna straż, pozostawiona w Igołomi, wymordowana została przez Moskali. Reszta powstańców przekroczyła w różnych punktach granicę.

Jeden Czachowski pozostał na terenie walki i w dalszym ciągu prowadził śmiałą partyzantkę.

Langiewicz wraz z Pustowojtówną aresztowany został zaraz po przejściu granicy przez władze austryjackie *) Wywieziono go do Tarnowa, następnie osadzono w więzieniu w Krakowie, wreszcie po pobycie w Tysznowcach przewieziono do twierdzy czeskiej Josephstadt, z której dopiero w r. 1865-ym został uwolniony.

Dyktatura jego trwała zaledwie dni dziesięć. W ciągu tego czasu wykazał na placu boju niewątpliwie zdolności, ale co ważniejsza! należał do tych nielicznych dowódców, którzy mieli wiarę w pomyślny

*) Powody aresztowania nie są dotychczas wyświełtione. Langiewicz, w jednym ze swoich listów (rękopis znajduje się w posiadaniu prywatnem) oskarża o to aresztowanie swojego rywala i przeciwnika, Mierosławskiego.

wynik walki z potężnym a znakomicie uzbrojonym wrogiem.

„W ośmiu tygodniach naszej walki—pisał Langiewicz z więzienia w Tysznowcach — nabyłem najmocniejszego przekonania, że o własnych siłach zwyciężyć możemy, ale mamy pomiędzy sobą wrogów niebezpieczniejszych, niż Moskwa, mamy potężne żywioły krajowe, które stosownem działaniem militarnem i politycznym zamienią się w masy wojenne. Mamy sprzymierzeńców zewnętrznych, których bezbarwną i prawie na wszystkie strony kokietującą polityką Rządu Narodowego od siebie odstręczamy...” *)

Upadek drugiej z kolei dyktatury pozostawił powstanie bez steru.

Wówczas Stefan Bobrowski, który w poszukiwaniu Langiewicza znalazł się w Krakowie, opublikował odezwę, zawiadamiającą społeczeństwo o upadku dyktatury, a zarazem głoszącą, że władza naczelna „przechodzi napowrót w ręce Tymczasowego Rządu Narodowego”, który z całą stanowczością wystąpi przeciw wszelkim roszczeniom, usiłującym stworzyć władze od Rządu Narodowego niezależne. Nad Grabowskim, który w intrydze, wynoszącej Langiewicza, odegrał główną rolę, urządzono sąd. Sąd ten miał koniec tragiczny. Bobrowski odmówił Grabowskiemu podania swej ręki. Wyzwany na pojedynek, acz rozumiał, że w dobie wojny narodowej on, piastujący wysoki urząd, miał prawo odmówić satysfakcji, stanął na placu. Celny strzał przeciwnika, wymierzony wprost w serce, na miejscu położył Bobrowskiego trupem.

*) List z dnia 14 kwietnia 1863 roku. Rękopis w posiadaniu prywatnem.

Tak skończył jeden z najdzielniejszych twórców powstania.

Klęska Langiewicza i tragiczna śmierć Bobrowskiego stały się potężnym ciosem dla sprawy.

Lecz powstaniu przybyła nowa siła: pod sztandarem walki stanęło stronnictwo białych.

XI.

ROZWÓJ POWSTANIA.

W skład rządu weszli teraz Giller, Awejde, Maykowski, a gdy dwaj ostatni zmuszeni byli opuścić Warszawę, miejsce ich zajęli Karol Ruprecht i wybitny pisarz Edward Siwiński. Sekretarzował rządowi J. Janowski. Nowa władza, mając do rozporządzenia siły białych, stworzyła w całym kraju organizację powstańczą, która zbierała na rzecz powstania podatki, pełniła służbę wywiadowczą, urządziła poczty i nie raz z wydatną pomocą przychodziła walczącym oddziałom. W Galicji, w Poznańskim, w Prusach, dzięki białym, tworzyły się nowe partje, uzbrojone niezgorzej w broń palną i pod wodzą doświadczonych oficerów przekraczały granice Królestwa. Pomimo porażek, ponoszonych przez powstańców, ruch rozszerzał się i szcęk broni coraz donośniej na ziemi polskiej rozbrzmiewał.

Powstanie, skazane początkowo na zagładę przez samą opinię polską, wykazywało siłę, która przykuwała coraz baczniejszą uwagę dyplomacji europejskiej.

Lud francuski, a szczególnie lud Paryża, sympatyzujący z wyzwolenczą walką, podjętą nad Wisłą, dawał niedwuznaczne dowody swojej dla powstania



Ks. ANTONI MACKIEWICZ

polskiego sympatji. W pamięci Francuzów żyły jeszcze tradycje napoleońskie, żyło wspomnienie walk, które pod sztandarami Napoleona toczyli niegdyś Polacy. Idee wolności głęboko przenikały duszę ludu francuskiego. Więc na ulicach Paryża, w kawiarniach, w teatrach często rozlegały się okrzyki na cześć Polski, zrywającej pęta niewoli. Ale rząd francuski zachowywał się wobec powstania wstrzemięźliwie. Napoleon III dążył podówczas do zawarcia sojuszu z Aleksandrem. Więc ministrowie francuscy mówili o niewygasłych uczuciach sympatji dla Polaków, ale dla powstania nie znaleźli słowa uznania i zachęty. Przeciwnie. Z oficjalnych oświadczeń francuskich mężów stanu wynikało, że Francja nie może Polsce żadnej udzielić pomocy, że powstanie zakończyć się musi klęską, że Polacy nie w ruchu rewolucyjnym, lecz we wspaniałomyślności cara i jego dobrych chęciach szukać winni oparcia dla swoich dążeń narodowych.

Zaszły przecież wypadki, które zmieniły stanowisko Napoleona III i jego rządu.

Oto Prusy zaproponowały Rosji zawarcie konwencji, której celem było zduszenie powstania, a car przyjął pomoc sąsiada. Bismarck, który stał wówczas na czele rządu w Prusiech, z niepokojem śledził politykę Wielopolskiego. Bismarck nie życzył sobie, by między Polską a Rosją przyszło do zbliżenia. Wybuch powstania zrywał łączność między Petersburgiem a Warszawą i był na rękę temu mężowi stanu, który widział i w Prusiech niebezpieczeństwo polskie, a wówczas starał się mu zapobiedz. Ujednostajnienie polityki pruskiej i rosyjskiej w stosunku do narodu polskiego dawało rękojmię, że przykute do wrogich państw ziemie polskie nie zerwą własną siłą opasujących je

łańcuchów. Przyjęcie przez cara pomocy Prus w tłumieniu powstania pozwalało się spodziewać temu draieżnemu wyznawcy panowania pięści nad prawem, że przyjaźń prusko-rosyjska, przypieczętowana krwią polską, na wieki naród polski w haniebnej utrzyma niewoli.

Kiedy już po zawarciu konwencji ambasador angielski w Berlinie, Buchanan, wyraził przypuszczenie, że Rosja może być zmuszona do opuszczenia Królestwa, Bismarck odpowiedział:

— Wtedy zajmiemy Polskę, aby nie dopuścić do narodzenia się wrogiej dla nas potęgi...

— Na to Europa nie zgodzi się nigdy — oświadczył Buchanan.

— A cóż to jest Europa?! — wykrzyknął ironicznie Bismarck i kategorycznie zapewnił, że słumienie powstania polskiego jest dla Prus kwestją życia lub śmierci.

Tymczasem fakt zbliżenia się Prus do Rosji zaniepokoił Anglję, zmienił stanowisko Napoleona i nie pozostał bez wpływu na dyplomację austryjacką. Cesarz Francuzów, pragnący w dalszym ciągu odgrywać rolę apostoła wolności uciśnionych narodów, postanowił wyzyskać sytuację, jaka się wytworzyła i wystąpić w roli obrońcy ciemżonej Polski. Rząd francuski zaproponował Anglji i Austrii wysłanie wspólnej noty do gabinetu berlińskiego, z ostrzeżeniem, że zawarcie konwencji pomiędzy Prusami a Rosją wytwarza nowy stan rzeczy i kwestję polską czyni kwestją europejską. Ale Austria, acz zaniepokojona konwencją, obawiała się, że poparcie powstania spowodować może wybuch zbrojny w Galicji, a rząd angielski podej-

rzewał Napoleona o zaborcze względem Prus zamiary—i wspólna nota do skutku nie doszła.

Natomiast rząd pruski poniósł klęskę w sejmie, który, dzięki interpelacji posłów polskich, powziął uchwałę, domagającą się neutralności w stosunku do obu stron walczących.

Wydarzenia te, a szczególnie głosy dyplomatów francuskich, do żywego poruszyły emigrację polską we Francji. Pożar uniesienia ogarnął łatwo zapalne głowy i serca polskie. Nawet obóz zachowawczy dał się porwać fali zapалу i popłynął z falą. Książę Władysław Czartoryski, kierujący po śmierci ojca polityką Hotelu Lambert, początkowo stanowczo przeciwny powstaniu, obecnie, pod wpływem zmiany stanowiska rządu francuskiego, zmienił swój pogląd, zaalarmował umiarkowane elementy we wszystkich zaborach i wpłynął na to, że ruch zbrojny zaczęło popierać stronnictwo białych oraz szlachta W. Ks. Poznańskiego i Galicji.

Sprawa polska istotnie zaczęła zdobywać coraz większą w Europie popularność. Niemal we wszystkich znaczniejszych miastach na zachodzie odbywały się zgromadzenia ludowe, na których wypowiedano się z najgłębszemi sympatjami dla ruchu wyzwolniczego Polaków. Wodzowie demokracji europejskiej, Kossut, Mazzini, Garibaldi, Hercen, przywódcy socjalistów, Marx i Engels, wielu znakomitych uczonych, poetów, artystów wypowiedało się za niepodległością Polski i dla pławiących się we krwi powstańców domagało się od rządów europejskich pomocy. W Anglii, we Francji, we Włoszech zapomniany Polak znów stał się jasną i piękną postacią, znów, jak przed trzydziestu laty, budził ciekawość i entuzjazm tłumów.

Czego nie mogły dokonać straszne jęki rozpacz, przez lata całe szturmujące sumienie Europy, tego dokonał nagle oręż polski, polską wzniesiony dłonią.

Zapomniana sprawa znowu stawała się zagadnieniem międzynarodowem.

W Szwecji ruch na rzecz Polski był tak silny i tak powszechny, że popychany przez opinię rząd szwedzki zaczął porozumiewać się z Francją w sprawie wspólnego wypowiedzenia wojny caratowi. We Włoszech, dzięki agitacji Kossutha i sprzyjających Polsce bohaterów włoskich, zaczęto organizować pomoc dla powstania, a pod wpływem tej agitacji wyruszył na teren walki głośny później pułkownik Nullo. W Belgji, w Holandji, na Węgrzech, słowem, wszędzie, gdzie nie wygasło poczucie sprawiedliwości, sprawa polska ogromną cieszyła się popularnością, a echa zgromadzeń ludowych, artykułów prasy, uchwał, przemówień dochodziły nad Wisłę i serca polskie słodką kołysały nadzieją.

Nawet w Rosji ówczesne koła liberalne sprzyjały początkowo powstaniu.

„Kiedy rozpoczęło się powstanie—powiada w swoich „Wspomnieniach” znany rewolucjonista rosyjski, ksiądz Krapotkin—wielu oficerów rosyjskich wzbrañało się walczyć przeciw Polakom... Składki na powstanie zbierano w całej Rosji, a w Syberji całkiem jawnie. Studenci uniwersytetów zaopatrywali nawet w cały rynsztunek bojowy kolegów, którzy udawali się do powstania...”

Tak więc Polska, dzięki patryjotyzmowi i zuchwałstwu młodzieży, wyłaniała się z odmętu zapomnienia i, stając z orężem w dłoni w obliczu świata, niby krwawy wyrzut sumienia zjawiała się na widowni

dziejowej. Echa bojów, staczanych na ziemi polskiej, szeroko rozgłaszane przez pisma zagraniczne, coraz większą budziły uwagę i coraz większy powstaniu nadawały rozgłos.

Zdawać się mogło, że sprawa polska stoi bardzo dobrze, że rozwiązana być musi już nie przez wynik starcia orężnego pomiędzy Polską a Rosją, ale przede wszystkim przez rządy państw europejskich. Jakoż nad rozwiązaniem tej sprawy radzono zarówno w Londynie i w Paryżu, jak w Berlinie, Wiedniu i Petersburgu. Są dane, że rząd pruski rozmyślał o utworzeniu Polski niepodległej z części zaboru rosyjskiego, wzamian za co pragnął oderwać i przyłączyć do państwa pruskiego północne części Królestwa, a zarazem upewnić się, że królem polskim nie zostanie nikt z dynastji Habsburgów lub Romanowów. Istnieją również ślady, że i w Petersburgu myślano o niepodległości Królestwa Polskiego z wielkim księciem Konstantym, jako królem polskim, wzamian za rękojmię, że gubernje litewskie nigdy do Polski włączone nie zostaną. To pewna, że rząd rosyjski był w kłopotcie i nie wiedział, jak wybrnąć z sytuacji. W marcu gabinet angielski wysłał do Petersburga notę, żądającą przywrócenia Królestwu Polskiemu konstytucji 1815 roku, a jednocześnie domagał się od Francji i Austrii, aby żądanie to poparły. Ze swojej strony Napoleon doradzał Aleksandrowi, by, nie czekając na wspólne wystąpienie mocarstw, utworzył niepodległą Polskę w granicach Kongresówki z w. ks. Konstantym, jako królem polskim.

O zainteresowaniu się sprawami polskimi wiedziała szersza opinja polska. Z wielkiem zadowoleniem powtarzano w kraju słowa jednego z ministrów

Napoleona III, Walewskiego, że sprawa polska od czasu rozbiorów nie stała lepiej, że pomyślne jej rozstrzygnięcie zdaje się nie ulegać kwestji. Więc podniecenie ogarniało umysły. Czynny udział w potężnym niedawno powstaniu stawał się nakazem patrijotycznym dla całej młodzieży. Dzięki temu wzmacniały się przybywającymi ochotnikami partje powstańcze, a ponieważ z ust odpowiedzialnych dyplomatów francuskich słyszano, że krew polska, przelana w walce z Rosją, wykreśli granice przyszłej Polski, więc podjęto usiłowania, by powstanie rozszerzyć na Ruś i Litwę.

Jednocześnie biali postanowili nietylko na polu walki zmanifestować swoje stanowisko względem caratu. Rozpoczęli więc agitację za podaniem się do dymisji Rady Stanu. Hasło to nie trafiło do przekonania członkom tej instytucji, gdy jednakże władze rosyjskie wydały odezwę do chłopów, wzywając ich do czynnej pomocy w walce z powstaniem, oburzenie ogarnęło najspokojniejszych obywateli — i Rada Stanu podała się do dymisji. Za tym przykładem poszły rady miejskie, powiatowe, gubernialne — i dzieło Wielopolskiego rozleciało się, jak domek z kart.

A w Petersburgu, pomimo całego okrucieństwa, z jakim zwalczano powstanie, wahano się czas jakiś, jaką politykę prowadzić w stosunku do Polski. Wprawdzie myślano o najkrwawszym terrorze, o utopieniu Polski w morzu krwi polskiej, ale rozwój partyzantki oraz kroki dyplomatyczne potężnych mocarstw europejskich sprawiały, że rząd carski wahał się i na drodze pokojowej szukał rozwiązania kłopotliwej i zarazem niebezpiecznej dla caratu sprawy. Wreszcie powzięto w Petersburgu decyzję. Postanowiono uprze-

dzić zbiorowe wystąpienie mocarstw i nie pozwolić na to, by sprawa polska europejską stała się sprawą. W tym celu dnia 12 kwietnia ogłoszony został manifest carski, zapewniający Polakom wszystkie otrzymane przez nich zdobycze, dalszy rozwój instytucji samorządowych, a co więcej! zupełną amnestję dla tych, co w ciągu miesiąca broń złożą.

Ale „łaska” carska przychodziła za późno. Manifest nie uczynił wrażenia, jakiego oczekiwano. Po obietnicach francuskich nawet najumiarkowańsi działacze uznali, że Polska powinna walczyć dalej, że złożenie broni wobec świetnej przyszłości, czekającej ojczyznę, byłoby hańbą dla narodu. Polityka Wielopolskiego ostatecznie przegrała w oczach społeczeństwa. Dnia 10 maja ukazała się odezwa Rządu Tymczasowego, stwierdzająca, że pod sztandarami powstania skupiły się już wszystkie warstwy społeczeństwa. Naczelną władza powstańcza występowała dotąd pod nazwą: „Komitet Centralny jako Tymczasowy Rząd Narodowy”. Odezwa zmieniała tę nazwę na Rząd Narodowy, stwierdzając jednocześnie, że zmiana nazwy w niczem nie narusza zasad, które od początku przyświecały walce z najazdem.

Jako cele powstania, Rząd narodowy wskazywał zapewnienie całkowitej niepodległości ziemiom Polski, Litwy i Rusi, uwłaszczenie włościan w myśl dekretu z d. 22 stycznia, równouprawnienie wszystkich obywateli, zapewnienie ludom Litwy i Rusi najrozleglejszego rozwoju narodowego, złączenie tych krajów z Polską w jedną całość państwową, wreszcie obronę zasad i najlepszych tradycji narodowych Polski. W odezwie, wydanej w trzy dni później, Rząd Narodowy stwierdzał, że „żaden Polak nie złożył oręża”,

że ogłoszona przez cara amnestja „przebrzmiała, jak czcze i zdradą podszyte słowo, a naród cały z równie zimną wzgardą odepchnął łaski i groźby cara”.

Więc walka trwała dalej.

Po nieudanem przedsięwzięciu Mierosławskiego, po upadku dyktatury Langiewicza, powstanie nową poniosło klęskę, a jej echa szeroko rozniosły się po kraju i ciężkim smutkiem legły na strapionych sercach.

Oto budzący tyle nadziei Padlewski, wojewoda płocki, po wielu potyczkach, stoczonych mężnie z Moskalami, po zwycięstwie, odniesionem 9 marca w okolicach Myszyńca, widząc swój oddział zniechęcony, zgłodniały, pozbawiony należytego uzbrojenia, stracił wiarę w możliwość dalszej walki i myślał już o tem, by nazawsze opuścić plac boju. Powstrzymał go od tego kroku list Bobrowskiego.

„— Tylko ci — pisał Bobrowski do swego przyjaciela, — co wytrzymają do końca, zasługują na szacunek ludzi. Jeżeli zginiemy na swoim stanowisku, sprawa pozyszcze dwóch czystych ludzi, którzy będą służyć przykładem dla innych. Lecz porzucić stanowisko, zhańbić siebie ucieczką, to wszystko jedno, co zabić siebie na zawsze...”

Te męskie, energiczne słowa zmieniły kierunek myśli Padlewskiego. Postanowił wytrwać do końca na stanowisku. Ale nieszczęście jakieś zawisło nad ludźmi, z których nazwiskiem najpiękniejsze łączono nadzieje. I Padlewskiego nie oszczędził los srogi. Schronił się on na wsi pod Ciechanowem i w schronieniu swoim układał plany dalszej walki. Otrzymawszy wiadomość o oddziale, który miał wkroczyć z Prus do Królestwa, wyruszył na spotkanie oddziału ku granicy. Po drodze dostał się w ręce kozaków i od-

wieziony został do Lipna. Podczas śledztwa przyznał się odważnie do swego nazwiska. Sąd polowy w Płocku, dokąd przewieziono więźnia, skazał go na śmierć. Ale ogłoszona w tym czasie amnestja carska i podjęte przez krewnych starania sprawiły, że egzekucja została wstrzymana. Gdy jednakże upłynął termin złożenia broni, a wezwanie carskie pozostało bez skutku, z Warszawy przyszedł rozkaz, by i nad Padlewskim wyrok wykonano.

Nieszczęśliwy skazaniec mężnie zniósł straszną wieść. Na miejsce kaźni za roгатką płońską, szedł z podniesionem czołem, szedł poważny, spokojny. Sam stanął pod słupem, wbitym w ziemię, i sam nałożył śmiertelną koszulę. Mężnym wzrokiem patrzył w dół świeżo wykopany, który za chwilę stać się miał jego grobem. Żołnierze rosyjscy ze wzruszeniem spoglądali na zachowanie się młodego bohatera, a jak utrzymywali naoczni świadkowie, broń drżała w ich rękach, gdy lufy karabinów skierowali w pierś polskiego wodza. Lecz oto rozległ się głos komendy i huknęła salwa karabinowa. Strzały drasnęły tylko ofiarę. Dano drugą salwę. Padlewski padł, ale żył jeszcze i znakami prosił, aby go dobito. Pomimo to żyjącego jeszcze wrzucono do dołu i przysypano ziemią.

Tak zginął jeden z wybitniejszych twórców powstania, a o jego zachowaniu się przed zgonem i o samej śmierci długo krążyły wśród ludu legendy. Opowiadało później, że na miejscu kaźni zjawia się w ciemne noce na białym koniu duch wojewody i wzywa ludność do broni.

Klęskę poniósł również mężny wojewoda podlaski, Lewandowski i sam w końcu marca dostał się do niewoli. Ale w kwietniu i w maju ożywiły się walki.

Zasłynął w tych walkach w Sandomierskiem Czachowski, głośną sławą okrył się na Podlasiu Lelewel, na wdzięczną pamięć Polaków zasłużył dzielny garibaldczyk, pułkownik Nullo, który na czele legji zagranicznej przekroczył granice Królestwa i, zaszywszy się w bory olkuskie, zginął bohaterską śmiercią w morderczym boju pod Krzykawką.

W końcu kwietnia generał Antoni Jeziorański przedostał się w Lubelskie na czele 700 ludzi, dobrze uzbrojonych i umundurowanych. Piękny ten oddział, uformowany nadzwyczajnymi wysiłkami i nadzwyczajnym kosztem, a budzący znowu wiele nadziei, stoczył w dniu 1 maja zwycięską bitwę wśród gęstych lasów pod Kobyłanką. Lecz Jeziorański nie umiał wyzyskać zwycięstwa. Przez pięć dni stał w miejscu, wznosił zasieki i szańce, spodziewał się bowiem nowego ataku, a nie miał dość odwagi, aby zapuszczać się w głąb kraju. Skorzystali z tego Moskale, zebrali większe siły i szóstego dnia w 2.000 ludzi zbliżyli się do obozu. Rozpoczęła się bitwa, w której oddział Jeziorańskiego z niezwykłym broniał się męstwem. Pięć godzin zasypywali Rosjanie obóz polski morderczym ogniem armatnim i karabinowym. Powstańcy odpowiadali celnymi strzałami, z wielką brawurą ruszali do ataku na bagnety i mężnie wytrzymywali kilkakrotne szturmy. Moskale, straciwszy w zabitych i rannych blisko 400 ludzi, wycofali się z ognia, ale i straty polskie były bardzo poważne. Stu pięćdziesięciu powstańców legło na placu boju, niemal wszyscy oficerowie odnieśli rany, a wyczerpany żołnierz, pomimo świetnego zwycięstwa, upadł na duchu. Dezercja zaczęła przerzedzać szeregi. Jeziorański opuścił chwalebne pole walki i szedł

wzdłuż granicy galicyjskiej, tropiony przez idące w ślad za nim wojska rosyjskie. Napadnięty pod Hutą Krzeszowską, wyparty został za kordon.

W ten sposób nowy wysiłek, kosztujący wiele ofiar i poświęceń, poszedł znowu na marne.

Nie powiodła się również wyprawa zorganizowana w zaborze pruskim, na której czele stanął dzielny pułkownik Young de Blankenheim. Po świetnym zwycięstwie pod Nową Wsią, Blankenheim poległ w bitwie pod Brdowem, a jego oddział, liczący 500 ludzi, został rozproszony. Dłużej nieco utrzymał się Edmund Taczanowski w województwie kaliskiem. Odniósł on zwycięstwa pod Pyzdrami i Kołem, ale poniósł klęskę pod Ignacewem i rozpuścił swój oddział. Taczanowski zajął się niebawem organizowaniem nowego oddziału, ale klęska jego nowym była dla powstania ciosem.

A jednak pomimo wszystkie klęski szczęk broni nie ustawał. Po całym kraju uwijały się mniejsze i większe partje powstańcze. Pobite lub rozproszone zbierały się nanowo, niepokoily załogi rosyjskie i do nieustannej zmuszały je czujności. Pod wpływem wieści, przychodzących z zagranicy, utrwalało się przekonanie, że walka musi trwać dalej. Więc inteligencja całego kraju, młodzież, rzemieślnicy, porzucali swoje zajęcia, szli w lasy i stawali pod sztandarami powstania. Tylko chłopów nie było w walczących szeregach. Lud wiejski patrzył obojętnie na toczącą się walkę, gdziekolwiek tylko jej pomagał, a częściej ujawniał wrogię dla powstańców usposobienie. Nie pomogły dekrety o uwłaszczeniu. Nie wierzył im lud wiejski. Mścił się na sprawie brak organizacji wśród mas chłopskich, mściła się przeszłość, która między dworem

a chatą wykopała przepaść. Rząd rosyjski dokładał usiłowań, aby przepaść tę powiększyć, a w dążeniu do tego celu nie przebierał w środkach.

Tymczasem kierownikom powstania przyświecała zwodnicza nadzieja pomocy zagranicznej. Od dyplomatów francuskich słyszeli działacze polscy w Paryżu, że krew przez Polaków w walce z Rosją przelana, określi przyszłe granice niepodległej Polski.

Więc wyteżono siły, aby płomień powstania rozszerzyć na Ruś i Litwę.

XII.

NA LITWIE i RUSI.

Wybuch powstania w Królestwie i manifest Komitetu Centralnego, wzywający Litwę i Ruś do walki z najazdem rosyjskim, poruszyły do głębi patryjotów polskich w tych krajach. W Wilnie powołany został w początkach lutego Komitet, mający stanowić władzę, kierującą Litwą. Ale Komitet, pozostający pod wpływami białych, nie kwapił się z wywołaniem powstania.

Jednakże powstanie wybuchło.

Pierwsza poruszyła się Żmudź, a sztandar walki podniósł ksiądz Mackiewicz.

Była to postać wybitna, piękna i oryginalna. Z zaciętością Żmudzina i żelazną wolą łączył ksiądz Mackiewicz niezwykły talent agitatora. Fanatyczny katolik, przesycony nawskroś głęboką religijnością, był jednocześnie fanatycznym demokratą, przekonanym, że jedynie lud stanowi siłę decydującą o losach i przyszłości narodu. Jako ksiądz, miał możność nieustannego obcowania z włościanami. Osiadłszy na Żmudzi, rozwinął niestrudzoną działalność wśród ludu, a gorącym, natchnionem słowem umiał przeniknąć do niedostępnej, ponurej duszy chłopca żmudzkiego i rozpa-

lić w niej ogień patryjotyzmu. Ruchliwy, czynny, jeździł od wsi do wsi i przekonywał chłopów, że przyczyną ich opłakanej doli, ich nędzy i ucisku, jest rząd rosyjski. Na chrzcinach, na weselach i pogrzebach rozwijał niestrudzenie swoje zasady, a zawsze miał chętnych słuchaczy. Nielubiany przez szlachtę i dzieciaków, którym w oczy często gorzkie wypowiadał słowa, piorunując na złe obchodzenie się z ludem, wielką miłość zdobył wśród chłopów, a że zawczasu przygotowywał ich do powstania, więc zdołał skupić przy sobie gromadkę oddanych mu całą duszą włościan i rozpoczął z nimi partyzantkę na Żmudzi.

Za przykładem Mackiewicza poszedł Ludwik Narbutt i inni, a powstanie rozwinęło się na dobre, gdy dowództwo nad oddziałami żmudzkiemi objął z ramienia utworzonego „Wydziału, zarządzającego prowincjami Litwy”, znany już ze swojej działalności w Petersburgu, kapitan sztabu generalnego, Zygmunt Sierakowski, rozślawiony później pod przybranem nazwiskiem Dołęgi.

Według planu, który ułożył Sierakowski, powstańcy mieli uderzyć niespodzianie na twierdzę Dynaburg i zdobyć ją podstępem, jednocześnie zaś zgromadzić znaczniejsze siły w Kurlandji i na wybrzeżu bałtyckiem połączyć się z legionem cudzoziemskim, który miał wylądować i przyjść powstaniu z pomocą. Legion ten organizował w Anglji z polecenia rządu Józef Cwierciakiewicz, a wielu wybitnych rewolucjonistów europejskich, jak Mazzini, Herzen, Bakuniu najczynniejszą w organizacji okazywali pomoc. Dzięki tej pomocy do legionu wstąpiło wielu ochotników z pośród rewolucjonistów polskich, włoskich, niemieckich, angielskich i rosyjskich, a liczba legionistów wynosiła

z górą 800 ludzi. Legjon ten, zaopatrzony w spory zapas broni i amunicji, oddany został pod komendę pułkownika Łapińskiego. W marcu legjoniści wsiadli na statek angielski i żegnani przez tłumy publiczności, wyruszyli w drogę. Skutkiem różnych przygód zmuszeni byli dłużej zatrzymać się w Szwecji. Dopiero pod koniec maja zdołali na wynajętym statku szwedzkim „Emilja” zbliżyć się do Poługi, lecz z powodu burzy morskiej, podczas której wielu legjonistów utonęło, wylądowanie odbyć się nie mogło. Cała wyprawa spełzała na niczem, a skutkiem tego i plan Sierakowskiego narażony był na niepowodzenie.

Ale Sierakowski, zjednoczywszy pod swoją komendą oddziały księdza Mackiewicza, Kołyszki, a następnie innych, postanowił dotrzeć do wybrzeża morskiego i wywołać powstanie w Kurlandji. Szedł śmiałym marszem, nie chowając się po lasach i nie unikając gościńców. Zatrzymywał się po wsiach i miasteczkach, a wszędzie budził zapał ludności. Oddział jego powiększał się szybko. Wiadomość o znaczniejszem skupieniu sił powstańczych na Żmudzi, zaniepokoiła władze rosyjskie. Ówczesny generał-gubernator Nazimow wysłał przeciw Sierakowskiemu generała Ganieckiego, którego celem było zagrodzenie powstaniem drogi do Poługi.

Tymczasem Sierakowski, otrzymawszy wiadomość, że w puszczy Rogowskiej gromadzą się siły nieprzyjacielskie pod dowództwem majora Kawera, postanowił wystąpić zaczepnie. Jakoż dnia 21 kwietnia pod wsią Ginietyny w powiecie wiłkomierskim urządził zasadzkę, rozdzieliwszy swój oddział na trzy części wzdłuż drogi, którą kroczyć mieli Moskale. Zasadzka powiodła się doskonale. Rosjanie, nie przeczuwając

niebezpieczeństwa, spokojnie postępowali grządką, błotnistą drogą. Powstańcy przepuścili bez wystrzału awangardę kozacką, lecz gdy ukazała się jadąca na wozach piechota, przywitani ją gęstym ogniem. Zmieszany nieprzyjaciel, chcąc wydostać się z pod strzałów, rzucił się w przeciwną stronę, lecz teraz zagrodzili mu drogę kosynjerzy pod wodzą księdza Mackiewicza. Sześć razy ruszali piechurzy rosyjscy do ataku na bagnety, ale twardzi chłopci żmudzcy, zagrożeni do boju przez księdza, mężnie odparli wszystkie natarcia. Szeregi nieprzyjacielskie, ogarnięte popłochem, pozostawiwszy na placu boju 100 zabitych i rannych, uciekać zaczęły przez błota. W ręce zwycięzców dostał się cały obóz i kilkadziesiąt karabinów.

Zwycięstwo to szeroko rozniosło się po Żmudzi, wzbudziło nowy zapal i rozstawiło imię Dołęgi. Do obozu jego tłumnie zaczęły napływać nowi ochotnicy: w krótkim czasie w obozie swoim skupił Sierakowski 2.500 ludzi, wśród których przeważali chłopci.

W kilka dni po tem zwycięstwie Dołęga, rozdzielwszy swe siły w pochodzie do Kurlandji, pobił znowu Kawera pod Korsakiszkami w powiecie poniewieskim, a 7 maja pod Medejkami stoczył utarczkę z majorem Merlinem i zmusił go do ucieczki.

Nazajutrz odosobnioną kolumnę Sierakowskiego atakował generał Ganiecki w pobliżu Birż. Sierakowski, zajmwszy dogodną pozycję, przez kilka godzin zwycięsko odpierał szturmy i czekał na przybycie księdza Mackiewicza, który miał się z nim połączyć. Niestety, w czasie bitwy, gdy klęcząc pod drzewem, wydawał rozkazy, otrzymał ciężką ranę od kuli karabinowej. Oddawszy dowództwo szefowi swego sztabu, Laskowskiemu, wycofał się z placu boju, ale wy-



ZYGMUNT SIERAKOWSKI

padek ten wywołał poptoch w szeregach. Zwycięsko toczona bitwa zamieniła się w porażkę, której ofiarą padło 200 zabitych i rannych. Ksiądz Mackiewicz nadciągnął ze swoim oddziałem, ale klęska była już faktem dokonany.

Epilog tej klęski był tragiczny.

Sierakowskiego umieszczono we dworze w Skrobiskach. Tej samej nocy dwór, prawdopodobnie skutkiem donosu, otoczony został przez kozaków — i ranny wódz Litwy wraz z Kołyszką i całym swoim otoczeniem wpadł w ręce wrogów.

A dnia 12 maja stolica litewska była świadkiem niezwykłego widowiska.

Oto Ganiecki, którego podjazd pochwyił Sierakowskiego, wjeżdżał tryumfalnie do miasta, prowadząc ze sobą wziętych do niewoli powstańców i wodza ich, Dołęgę. Generał-gubernator Nazimow zgotował zwycięzcy wjazd tryumfalny. Orkiestry grały skoczny marsz, a wzdłuż ulic ciągnął się szpaler wojsk rosyjskich, które na widok jeńców polskich wydawały radosne okrzyki: ura! Ulice przepełnione były tłumem, a głęboki żal i smutek malował się na twarzach widzów. Tymczasem uroczystości trwały w dalszym ciągu. Na placu przed pałacem gubernatorskim odbyło się dziękczynne nabożeństwo, po którym Nazimow publicznie uściskał Ganieckiego, a następnie dziękował jego podkomendnym za odniesione nad „buntownikami” zwycięstwo.

Istotnie klęska Sierakowskiego była niepowetowanym dla powstania litewskiego ciosem. Nie złożyli przecież broni powstańcy, a dla nieszczęsnego kraju zacząć się miały niebawem straszne dni odwetu rosyjskiego.

Oto car, zaniepokojony rozrąstaniem się powstania polskiego, postanowił rzucić na Litwę znaczniejsze siły, a na ich czele postawić człowieka, któryby użył wszelkich środków, byle tylko ruch w tym kraju stłumić. Oczy cara zatrzymały się na Michale Murawjewie, który zyskał w historii przezwisko „Wieszatiela”, a którego imię, jak krwawa plama przywarło do księgi porobiorowych dziejów naszego narodu.

Murawjew słynął, jako złodziej grosza publicznego, a tyle wszelkiego rodzaju łajdactw i nikczemności miał na swoim sumieniu, że nawet w sferach petersburskich okazywano mu jawną pogardę. Pomimo najgorszej opinii jeszcze w roku 1861-ym piastował urząd ministra dóbr skarbowych. Car nienawidził podobno swojego ministra i z wyraźną niełaską usunął go z urzędu. Zdawało się że karjera Murawjewa skończona jest nazawsze, tembardziej, że liczył on podówczas lat 67. Ale powstanie polskie wysunęło go znowu na widownię. Car szukał kata i pogromcy, a lepszego nie było w całym państwie. Więc oddał mu zarząd Litwy i Białej Rusi wraz z nieograniczonymi pełnomocnictwami i komendą nad całym wojskiem, które w tych krajach walczyć miało z powstaniem.

Murawjew, jeden z najsłabszych wsteczników, jakich posiadała Rosja ówczesna, nie cofający się przed żadnym środkiem, byle cel osiągnąć, był już z wyglądu figurą odstrasającą. Nizkiego wzrostu, bardzo otyły, z okrągłą nalaną twarzą, przypominającą mordę buldoga, o okrągłych, przenikliwych, a jarzących się, jak u zwierza oczach, już na pierwszy rzut oka budził wstręt i obrzydzenie. Był to okrutnik o krwiożerczych instynktach urodzonego kata i złoceńcy. Powrót do łask cara i wysokie stanowisko, jakie otrzymał, roz-

pętało w nim dziką ambicję odegrania roli zbawcy Rosji przed niebezpieczeństwem polskim. Żywił on straszną do Polaków nienawiść, a mając władzę nieograniczoną, postanowił dać upust swym instynktom mordercy.

Już w drodze do Wilna, zatrzymawszy się w Dynaburgu, kazał rozstrzelać młodzieńckiego hr. Leona Platę, który przebywał w tej twierdzy, a oskarżony był o organizowanie powstania w Witebszczyźnie i o bohaterski napad pod Krasławiem na rosyjski konwój, wiozący transport broni i amunicji.

Było to pierwsze rozporządzenie krwawego wielkoroźdca i pierwszy trup na drodze jego nowej działalności.

Dnia 26 Maja Murawjew przybył do Wilna. Nazajutrz do zwołanych na jego żądanie urzędników wygłosił przemowę, pełną brutalnych wymysłów i obelg, a zwracając się do jednego z marszałków szlachty, wręcz zagroził mu szubienicą. Następnego dnia zgromił duchowieństwo katolickie, wybuchnął strasznym gniewem na niewinną uwagę biskupa Krasieńskiego i groźnie zapowiedział, że bez miłosierdzia będzie ścigał wszelkie spiski i bunty. I zgodnie z tą zapowiedzią rozpoczął swe rządy. Wspierany przez zgraję wyzutych z czci i sumienia czynowników, całą Litwę napełnił wnet przerażeniem i grozą.

Szlachtę i duchowieństwo oddał pod dozór włościan, z których po wsiach organizował strażę, a dla tem skuteczniejszego zwalczania „buntu”, utworzył specjalny urząd wojenno-policyjny, którego zadaniem było ściganie powstańców i wogóle jednostek podejrzanych. Majątki nieprawomyślnych obywateli kazał Murawjew palić i równać z ziemią, a całą ludność

takiej majątności wysiedlać przemocą na Sybir. Za najmniejsze przewinienia nakładano na winnych rujnujące kontrybucje, byle podejrzenie starczyło, by dostać się do więzienia lub zawisnąć na szubienicy. Jakoż sądy polowe czynne były nieustannie, a sam Murawjew dawał przykład, w jaki sposób postępować należy z „buntownikami”.

Oto jeszcze przez jego przyjazdem sąd wojenny skazał na 10 lat ciężkich robót młodzieńckiego księdza, Stanisława Iszorę za odczytanie z ambony dekretu o uwłaszczeniu włościan. Gdy wyrok ten przedstawiono do zatwierdzenia Murawjewowi, zmienił on niepraktykowanym nigdzie na świecie obyczajem karę ciężkich robót na śmierć przez rozstrzelanie i wyrok kazał wykonać publicznie, w samo południe, aby cała ludność Wilna mogła być świadkiem strasznej egzekucji. Po Iszorze przyszła kolej na księdza Ziemackiego, 70-letniego starca, a później już tracenia w Wilnie stały się niemal codziennym zjawiskiem.

Ku rozpaczcy patryjotów powieszony został ujęty wraz z Sierakowskim dzielny partyzant Kołyszko, a 27 czerwca stracono publicznie Sierakowskiego, nad którym w oczach nieprzeliczonych widzów, kat pastwił się jeszcze przed samą śmiercią.

A jednak pomimo strasznych rządów Murawjewa, powstanie na Litwie trwało w dalszym ciągu i walka zajadła toczyła się bez przerwy. Ksiądz Mackiewicz wraz z Laskowskim po klęsce Sierakowskiego zebrał rozbitków i wkrótce stał znów na czele tysiąca ludzi. Inni partyzanci, dowodząc nieraz maleńką garstką, kryli się po lasach i szarpiąc a niepokojąc wysyłane przeciw nim wojska, przedłużali walkę, pomnąc, że krew w powstaniu przelana, ma zakreślić granicę nie-

podległej Polski. Obok klęsk i porażek odnosili powstańcy niejednokrotnie zwycięstwa, a wśród tych uwagę zwróciły na siebie zwycięstwa odniesione kilkakrotnie przez Romualda Traugutta w powiecie kobryńskim. Ten dzielny i odważny dowódca wypłynąć miał niebawem na widownię szerszą i w dziejach powstania odegrać wielką a niezapomnianą rolę.

Mniejszą siłę, niż na Litwie, wykazało powstanie na Rusi, nad którą dowództwo naczelne otrzymał generał Wysocki. Miał on wkroczyć na Podole z kilkoma oddziałami, zorganizowanymi w Galicji i wystąpieniem swoim rozpocząć tam walkę. Jednocześnie według ułożonych planów winien był przedostać się na Podole oddział pułkownika Miłkowskiego (głośnego później powieściopisarza Teodora Tomasza Jeża), który tworzył hufiec zbrojny w Turcji i Rumunji, a miał przez Bessarabję przedostać się na plac boju. Ale Wysocki zaledwie jeden nieliczny oddziałek zdołał wyprawić w owym czasie z Galicji, a Miłkowski natrafił na opór rządu rumuńskiego, który powstańców potraktował, jak bandę rabusiów. Pod Kostangalją wojska rumuńskie w sile 1200 głów otoczyły Miłkowskiego, który wiódł zaledwie 200 ludzi. Wezwany do złożenia broni, Miłkowski nie stracił fantazji, lecz nie bacząc na przeważające siły, uderzył na Rumunów i zmusił ich do ucieczki. Niestety, powstańcy byli niestety znużeni, a wojska rumuńskie po dwóch dniach znowu zagroziły im drogę. Miłkowski, nie widząc możliwości przedostania się w takich okolicznościach do Bessarabji, złożył broń i wraz z całym oddziałem oddał się Rumunom do niewoli.

Nie udała się również projektowana przez młodego Garibaldięgo, syna świetnego wojownika i wyjarz-

miciela Włoch, ekspedycja legionu zagranicznego, który miał wylądować w Odesie.

W ten sposób powstanie na Rusi pozostawione zostało swoim własnym siłom.

W Kijowszczyźnie zaledwie tydzień trwało powstanie. Oddziały powstańcze prócz wojska musiały walczyć z chłopstwem. Po kilku drobnych a szczęśliwych utarczkach wszystkie złożyły broń. Dowódcy, jak Władysław Padlewski, ojciec wojewody płockiego, Zygmunta, Zieliński, Olszański zostali rozstrzelani a szlachta polska na Ukrainie musiała zapłacić rządowi pięć milionów kontrybucji.

Komitet, kierujący walką na Rusi, nie poprzestał na tworzeniu zbrojnych oddziałów, lecz postanowił nadto wśród ludu na Ukrainie rozwinąć agitację na rzecz powstania. Garść młodzieży kijowskiej, gorącej, zapalnej i ofiarnej, a wierzącej głęboko w możliwość wywołania ruchu ludowego, wyruszyła z Kijowa pod wodzą Antoniego Jurjewicza i za pomocą mów, pism, broszur, oraz manifestu, nazwanego *Złotą Hramotą*, a zapowiadającego uwłaszczenie włościan, próbowała lud porwać i zachęcić do walki. Dzielna młodzież wędrowała od wsi do wsi, ale nie zdołała nigdzie chłopów poruszyć. Przekonała się niebawem, że lud nie tylko nie myśli o powstaniu, ale z podełba spogląda na agitatorów, a tu i ówdzie na ich widok zaciska pięści, a nawet zbroi się w cepy, widły i kosy. Pomimo tak wrogiego usposobienia Jurjewicz szedł naprzód wraz ze swoim oddziałem. Lecz w miarę tego, jak posuwano się w głąb kraju, wzmagał się wrogie nastrój chłopów i sytuacja młodzieży stawała się coraz straszniejsza. Gdy przebywszy sto kilkadziesiąt wiorst drogi, Jurjewicz wraz z 20 towarzyszami

mi wkraczał do wsi Sołowjówka w powiecie radomskim, osaczyła go ciżba rozjuszonego chłopstwa. Straszna wrzawa podniosła się w samej Sołowjówce i wsiach sąsiednich, dookoła zapłonęły rozpalone ogniska, a dzwony cerkiewne uderzyły na alarm. Spieniona fala ludzka otoczyła maleńki oddziałek. Śmierć zajrzała w oczy garście straceńców. Wprawdzie byli uzbrojeni, posiadali broń palną i z łatwością mogli się przedrzeć przez ruchomy wał ludzki, grożący im zagładą. Jakoż w oddziałku odezwał się głos, by dać ognia i przerznąć się przez wrogi tłum lub poledz, lecz poledz z bronią w rękę. Ale idealna młodzież odrzuciła ten projekt. Mieliz strzelać do ludu, który pragnęli pociągnąć ideą wolności?

— Nie — miał zawołać Jurjewicz — zginiemy, ale tradycja po nas pozostanie!

Więc gdy kilku starszych chłopów wystąpiło z tłumem, żądając, aby oddział broń złożył, życzeniu temu uczyniono zadość. Następnie śmiertelnie znużona długim marszem młodzież udała się do wskazanej chaty, by choć chwilę odpocząć. Zaledwie jednak przekroczyła progi domostwa, gdy rozległ się strzał. Zdziwiony oddziałek wybiegł przed chatę, a wtedy jakby na umówiony sygnał, runęła na nieszczęsnych młodzieńców rozwścieczona czerń i wzniosłszy koły, cepy, kosy, rozpoczęła straszne dzieło zniszczenia i zbrodni. Dwunastu studentów padło pod ciosami morderców, a reszta w najokrutniejszy sposób okaleczona i obrabowana, wydana została nadciągającemu oddziałowi kozaków.

Takim strasznym epizodem upamiętniło się nieudane powstanie na Ukrainie.

Podole nie ruszyło się wcale.

Natomiast na Wołyniu wystąpiło do boju kilka niewielkich oddziałów, a dużą sławę zyskał Edmund Różycki, syn głośnego dowódcy jazdy wołyńskiej w roku 1831-ym.

Na rozkaz carski, porwany on został z domu swych opiekunów w 12-ym roku życia i oddany do korpusu kadetów. Przebywał później na Kaukazie, przydzielony, jako oficer wybitnych zdolności do głównego sztabu, następnie ukończył chlubnie Akademię wojskową w Petersburgu i otrzymał stopień kapitana. Ale Różycki, acz od dzieciństwa przebywał w obcym otoczeniu, był szczerym patriotą i nie myślał szukać w wojsku carskiem kariery. Więc wziął dymisję i zamieszkał w Żytomierzu. Gdy w Kongresówce rozpoczęło się powstanie, Różycki, mianowany generałem, zorganizował własny oddział, a nie mogąc doczekać się zapowiedzianego wkroczenia Wysockiego na czele sił znaczniejszych, postanowił przedrzeć się na Podole i zachęcić je do walki. Siły Różyckiego wynosiły 280 ludzi, przeważnie jazdy, niezgorzej uzbrojonej i wyćwiczonej jako tako. Po drodze stoczył on szczęśliwą bitwę pod Worobjówką w powiecie zwiahelskim i pod Laszkami w okolicach Zasławia, a 26 maja zaatakowany został pod Salichą.

Moskale prowadzili do boju 3 rotę piechoty i 120 kozaków, a więc byli niemal trzy razy silniejsi, niż cały oddział Różyckiego. Pomimo to z wielką postępowali ostrożnością. Wyszedszy poza wieś, wysunęli łańcuch tyraljerów, na lewem skrzydle ustawili kozaków, a na prawem zaczęli formować czworobok piechoty. Ale Różycki nie czekał, aż uformuje się nieprzyjaciel, lecz rzucił do ataku 120 jeźdźców, którzy mimo ognia tyraljerów i rotowych salw piechoty,



MICHAŁ Hr. MURAWJEW (WIESZATIEL)

w największym pędzie uderzyli na jeżącą się bagnetami ścianę czworoboku. Kozacy na sam widok jazdy polskiej, sunącej śmiało ku regularnej piechocie, rzucili się do lasu i haniebnie zemknęli z placu boju, a piechota nie wytrzymała szalonego natarcia. Tratowana kopytami koni, rąbana szablami, kłuta lancami, wreszcie ogarnięta paniką na widok nowego oddziału jazdy, pędzącego swoim na pomoc, zaskłała gęstym trupem plac boju i rzuciła się do ucieczki. Pogrom był zupełny. 200 żołnierzy i 3 oficerów stracili Rosjanie, gdy ze strony polskiej padło zaledwie 12 zabitych i 21 rannych.

Zwycięstwo pod Salichą wskrzesiło sławę jazdy polskiej i było może najpiękniejszym zwycięstwem, jakie powstańcy przez cały czas walki odnieśli.

Niestety, zwycięstwo to nie ułatwiło Różyckiemu sytuacji. Osaczony ze wszystkich stron przez przeważające wielokrotnie siły rosyjskie, nie widział możliwości dalszego prowadzenia wojny bez nowych posiłków. A w tym czasie otrzymał właśnie wiadomość, że Wysocki, na którego liczył, posiłków nie przyśle. Wobec tego zdecydował się schronić na terytorjum austriackie — i już dnia 28 maja wkroczył pod Pałczyńcami do Galicji.

W taki sposób zakończyło się powstanie na Rusi.

A na Litwie srożył się Murawjew, skrzypiały szubienice i rozlegał się nieustannie szcęk wleczonych na Sybir łańcuchów. Pomimo to bory i puszcze litewskie rozbrzmiewały odgłosami toczonych bojów. Była to już walka bez nadziei zwycięstwa. Ale sfery, kierujące powstaniem, przedłużały tę walkę, nie wątpiły bowiem, że zbrojna interwencja Europy upokorzy carską Rosję i zmusi ją do uznania praw walczącego narodu...

XIII.

NA PRZEŁOMIE.

Tymczasem rząd rosyjski po chwilowych wątpliwościach, jak zachować się w stosunku do zbuntowanej Polski, powziął stanowczą decyzję stłumienia ruchu zbrojnego najkrwawszymi środkami. W społeczeństwie rosyjskiem, które początkowo bądź sprzyjało powstaniu, bądź obojętnie traktowało wszystko, co dzieje się w Polsce, sfery rządowe postanowiły rozpalic nienawiść do Polaków i oburzeniem opinii rosyjskiej odpowiedzieć na chwiejną akcję dyplomatyczną mocarstw zachodnich. Jakoż z inicjatywy rządu posypały się do tronu wiernopoddańcze adresy, potępiające bunt polski. Prasa uderzyła na alarm i, broniąc całości granic państwa rosyjskiego, starała się w oczach świata zozydzić powstanie. Rozpoczęła się na wielką skalę kampanja przeciw Polsce, a w tej kampanji odznaczył się szczególną zawiętością profesor uniwersytetu moskiewskiego i redaktor „Moskowskich Wiedomości”, J. N. Katkow. Niedawno jeszcze liberał, sprzyjający Polakom, zwolennik daleko sięgających reform w Królestwie, zrzucił z siebie skórę liberalną i ukazał drapieżne pazury szowinizmu. Na szpaltach swojej gazety wypisywał najnik-

czemniejsze na Polaków potwarze i oszczerstwa. Każde jego słowo syczało nienawiścią, z każdego artykułu tryskała niczem niepomiarowana wściekłość. Katkow domagał się, by rząd zmienił metodę rządzenia w Polsce, oskarżał władze rosyjskie w Polsce o słabość i żądał, by u steru w Królestwie stanęli ludzie bezwzględni, silni, nie przebierający w środkach walki z nienawistnym powstaniem.

Za głosem Katkova poszli inni publicyści, a pod ich wpływem opinia rosyjska wykazywała coraz większą zajadłość i coraz większą w stosunku do Polaków nienawiść.

W. ks. Konstanty na stanowisku namiestnika pomawiany był o słabość, a w miarę tego, jak przedłużała się walka, o niedołęstwo, a nawet o sprzyjanie sprawie powstania. Zaczęto knuć intrygę, by brata carskiego usunąć z zajmowanego urzędu i zamienić go człowiekiem typu Murawjewa. Ale Konstanty, któremu śniła się korona polska, nie myślał ustępować z placu. Pomimo wszystko nie tracił nadziei, że okoliczności się zmienią i pozwolą mu jeszcze odegrać wybitniejszą rolę. Lecz w Petersburgu stracił zaufanie. Więc przysłano mu do Warszawy pomocnika i opiekuna w osobie generała Berga, który śledził każdy krok namiestnika, kopał pod nim dołki w Petersburgu i zawnazasu przygotowywał się do tego, by zająć jego miejsce.

Mobilizowała się Rosja, by wystąpić do walnej z powstaniem rozprawy, a w samem społeczeństwie polskiem brak widocznych powodzeń i na polu walki i na polu dyplomacji budził coraz większy niepokój. Burzyły się usunięte od wpływu na bieg wydarzeń elementy rewolucyjne i potępiały czynności dy-

plomacyjne istniejącego rządu. Mierosławski, zjechawszy do Krakowa, rościł sobie w dalszym ciągu prawo do dyktatury i przez pisma ulotne oraz oddaną mu młodzież snuł przeciw rządowi intrygę. Ignacy Chmieleński powołał w Krakowie do życia specjalną organizację, której zadaniem było obalenie rządu, a w Warszawie działała w tym samym celu tak zw. komisja powstańcza. Rewolucjoniści zarzucali rządowi, że nie postępuje w duchu radykalizmu społecznego, że daje się wodzić na arystokratycznym pasku dyplomacji, łudzącej jeno kraj nadzieją, że powstanie liczyć może na pomoc zagranicy. A gdy przedstawicielstwo zagraniczne powierzył Rząd Narodowy księciu Władysławowi Czartoryskiemu, oburzenie czerwonych nie miało granic. Piorunował przeciw temu Mierosławski, hałasowali z tego powodu jego zwolennicy, a czynniejsi działacze w Warszawie postanowili obalić istniejący rząd i władzę pochwyć w swe ręce.

Zamach stanu przygotował pomocnik naczelnika miasta Lempke, młodzieniec energiczny, namiętny, zuchwały, cieszący się wielką popularnością w sferach drobnomieszczańskich i rzemieślniczych. Zamach odbył się bardzo prosto. Lempke i jego przyjaciele, stanąwszy na czele oddziału sztyletników, wtargnęli w dniu 25 maja na posiedzenie rządu i pod grozą śmierci zażądali od obecnych, aby wydali im pieczęcie i wszystkie dokumenty rządowe, sami zaś ustąpili.

Żądanie to spełniono i twórcy zamachu powołali do życia rząd nowy, czerwcowym rządem w dziejach powstania nazywany. Z utworzeniem nowej władzy wiele kłopotu mieli rewolucjoniści, bądź ludzie młodzi, nie czujący w sobie dość siły, by sterować powstaniem, bądź też ścigani i tropieni przez policję. Wresz-

cie Lempkę skleił nowy rząd, a w skład jego weszli dwaj prawnicy: Piotr Kobylański i Henryk Bąkowski, dawny sekretarz senatu Franciszek Dobrowolski, asesor sądowy Erazm Malinowski. Sekretarzem rządu pozostał obdarzony fenomenalną pamięcią Józef Janowski. Ponad rządem stanął Komitet Ocalenia Publicznego, mający przestrzegać rewolucyjności rządu i spełniać rolę najwyższego trybunału.

Nowy rząd rozpoczął swoją działalność od wydania szeregu dekretów, których treść rewolucyjna nie odpowiadała sile, jaką rząd rozporządzał i skutkiem tego martwą pozostała litera. Okazało się niebawem, że nowej władzy brak energii i sprawności w działaniu. Do organizacji wkradł się chaos, a niezadowolenie społeczeństwa, wobec braku widomych powodzeń, powiększyło się tylko. W takich warunkach nowa władza nie mogła trwać długo. Poszczególne ogniwa organizacji zaczęły działać na własną rękę, posłuch był coraz mniejszy, a zaszła okoliczność, która kres położyła istnieniu rządu czerwcowego. Oto student uniwersytetu petersburskiego, niezwykle śmiały i przedsiębiorczy rewolucjonista, Aleksander Waszkowski, na własną rękę dokonał czynu, który stał się głośnym w Europie. Przy pomocy urzędników i woźnych Kasy Głównej Królestwa Polskiego skonfiskował w tej instytucji na rzecz powstania z górą 24 miliony złp. Wobec braku środków pieniężnych była to suma olbrzymia, mogąca powstaniu wielkie oddać usługi. Ale Waszkowski, ukrywszy pieniądze, nie oddał ich istniejącej władzy, lecz oświadczył, że złoży ją do dyspozycji nowemu rządowi, wszakże pod warunkiem, że ten rząd utworzy Karol Majewski, wypuszczony w tym czasie z więzienia.

Majewski, dobrze znany w kołach rewolucyjnych, acz nosił płaszcz na dwóch ramionach, a charakteru był słabego, cieszył się opinią patryjoty i wytrawnego działacza.

Więc członkowie rządu czerwcowego ustąpili, a Majewski zabrał się do dzieła.

Pod jego wpływem grono poważnych i ustosunkowanych obywateli postanowiło wyłonić rząd z ludzi, znanych w kraju, a że wierzono podówczas w bliskość interwencji europejskiej, więc mandaty członków rządu oddano najwybitniejszym wśród tych, co zgodzili się na objęcie władzy. W ten sposób rząd mieli składać: Tadeusz ks. Lubomirski, Stanisław hr. Zamoyski, znany obywatel Karol Kurtz, bankier Kronenberg i Majewski. Ale owi wpływowi ludzie, acz przyjęli mandaty, nie zdecydowali się przystąpić do czynu w niezwykle ciężkich i twardych warunkach działania konspiracyjnego. Postanowili oni wystąpić na widownię wtedy, gdy okoliczności pozwolą ujawnić się rządowi, tymczasem zaś polecili Majewskiemu, aby sformował rząd zastępczy.

Majewski zastosował się do tego życzenia i utworzył rząd faktyczny.

Do rządu zostali zaproszeni: nauczyciel Władysław Gołembski, reprezentujący kierunek Jurgensa*), Stanisław Krzemiński, zwolennik Mierosławskiego, czerwieniec zapalony, dusza szlachetna, podniosła i czysta, Awejde i Józef Janowski, który przetrwał wszelkie burze i odmiany, a obznajmiony z organizacją, dokładny, pracowity, zadziwiający wszystkich swoją niezwykłą pamięcią, dla każdego rządu był

*) Jurgens był aresztowany i podczas powstania życie zakończył w więzieniu.

siłą pożądaną. Jednakże skład tego rządu zmieniał się, a ustępujących członków zastępowali w różnym czasie: Stanisław Łaguna, Włodzimierz Milowicz i Józef Grabowski.

Rząd lipcowy, wysoce umiarkowany w zasadach, wykazał olbrzymią sprawność organizacyjną i bardzo szybko zdołał uporządkować wewnętrzne stosunki organizacji w całym kraju, utworzyć przedstawicielstwa zagraniczne, zorganizować wzorowo potajemną prasę, pozławić finanse, uformować policję, która zadziwiała swoją sprawnością, oraz straż bezpieczeństwa, złożoną ze „sztyletników”, obowiązanych do wykonywania wyroków władzy. Na czele policji stanął Jan Karłowicz, zwany Jankiem Białym, sztyletnikami kierował Paweł Landowski. Pod opieką Janowskiego działała również „ekspedytura“, mająca na swoje usługi cały sztab urzędników poczty i kolei, wszelkich biur, sklepów, zakładów. I ekspedytura działała znakomicie, a kierował nią z nadzwyczajną energją Roman Żuliński...

Wkrótce po utworzeniu nowego rządu do Warszawy przyszła okropna wieść o klęsce, którą poniósł generał Zygmunt Jordan, stojący na czele silnego oddziału, zorganizowanego w Galicji. Część tego oddziału, pobita pod Gacami w obwodzie stopnickim, wróciła do Galicji, gdzie powstańców rozbroiło wojsko austriackie, a sam Jordan, który szczególnie wśród białych ogromne budził nadzieje, na głowę został pobity pod Komorowem. Gęstym trupem zasłali powstańcy krwawe pole walki, a sam dowódca, pod którym padły w czasie bitwy dwa konie, zaledwie z czterema towarzyszami zdołał przejść granicę. Równie straszną klęską zaznaczył się początek lipca. Oto generał Wy-

socki doprowadził nareszcie do skutku wyprawę na Wołyń. Blisko 1,300 powstańców, zorganizowanych i uzbrojonych niesłychanym nakładem pracy i kosztów, uderzyło na Radziwiłłów i pomimo męstwa dowódców, a przede wszystkim pułkownika Strusia (tak zwał się zasłużony organizator sił zbrojnych w Galicji, doktor Jan Stella Sawicki), z niesłychanemi wycofało się stratami. Z krwawej topieli zaledwie 600 ludzi ocalało.

Podnosiła się siła zbrojna powstania, ale jednocześnie i rząd carski coraz większe siły rzucał na plac boju i coraz energiczniej prowadził walkę z powstaniem.

Pomimo nadzwyczajnych ofiar i poświęceń, coraz widoczniejszem się stawało, że bez pomocy obcej powstanie padnie w nierównych z Rosją zapasach. Podtrzymywano przeciw walkę, wierzono bowiem głęboko, że Europa upomni się o Polskę, że powstanie samem swoim trwaniem spowoduje powikłania międzynarodowe, że Francja, której zabiegi o zawarcie sojuszu z Rosją nie dawały rezultatów, wystąpi z interwencją i wydobędzie miecz w obronie szarpiącego swoje pęta narodu.

Ale rzeczywistość rozwiła różowe nadzieje.

Mocarstwa zachodnie, jak było do przewidzenia, nie pod kątem widzenia interesów polskich, lecz własnych traktowały powstanie.

W Anglii minister Russel oświadczył w izbie lordów, że rząd angielski, mimo całej sympatji dla Polski, nie może się domagać jej wskrzeszenia w granicach z r. 1772, gdyż takie domaganie się musiałoby wywołać wielką wojnę, której rozsądek nakazuje unikać. Rząd francuski początkowo potępił wybuch

zbrojny, później, gdy interesy Francji, zależne od zmiennych okoliczności międzynarodowych, zbiegły się z interesami Polski, rzucił półoficjalnie pamiętne hasło: *durez* (trwajcie)! Ale poza tem hasłem nie okazywał powstaniu nawet poparcia dyplomatycznego. Wreszcie w dniach 17 i 18 czerwca rządy angielski, francuski i austriacki złożyły w Petersburgu noty dyplomatyczne w sprawie polskiej. Nadeszła chwila, do której niesłychaną wagę przywiązywali kierownicy powstania, chwila, na którą cały naród z zapartym czekał oddechem. A im większe do wystąpienia mocarstw przywiązywano znaczenie, tem głębsze rozczarowanie ogarnęło umysły. Owe noty bowiem domagały się jedynie powszechnej dla powstańców amnestji, powołania w Królestwie reprezentacji narodowej, z zakresem władzy, określonej mniej więcej konstytucją 1815 r., utworzenia w Polsce polskiej administracji, przywrócenia praw należnych językowi polskiemu i uregulowania w Królestwie sprawy poboru do wojska.

O Litwie i Rusi noty nie wspominały ani jednym słowem, nie znalazły słowa protestu przeciw wyjątkowym prawom i prześladowaniom Polaków w tych krajach, przemilczały nawet krwawe rządy Murawjewa.

Oto, jaką pomoc dawała powstaniu Europa!

Jej noty były jałmużną, ciśniętą walczącemu narodowi, akcją dobroczynną, ochłapem miłosierdzia, lecz nie były dowodem, że sprawa polska leży tym mocarstwom na sercu. Z not tych wyciągnął konsekwencje rząd rosyjski, dla niego bowiem było rzeczą jasną, że państwa zachodnie, zamykające w swoich notach sprawę polską w granicach wewnętrznej sprawy rosyjskiej, nie będą kruszyły kopji w obronie

powstania, nie wystąpią z jego powodu do walki zbrojowej. Więc na otrzymane noty gabinet petersburski odpowiedział w sposób szorstki, brutalny, twierdząc, że żądania mocarstw wprowadzone już zostały w Królestwie, że nie zdołają one uśmierzyć Polaków, dążących do panowania nad prowincjami, w których większość stanowi prawosławna ludność rosyjska. Projekt konferencji mocarstw, które uczestniczyły w kongresie wiedeńskim, rząd rosyjski odrzucił z całą stanowczością.

Na tę szorstką notę szorstko odpowiedział gabinet wiedeński, a odpowiedź Wiednia bardzo przychylnie powitano w Paryżu. Zdawało się, że pomiędzy Austrią a Francją dojdzie do aljansu i że aljans ten zwróci się przeciw Rosji.

Więc choć noty czerwcowe w sferach polskich przygnębiające sprawiły wrażenie, politycy polscy na jedną chwilę nie przestawali się łudzić, a złudzenia te podtrzymywała dyplomacja francuska. Nadzieja, że Francja i Austria wystąpią wspólnie przeciw Rosji, nie dała się wytrawić z serc polskich, więc wyteżano siły, by powstanie prowadzić dalej. Dzięki tym wysiłkom, na placu boju ukazywały się ciągle nowe oddziały i we wszystkich województwach ożywiła się akcja zbrojna.

Ze swojej strony i rząd rosyjski słał na plac boju nowe wojska i z okrucieństwem coraz większym występował do walki z powstaniem. Teror Murawjewa zaczęto stosować w Królestwie. Dnia 17 czerwca powieszono w Warszawie rewolucjonistę Henryka Abichta i księdza Agrypina Konarskiego, który pełnił czynności kapelana w jednym z oddziałów powstańczych. Gdy arcybiskup Feliński zaprotestował przeciw temu okrucieństwu, rozkazano mu wyjechać do Petersburga, a następnie wywieziono go do Jarosławia nad Wołgą.

Wielopolski, którego trzymano na stanowisku, do-
póki była nadzieja, że Polacy broń złożą, stracił rów-
nież swoje znaczenie i wpływy w Petersburgu. Atako-
wany od chwili ukazania się na widowni przez swo-
ich, teraz stał się celem pocisków podrażnionej opinii
rosyjskiej. Posępny margrabia doskonale rozumiał,
że rola jego skończona. Więc zażądał urlopu, które-
go też skwapliwie mu udzielono.

Dnia 16 lipca, pod konwojem straży rosyjskiej,
opuścił Wielopolski Warszawę. Wyjechał za granicę
i nigdy już nie miał powrócić do kraju. Osiadłszy
na stałe w Dreźnie, zamknął się w sobie i, oddzie-
liwszy się od świata, nie widując nikogo, nie wspo-
minając o wydarzeniach, w których odegrał tak pa-
miętną rolę, przepędził lat kilkanaście na ponurych
rozmyślaniach. I on chciał służyć narodowi, ale wbrew
narodowi. Nie rozumiał ducha czasu, nie rozumiał
własnego społeczeństwa i przez własne społeczeństwo
do końca nie był zrozumiany. Wyniesiony przez fa-
le niezadowolenia na szczyty, przez tę samą falę zmie-
ciony został z widowni.

Po Wielopolskim przyszła kolej na w. ks. Kon-
stantego, którego nominacja miała zwiastować łaskę
carską Polakom i zapoczątkować szczęśliwszą erę
w dziejach narodu. Ale w. książę, mimo, iż dawano
mu do poznania, że car nie chce, by rządził Pol-
ską, uparcie trzymał się w Warszawie i nie myślał
opuszczać zajmowanej placówki. Marzyła mu się ko-
rona polska. Są ślady, że brat carski przez osoby
trzecie starał się wy badać w swoim czasie Langiewicza.
Później usiłował utworzyć w społeczeństwie polskim
obóz powstaniu przeciwny, wreszcie, za pośrednictwem
rektora Mianowskiego, zapragnął porozumieć się z Rzą-

dem Narodowym. Ale układy nie doprowadziły do rezultatu. Obie strony nie miały do siebie zaufania, a w takich warunkach porozumienie było niemożliwym. A tymczasem zniecierpliwiony car zawezwał go do siebie. Wówczas Konstanty zrozumiał, że grunt chwieje się pod jego nogami, że wszystkie jego plany wałą się wprzepaść. I teraz przecież nie dał za wygraną. W głowie jego zrodził się plan śmiały. Oto zaproponował on carowi, aby porozumieć się z bawiącym w Paryżu Andrzejem Zamoyskim i ofiarować mu po Wielopolskim stanowisko naczelnika rządu. Wyobrażał sobie, że wyniesienie na tę godność Zamoyskiego olbrzymie uczyni wrażenie w społeczeństwie polskim, że popularna postać „pana Andrzeja“ uspokoi umysły i przyczyni się do porozumienia pomiędzy walczącymi stronami.

Car po namyśle zatwierdził ten projekt.

A w książkę, wygrawszy ostatnią kartę, pełen otuchy i nadziei, wrócił do Warszawy. Sprawę porozumienia się z Zamoyskim powierzył pułkownikowi Bontemps, który miał oświadczyć Zamcyskiemu, że w razie odrzucenia propozycji, którą mu czyni, w książkę natychmiast opuści Warszawę, a w całym kraju rozpoczną się najokrutniejsze rządy wojenne.

Plan Konstantego zawiódł. Zamoyski stanowczo odrzucił propozycję. Więc Konstanty na żądanie carskie oddał rządy w ręce generała Berga, a sam wraz z całą rodziną udał się „na urlop“ do Krymu.

Teraz Berg stał się panem wszechwładnym. By stłumić powstanie, nie przebierał w środkach. Rządził postrachem i grozą, nie cofając się przed żadnym okrucieństwem.

A jednak powstanie trwało. Stłumione na Rusi, nie upadało na Litwie i rozrastało się w Kongresówce.

W Grodzieńszczyźnie walczył Walery Wróblewski, Kołupajło, Jundziłł i inni, na Żmudzi poniósł klęskę wojewoda Dłuski, ale bili się mężnie inni partyzanci, a na pierwsze miejsce wysunął się ksiądz Mackiewicz. Poniósłszy wraz z Laskowskim klęskę pod Montwidowem, Mackiewicz rozpoczął kampanję na własną rękę i walczył bohaterko pod Poniewieżem Kiejdanami, Krakinowem, Poszułatami.

W Wileńszczyźnie uwijał się Wysłouch, a w Królestwie wszystkie województwa przedstawiały jakby jeden ruchomy, zgiełkliwy obóz, rozbrzmiewający wrzawą wojenną. Mnóstwo drobnych oddziałków przebiegało kraj, niepokoiło nieustannie załogi rosyjskie i zmuszało je do ciągłej czujności.

Generał Taczanowski zorganizował w województwie kaliskiem lotne oddziały ułanów, które szybko przenosiły się z miejsca na miejsce i, unikając starcia z większymi siłami, niszczyły magazyny, utrudniały komunikacje, przejmowały gońców, rozbrajały pomniejszych patrole. Sam Taczanowski stoczył kilka szczęśliwych potyczek, lecz rozbity został pod Nieznanicami w obwodzie wieluńskim i po doznanej klęsce opuścił plac boju.

W województwie krakowskiem wielką sławą okrył się Zygmunt Chmieleński, brat znanego rewolucjonisty Ignacego, dawny kapitan wojsk rosyjskich i instruktor szkoły wojskowej w Genui. „Czortem” nazwali go Moskale. Chmieleński należał do tych nielicznych partyzantów, którzy sami szukali wroga i bynajmniej nie unikali bitew. Nieustraszony w boju, odznaczał się szybką orientacją i energją, która udzielała się jego

podkomendnym. Dnia 2 lipca w okolicach Olkusza pod Janowem Chmieleński napadł zniemacka dwie rotę nieprzyjacielskiej piechoty i sotnię kozaków, rozbił je doszczętnie i zmusił do ucieczki. W kilka dni później walczył pod Złotym Potokiem, a 28 sierpnia stoczył morderczą bitwę pod Rudnikami. W bitwie tej stracił 80 ludzi, ale zadał Moskałom straty bez porównania znaczniejsze. Po krwawej, a wielce zaszczytnej dla powstańców bitwie pod Obiechowem, oddział Chmieleńskiego, napadnięty pod Białą przez siły przeważające, rozproszył się na wszystkie strony. Lecz dzielny dowódca skupił wkrótce swoich żołnierzy i, stojąc na czele 500 ludzi, stoczył nową, znowu wielce morderczą bitwę pod Ciernem w obwodzie kieleckim. Zasypany ogniem armatnim i ulewą kul karabinowych, zdecydował się na odwrót, który najczęściej stawał się dla powstańców klęską. Ale Chmieleński umiał i w odwrocie żelazny utrzymać porządek. Piechota jego szła, jak na paradzie, do szeregów na jedną chwilę nie wkrađło się zamieszanie. Gdy jazda nieprzyjacielska szykowała się w polu i ruszała do ataku, piechota polska formowała się w czworobok i, najeżywszy bagnety, odpierała zwycięsko wszystkie ataki. Całą milę cofał się oddział, nieustannie w walce, nieustannie pod gradem kul, ale cofał się, jak żelazny wał, którego żadne wysiłki nie zdołały rozerwać. Moskale, zaściełając trupami drogę, zaprzestali sami pościgu. Nazajutrz Chmieleński, zaatakowany pod Wawrzynem, dzielną szarżą swej jazdy rozbił Moskali i zmusił ich do odwrotu. Następnego dnia bił się bohatersko pod Czarncą, a 30 września, skupiwszy pod swoim dowództwem inne

oddziały, razem w sile 800 ludzi, przyjął wydaną mu przez Moskali bitwę pod Melchowem.

Bój srożył się zacięty, szale zwycięstwa przechylały się to na jedną, to na drugą stronę, ale młody żołnierz w nowych oddziałach, źle wyćwiczony i nieoswojony z ogniem, uległ w końcu przewadze wojsk regularnych. Chmieleński wycofał się z bitwy, ale wycofał się, nie dopuszczając do rozbicia wojska, którym dowodził. Niestety, dzielny ten dowódca zachorował wkrótce i zmuszony był wycofać się z wiru walk i wrzawy bitewnej. Wyjechał dla poratowania zdrowia do Krakowa, ale powrócił niebawem i pod koniec października z nową energją stanął pod sztandarem powstania.

W województwie mazowieckiem potykał się Callier, którego zastąpił później mianowany wojewodą podpułkownik Michał Zieliński, odznaczyli się dowódcy poszczególnych oddziałów: Skowroński, Szumlański, a w Lubelskiem głośną sławą okrył się dawny rotmistrz dragonów rosyjskich, generał Michał Heydenreich, walczący pod przybranem nazwiskiem Kruka. Objąwszy komendę nad pomniejszych oddziałami, skupił pod swoim dowództwem 800 strzelców, 600 kosynierów i 200 jazdy. Z tą siłą dnia 4 sierpnia stoczył jedną z najpiękniejszych w powstaniu batalji pod Chruśliną. Wybrawszy doskonałą pozycję, pozwolił atakować się Moskałom, którzy dorównywali mu liczebnie, a mieli wojsko dobrze uzbrojone i posiadali trzy działa. Kilka razy porywali się Moskale do ataku, lecz zawsze z wielkimi stratami zmuszeni byli się cofać. Z kolei Kruk poprowadził do ataku kosynierów i całą kawalerję. Moskale nie wytrzymali natarcia i w największym popłochu rzucili się do

ucieczki. Bitwa toczyła się w otwartym polu na przestrzeni 12 wiorst, a trwała od godziny 11-ej do 7-ej wieczorem. Powstańcy bili się znakomicie, a dowództwo stanęło na wysokości zadania. Straty Moskali były ogromne. Na 100 furmankach przywieziono do Lublina rannych żołnierzy rosyjskich, nie licząc tych, co trupem zasłali rozległy plac boju. Ze strony polskiej stracono zaledwie kilku zabitych i kilkudziesięciu rannych.

Nazajutrz zwycięski Kruk posunął się do Urzędowa, by dokończyć świetnego zwycięstwa zupełnym pogromem. Ale wojska rosyjskie, na wieść o zbliżaniu się powstańców, gwałtownie rozpoczęły odwrót.

Dnia 8 sierpnia odniósł Kruk świetne zwycięstwo pod Żyżynem. Porażeni na głowę Moskale stracili 150 jeńców, 200 zabitych i rannych, a nadto wojenną pocztę z poważną sumą 198,000 rubli.

Kruk wyrósł na bohatera. Niestety, niedługo sprzyjało mu szczęście. Dnia 24 sierpnia pod Fajslawicami, stojąc na czele 1,500 żołnierzy, znużonych marszem, a nie mających dostatecznego zapasu amunicji, zaatakowany został przez 3,000 Moskali. Rozpoczął się bój nierówny, straszliwą zakończony klęską. Z górą 600 powstańców dostało się do niewoli i blisko 400 trupów zasłalo pole bitwy. Sam Kruk ledwie życie wyniósł z krwawej topieli, która pochłonęła tak wielką liczbę zwycięskich niedawno powstańców.

Pozatem dzielnie w Lubelskiem walczyli dowódcy oddziałów: Cieszkowski i Rucki, niestrudzenie uwijał się Borelowski-Lelewel, lecz i jemu niedługo dopisywało szczęście. Po wielu śmiałych napadach i zwycięskich utarczkach, napadnięty 6 września pod Batorzem, zginął rażony dwukrotnie kulą, a śmierć jego

wywołała popłoch w szeregach i przyczyniła się do porażki.

W innych województwach również stoczono mnóstwo większych i mniejszych utarczek, a choć wobec przemożnych sił wroga wiele z nich zakończyło się przegraną, widocznem się stawało, że żołnierz-powstaniec zyskuje z biegiem walki doświadczenie i coraz groźniejszym staje się przeciwnikiem. Ale brak środków pieniężnych, brak dostatecznej ilości broni i ludzi, obojętność ludu wiejskiego, który gdzieniegdzie tylko łączył się z powstaniem, wreszcie odosobnienie Polski i olbrzymie siły wroga nie rokowały powstaniu zwycięskiego końca.

A porażki na placu boju i porażki dyplomatyczne, które poniósł Rząd Narodowy, wzbudziły wrzenie w organizacji cywilnej. Gdy zaś poważni a znani obywatele, co mieli w odpowiedniej chwili ogłosić się rządem, wycofali się od współdziałania, Karol Majewski również postanowił ustąpić i oddać władzę pnącym się do niej czerwieńcom. Dnia 16 września wydał im pieczęcie oraz dokumenty, a nazajutrz powstał już rząd nowy, obiecujący prowadzić walkę najstraszniejszymi środkami.

Nowy ten rząd, wrześniowym nazywany, składał się z samych rewolucjonistów. Na jego czele stanął Ignacy Chmieleński, a obok niego władzę piastowali Adam Asnyk, Stanisław Frankowski, Wojciech Biechoński oraz Kaczkowski i Kokosiński.

Ale zmiana rządu wywołała tak wielkie niezadowolenie, że organizacja cywilna odmówiła swojego z nim współdziałania. Rząd znalazł się w położeniu tragicznem. Pomimo to przy pomocy organizacji miej-

skiej przystąpił do działania i szeregiem zamachów postanowił zastraszyć Moskali.

Zaczęto od zamachu na znieawidzonego generała Berga.

Dnia 19 września, gdy Berg przejeżdżał Nowym Światem, z pałacu Zamoyskiego huknął strzał, a następnie pięć bomb, rzuconych na bruk, pękło z ogłuszającym grzmotem. Cała ulica stanęła w tumanach dymu, w całym mieście podniósł się alarm. Pięć koni kozackich i 3 kozaków padło skutkiem wybuchu, ale Berg ocalał. W odpowiedzi na to żołnierze rzucili się do wnętrza pałacu, rozpoczęli straszliwy rabunek, aresztowali 227 mieszkańców i wszystkich uwięzili w cytadeli. Gospodarz domu, Stanisław hr. Zamoyski, skazany został przez sąd wojenny na 8 lat katorgi i konfiskatę całego majątku. Karę tę złagodzono później, ale pałac uległ konfiskacie, a na całe miasto nałożona została kontrybucja. Ponieważ wysokość kontrybucji zależna była od płaconych przez mieszkańców Warszawy podatków, więc rewolucjoniści postanowili spalić księgi podatkowe. Jakoż ratusz stanął w płomieniach i spłonął doszczętnie. W ślad zatem nastąpiły zamachy na urzędników policji, na szpiegów i żandarmów. Ze swojej strony mściły się władze rosyjskie wydawaniem zarządzeń, które życie w Warszawie czyniły niesłychanie ciężkim i wielce niebezpiecznym. Chwywanie przechodniów na ulicach przez gęsto krążące patrole, rewizje, areszty, wyroki śmierci były na porządku dziennym. Rozhulał się terror i coraz krwawsze święcił tryumfy. Generał Trepow, powróciwszy do łask, zajął znowu stanowisko oberpolicmajstra i szalał i mścił się na wszystkich, co w ręce jego wpadli.

A skutkiem krwawych wydarzeń, niemal codziennie wstrząsających przerażonym miastem, rozprzęgała się organizacja cywilna, rząd tracił powagę, jego członkowie, tropieni nieustannie, musieli wymykać się z Warszawy, a wprowadzeni na ich miejsce następcy powiększali tylko rosnące zamieszanie i chaos.

Powstanie chyliło się do upadku.

W takich czasach zjawił się w Warszawie człowiek nieustraszonego męstwa, niezwyklej woli i hartu, człowiek wielkiej podniosłej duszy i czystego, jak kryształ, charakteru. Skromny obywatel, lecz płomienny patrijota, widząc, co się dzieje, postanowił pochwycić władzę w swe żelazne ręce i wyczerpać wszystkie środki, by dźwignąć ginącą sprawę.

Dzięki niemu dogasające powstanie raz jeszcze strzelić miało pięknym i jasnym płomieniem.

Tym człowiekiem był dowódca powstania kobryńskiego, Romuald Traugutt.

XIV.

RZĄDY TRAUGUTTA.

Niezwykły ten człowiek liczył podówczas lat 37. Cichy, milczący, poważny, odznaczający się od lat najmłodszych wielką religijnością, która była jedną z wybitniejszych cech jego charakteru, służył w wojsku rosyjskiem, brał udział w wojnie krymskiej, a następnie, wzięwszy dymisję już w randze podpułkownika, zamieszkał w rodzinnym swoim majątku, w okolicach Brześcia Litewskiego. Do spisków nie należał. Stał zdala od ruchu, który rozpoczął się w Warszawie, ale gdy wybuchło powstanie, pociągnął w pole i objął dowództwo nad oddziałem, sformowanym w okolicach Kobrynia. Odznaczył się, jako stanowczy a pełen energii dowódca. Pod Horkami odniósł piękne nad Moskalami zwycięstwo, ale słaby oddział, którym dowodził, nie pozwolił rozwinąć mu w pełni swojego talentu. Rozgromiony na Polesiu Wołyńskim pod Kołodnem, czas jakiś musiał się ukrywać. Później, czując najwidoczniej powołanie do innej, wydatniejszej roli, wyruszył do Warszawy, gdzie pilnie się rozglądał. Rząd Narodowy mianował go generałem, a nadto jako nadzwyczajnego komisarza wysłał

za granicę dla dokonania inspekcji placówek powstańczych.

Traugutt, przyjąwszy misję, wyjechał do Galicji, a później zjawił się w Paryżu. Do Warszawy powrócił w pierwszej połowie października 1863 r. W drodze musiał wiele rozmyślać i wiele zastanawiać się nad położeniem upadającej sprawy. Niewiadomo dokładnie, jak spędził cały czas pobytu za granicą. To pewna, że z podróży przywiózł do kraju przeświadczenie, że walka winna trwać dalej, że wszystkie siły należy jej poświęcić. Chwilowe zbliżenie się Francji i Austrii, tym razem wymierzone przeciw Prusom, pozwalało spodziewać się nowych powikłań i nową otwierało przed Polską perspektywę. Tymczasem chaos, panujący w organizacji, nie wróżył powstaniu długiego istnienia. Więc Traugutt zdecydował się ująć w swe żelazne ręce sztandar walki i nie pozwolić mu upaść.

I przystąpił do dzieła.

Nieznany prawie w sferach spiskowych, cichy, mało mówny, skupiony w sobie, miał w swojej postaci, w swoim zachowaniu się, w sposobie traktowania ludzi coś uderzającego, coś, co zastanawiało, a zarazem budziło podziw i szacunek. Widać było od razu, że jest to człowiek, który słów na wiatr nie rzuca, który, gdy trzeba, może i umie rozkazywać.

Powziąwszy decyzję, dnia 17 października Traugutt zjawił się na posiedzeniu wrześnieowego rządu, wskazał jego członkom, do jak okropnego stanu doprowadzili powstanie i oświadczył im, że mogą dowolnie rozporządzać swojemi osobami, gdyż od tej chwili on sam obejmuje ster władzy. Oświadczenie to uczyniło wrażenie piorunujące. Ale w słowach Traugutta było

tyle powagi i siły, a zarazem tyle stanowczości, że nikt nie odważył się zaprotestować. Członkowie rządu w milczeniu wysłuchali zarzutów i, przyjąwszy do wiadomości decyzję, milcząco się rozeszli.

Traugutt tak pisał później o powodach, które skłoniły go do owego kroku.

„Widzieliśmy stan okropny i rozpaczliwy, widzieliśmy, jak promotorowie tego wszystkiego, po dokonaniu swego czynu, uciekli za granicę, uczciwsi zaś, którzy pozostali na miejscu, opuszczeni od wszystkich, sami nie wiedzieli, co dalej począć. Tylko nieograniczona ufność w Opatrzność i niewzruszona wiara w świętość sprawy naszej dodawała nam siły i odwagi, aby w takich okolicznościach przyjąć sponiewieraną władzę. Pamiętaliśmy o tem, że władza jest u nas aktem poświęcenia, a nie ambicji, i że poświęcenia tego odmawiać Ojczyźnie nie możemy, kiedy widzimy konieczność”...

Ująwszy w swe ręce władzę z tak czystych i szlachetnych pobudek, Traugutt nie utworzył utartym już zwyczajem nowego rządu, lecz powołał do życia wydziały i na ich czele postawił kierowników. Sprawy wewnętrzne otrzymał Rafał Krajewski, zagraniczne—Henryk Krajewski, wydział wojny objął Józef Gałęzowski, skarb—Józef Toczyski, prasę—Wacław Przybylski, pełniący zarazem obowiązki sekretarza Litwy. Marjan Dubiecki, najbliższy pomocnik Traugutta, został sekretarzem dla spraw Rusi, naczelnikiem miasta—Aleksander Waszkowski, a sekretarstwo stanu dostało się Józefowi Janowskiemu.

Dyrektorom wydziałów oświadczył Traugutt, że rządem jest on sam, że odtąd z nim bezpośrednio komunikować się będą i od niego otrzymywać roz-

kazy. W milczeniu wysłuchano tej decyzji — i Traugutt, skupiwszy niepodzielnie w swych rękach całą władzę faktyczną, władzę dyktatorską, przystąpił do dzieła.

Dyktator zamieszkał przy ulicy Smolnej w domu Nr. 1, w mieszkaniu Heleny Kirkorowej, a zameldował się, jako agent handlowy, Michał Czarnecki. W tej kryjówce, znanej zaledwie kilku najbardziej zaufanym osobom, żył odtąd i od rana do nocy z kamienną pracował wytrwałością. Zbiorowych posiedzeń nie urządzał nigdy, z kierownikami wydziałów widywał się na mieście, w lokalach z góry umówionych. Żył osamotniony, pomimo to wglądał w najdrobniejsze szczegóły pracy, opiekował się wszystkim i na wszystkim wyciskał swe piętno. W krótkim czasie odnowił organizację narodową, rozbitą przez rząd wrześniowy, uporządkował mnóstwo spraw zaniedbanych i zajął się siłą zbrojną, która sama sobie przez rząd ostatni była pozostawiona. Traugutt marzył o tem, by rozpierchnione oddziały powstańcze, działające na własną rękę bez żadnej spójni, przemienić w wojsko, podzielone na jednostki bojowe, według norm, w armji regularnej przyjętych, a do chaotycznej walki wprowadzić system i metodę, o której nikt dotąd w powstaniu nie myślał. Ale podjęte w Galicji usiłowania, by rzucić na plac boju nowe oddziały, nakazywały mu wyczekać, jakie rezultaty wyda rozpoczęta już akcja i do tych rezultatów dostosować swe plany.

Niestety, nadzieje, pokładane w nowej wyprawie, zawiodły.

W nocy z dnia 19 na 20 października, wsławiony dzielną partyzantką w Sandomierskiem, Dyjonizy Czachowski wkroczył do Królestwa na czele 500 piecho-

ty i 150 jazdy. W Rybnicy Moskałe, uprzedzeni o pochodzie Czachowskiego, ustawili się na dogodnej pozycji i wkraczający oddział przywitali morderczym ogniem karabinowym. Pomimo nieoczekiwanego napadu, Czachowski rzucił swoją piechotę do ataku na bagnety i zmusił Moskali do ucieczki. Ale później osaczony zewsząd, postanowił rozproszyć na pewien czas swe siły i w ten sposób wymknąć się z zasadzki. Tym razem plan zawiódł, a ofiarą jego stał się sam dowódca. We wsi Wierzchowiskach, do których zбочył, by odwiedzić swą córkę, napadli go nieoczekiwanie Moskale. Czachowski, nie tracąc przytomności, dopadł konia i próbował przerznąć się przez ciżbę nieprzyjaciół, ale otrzymawszy postrzał, zwałił się na ziemię. Ciężko rannego rozbestwione żołdactwo zarębało szablami.

Tak zginął jeden z najdzielniejszych i najwytrwalszych partyzantów, jakich wydało powstanie.

Oddział, który wyprowadził w pole, rozpierchł się i stracony został dla dalszej walki.

Wiele nadziei wzbudziła natomiast działalność, którą podjął na placu boju mianowany generałem Józef hr. Hauke, głośny pod pseudonimem Bossaka. Syn generała, który zginął w pamiętną noc listopadową 1830 roku, Hauke, oficer wojsk rosyjskich, odznaczony kilkakrotnie za waleczność w walkach na Kaukazie, był pułkownikiem, gdy wybuchło powstanie. Wziąwszy dymisję, udał się do Paryża i tutaj zetknął się z Trauguttem.

Mianowany naczelnikiem wojennym województw krakowskiego i sandomierskiego, Bossak udał się na plac boju w połowie października i wspierany dzielnie przez Zygmunta Chmieleńskiego, znakomicie pod-



ROMUALD TRAUGUTT

trzymał chylące się do upadku powstanie. Doznawszy porażki pod Jeziorkiem, wykonał udany atak na Opatów, w którym zdobył kasę powiatową, bił się pod Ociesękami, stoczył następnie kilka szczęśliwych potyczek, lecz 16 grudnia pobity został pod Bodziechowem.

W tej ostatniej bitwie Chmieleński otrzymał ranę i pochwycony został przez kozaków. Odwieziono go do Radomia i rozstrzelano w dniu 23 grudnia.

Bossak walczył dalej, ale tragiczna śmierć takich dowódców, jak Czachowski i Chmieleński, coraz większe siły rosyjskie, idące do boju z topniejącymi oddziałami powstańców, wreszcie zima i mrozy czyniły walkę coraz trudniejszą.

Zniechęcenie ogarniało umysły, rozpacz kołatała do dusz znękanych, tracących resztki wiary i nadziei. Ale Traugutt nie poddawał się rozpaczce. Nadludzki mi wysiłkami zaopatrywał szeregi w broń i odzież, porozumiewał się nieustannie z walczącymi oddziałami, udzielał dowódcom rad, wskazówek, dodawał ducha i odwagi.

Tymczasem położenie stawało się coraz cięższym i coraz tragiczniejszym.

W listopadzie 1863 roku Napoleon, otwierając sesję ciała prawodawczego, wygłosił mowę, w której odwołując się do rozumu mężów stanu w Europie, rzucił projekt powszechnego kongresu państw europejskich. W mowie tej był ustęp, dotyczący Polski.

„Musiałem wierzyć — mówił cesarz Francuzów — że sprawa polska jest przecież we Francji popularną, gdy się nie wahał skompromitować jednego z najpierwszych mocarzy na stałym lądzie i podnieść głos w obronie narodu, który w oczach Rosji jest zbunto-

wanym, ale w naszych oczach jest spadkobiercą prawa, zapisanego w dziejach i traktatach... Traktaty 1815 r. przestały istnieć. Potargano je w Grecji, Belgji, Włoszech, we Francji, nad Dunajem. Niemcy usiłują je zmienić, Anglja przekształca je przez odstąpienie wysp Jońskich, Rosja depcze je nogami w Warszawie”...

Mowa ta w całej Europie potężnie sprawiła wrażenie. Lecz projekt kongresu został odrzucony, a słowa, dotyczące Polski, nie wywołały żadnych ze strony Francji następstw. Ale serca, spragnione otuchy, czepiały się wszystkiego i ze słów Napoleona czerpały wiarę, że i dla Polski wybije godzina sprawiedliwości. Wiarę tę podtrzymywali dyplomaci francuscy w Paryżu. Więc ks. Czartoryski pisał do Warszawy, że powstanie nie może liczyć na pomoc przed wiosną, ale zapewniał, że równowaga europejska jest zachwiana i że na wiosnę spodziewać się należy wielkiej wojny. Wobec tego wzywał, by trwać i wszelkimi siłami podtrzymywać toczącą się walkę.

Więc Traugutt trwał.

Nie potrzebował zresztą zachęty, sam czynił wszystko, byle nie dać upaść wzniesionemu sztandarowi wojny o byt, o niepodległość i życie narodu. Widział on, jak nieznaczna część społeczeństwa bierze udział w tej strasznej i niszczącej wojnie, a rozumiał coraz lepiej, jak niepewna jest pomoc, którą nieustannie łudzili się politycy polscy. Traugutt myślał o wprowadzeniu na pole walki nowej potęgi. A tę potęgę widział w masach ludowych.

„Pamiętajcie—pisał w jednym ze swoich rozkazów do wojska że powstanie bez ludu jest tylko wojskową demonstracją w większych lub mniejszych roz-

miarach; z ludem dopiero zgnieść wroga możemy, nie troszcząc się o żadne interwencje, bez których oby Bóg miłosierny pozwolił nam się obejść”...

Jakoż 27 grudnia wydał dekret, ustanawiający specjalną administrację, która miała czuwać nad wykonaniem manifestu styczniowego o uwłaszczeniu włościan. Dekret brzmiał groźnie, zapowiadał bowiem, że każdy właściciel, zmuszający włościan do składania czynszu, lub odrabiania pańszczyzny, winien być karany śmiercią.

„Ktoby się odważył — pisał Traugutt — w czemkolwiek prawa te gwałcić, ma być uważany za wroga ojczyzny i to za wroga gorszego od Moskala i Niemca”...

Niestety, w położeniu ówczesnem niepodobieństwem było utworzenie władz, któreby czuwały nad wykonaniem dekretu. Lecz Traugutt nie zrażał się przeciwnościami i nie ustawał w pracy.

„W naszym dotychczasowem położeniu — pisał do Bossaka — często nie można wielu rzeczy zrobić, jak się rozumie i jak potrzeba; w takich razach robić, co tylko można, a zresztą śmiało spuszczać się na Boga... Przeciwnościami i niepowodzeniem nie zrażać się, spotykane przeszkody tylko zdwojoną energję do ich pokonania wywołać powinny...”

I w myśl tych zasad robił, co tylko było w jego mocy, pracując od rana do nocy, walcząc z trudnościami, które mnożyły się nieustannie. Z placu boju coraz częściej dochodziły go wieści o klęskach, a w Warszawie srożył się terror i za wrotami więzień nieustannie znikali ludzie, co trwali niezłomnie na swoich placówkach. Misterny gmach tajnej władzy drżał w swoich posiadach. Podtrzymywała go wola jednego człowieka. Rwęce się ciągle nici organizacji dykta-

tor nawiązywał nanowo, a w wojsku starał się podnieść poczucie honoru i obowiązku.

„Żołnierz nasz—pisał w jednym ze swoich rozkazów—rzec można, nie pojmował dotąd, że niema dla niego większej hańby, jak opuszczenie szeregów, w których stanął dla wywalczenia niepodległości ojczyzny...”

Pomimo takich rozkazów szeregi powstańcze topniały, a klęski i porażki powiększały grozę sytuacji.

Oto bohater powstania litewskiego, ks. Mackiewicz, przegrawszy bitwę pod Świętobrościem, w parę tygodni później pochwycony został przy przeprawie przez Niemen i odwieziony do Kowna. Dnia 28 grudnia nieustraszony bojownik zawisł na szubienicy.

Smutno zaczął się rok 1864-ty.

Walka jeszcze trwała, a Traugutt nie tracił nadziei. Na początku nowego roku nadzwyczajnymi wysiłkami zdołano zgromadzić na południu Królestwa blisko 4000 powstańców, dobrze wyćwiczonych i oswojonych z wojną. Siły te podzielone zostały na trzy dywizje. Jedną z nich dowodził pamiętny nieudaną wyprawą na Miechów Kurowski, drugą pułkownik Topór-Zwierzdowski, a naczelne dowództwo spoczywało w rękach Bossaka. Wojska te stoczyły kilka bitew, odniosły kilka zwycięstw, ale 21 lutego poniosły stanowczą klęskę pod Opatowem. Podczas odwrotu dostał się do niewoli pułkownik Topór i niebawem został powieszony, a wojska powstańcze, poniosłszy nową klęskę pod Górą Witosławską, uległy rozproszeniu...

Upadającemu powstaniu straszny cios zadał w tym czasie rząd austriacki. Gabinet wiedeński, porozumiawszy się z Prusami w sprawie wspólnego działania przeciw Danji, a otrzymawszy na to zgodę Petersburga, postanowił na podobieństwo Prus przyłożyć rękę do

stłumienia powstania. Dnia 28 lutego ogłoszony został w Galicji stan oblężenia, rozpoczęły się niebawem aresztowania wybitniejszych działaczy i zabór austriacki, który oddał tyle usług powstaniu, stracony został dla sprawy.

Nieszczęście za nieszczęściem, cios za ciosem uderzał w chylącą się do upadku sprawę.

Traugutt pomimo wszystko trwał na stanowisku i na jedną chwilę nie poddawał się rozpacz. Przejęty do głębi duszy swą rolą, nie wypuszczał z rąk steru i nieulekłym okiem spoglądał w przyszłość, która zarysowywała się coraz smutniej i coraz rozpaczliwiej. Albowiem nawet w tych sferach, które stanęły pod sztandarem walki, rozpoczynała się gwałtowna reakcja, a społeczeństwo, zniechęcone niepowodzeniem i klęskami, prześladowane, łupione i gnębione, pragnęło już zaprzestania walki. Z takiego stanu umysłów skorzystały władze rosyjskie i rozpoczęły akcję, mającą wykazać, że ogół polski wraca do posłuszeństwa i potępia trzymających się jeszcze w polu „buntowników”. Pod wpływem tej akcji zredegowano kilka adresów wiernopoddańczych. Wymuszono na nich podpisy wśród mętów społeczeństwa, lecz później adresy zaczęto układać dobrowolnie i istny potok haniebnego służalstwa popłynął z Polski do podnóża carskiego tronu.

Wreszcie 6 marca ogłoszony został ukaz carski, zwiastujący uwłaszczenie chłopów, a oddający im na własność posiadaną ziemię. Był to cios straszny. Dzieło, którego domagał się ogół inteligencji polskiej, zapowiedź, którą w styczniu rozpoczęło się powstanie, urzeczywistniał nie rząd polski, ale wroga siła. Fakt ten doskonale wyzyskały miejscowe władze rosyjskie.

Zgraja czynowników rozpoczęła wśród ludu polskiego agitację i, sławiąc dobrodziejstwo cara, rozbudzała w masach wiejskich nienawiść do „szlacheckiego powstania”. Agitacja trafiała na grunt podatny. Masy włościańskie, wśród których powstanie z biegiem czasu stawało się coraz popularniejszym, pod wpływem ukażu i agitacji urzędników, nienawistnie odnosiły się do dalszej walki. Drobne oddziały powstańcze, straciszcy pomoc ludności, a nieraz spotykając się z wrogą postawą ludu wiejskiego, znajdowały się w położeniu coraz cięższym. Jakoż coraz częściej powstaniec rzucał broń, wymykał się z lasów i w miastach szukał schronienia przed widmem szubienicy.

Powoli i wkoło dyktatora czyniła się pustka. Wybitniejsi działacze, najbliżsi pomocnicy, zagrożeni aresztowaniem, tropieni i ścigani, bądź wyjeżdżali za granicę, bądź znikali za wrotami więzień. Lecz Traugutt nie poddawał się zwątpieniu, pracował w dalszym ciągu ze zdwojoną energją, zachęcał najbliższych do wytrwania, twierdził, że wszystko da się naprawić, byle tylko trwać na stanowisku i nie ustawać w pracy. I on przecież nie uniknął losu, który go przez pół roku oszczędzał.

Dnia 11 kwietnia do schronienia tajemnego dyktatora przy ulicy Smolnej wtargnęli późną nocą żandarmi...

Uwięzienie Traugutta śmiertelnym było dla powstania ciosem.

ZAKOŃCZENIE.

Po aresztowaniu Traugutta kilku rewolucjonistów z Bronisławem Brzezińskim na czele powołało do życia ostatni w powstaniu Rząd Narodowy. Lecz nowy naczelny organ powstańczy nie zdołał już odegrać poważniejszej roli. Organizacja narodowa była całkowicie rozbita, walka tu i ówdzie trwała jeszcze, lecz gdy w połowie kwietnia generał Bossak opuścił Kongresówkę, ruch zbrojny szybko zaczął zamierać. Jeszcze odbywały się utarczki, jeszcze drobne oddziały przebiegały kraj i alarmowały załogi rosyjskie, ale wszystko świadczyło, że powstanie dogorywa, że są to ostatnie jego odruchy.

W tych strasznych chwilach niezwykłą energję i zapamiętałość w działaniu wykazał Aleksander Waszkowski, ostatni naczelnik miasta Warszawy. Tropiony, jak zwierz, wymykał się z zastawionych sideł, wydawał odezwy, ruszał się, krzątał i stwarzał pozory, że rząd istnieje, działa i walczy. Aż do końca 1864 roku po mistrzowsku prowadził tę grę niebezpieczną.

A na polu walki trzymał się uparcie w Podlaskiem ksiądz Brzózka. Oddział jego zmalał do kilkudziesięciu, a następnie do kilkunastu ludzi, lecz Brzózka nie składał broni, wynurzał się niespodziewanie z lasów, niepokoił Moskali i długi czas, ukazując się w różnych okolicach, walczył zapamiętale zarówno z wrogiem, jak z głodem i nędzą. Nic przecież złamać go

nie mogło. Wspierany przez lud, ostrzegany o zastawianych na niego sidłach, wymykał się szczęśliwie z zasadzek, i tak przetrwał przez cały rok 1864-ty i cztery pierwsze miesiące roku następnego. Dopiero 29 kwietnia 1865 roku okrążony został we wsi Sypyłkach, w chacie miejscowego sołtysa. Na widok czyhających na niego żandarmów Brzózka z pistoletem w rękę wypadł na dziedziniec i zaczął biedz do lasu. Pochwycony przez wachmistrza żandarmów, przyłożył pistolet do głowy swego prześladowcy, lecz strzał spalił na panewce. Wraz z Brzózką pochwycony został i jego adjutant, kowal Wilczyński...

Był to ostatni na polu walki epizod.

Słumienie ruchu wywołało straszny odwet tryumfujących władz rosyjskich.

Cały kraj stał się znów więzieniem i katorgą. Skrzypiały nieustannie szubienice, rozlegał się ponuro głuchy dźwięk wleczonych na Sybir łańcuchów, szalał gwałt i na każdym kroku okrutna panoszyła się przemoc. Na skrwawionej ziemi polskiej, na mogiłach tych, co legli w zapasach o wolność i byt niepodległy narodu, zapanowała ponura noc, nierozświetlona długo żadnym błyskiem nadziei.

Europa, na którą liczyli politycy polscy, zapomniała o istnieniu Polski.

Już wkrótce po uwięzieniu Traugutta księżę Władysław Czartoryski pisał, że walki należy zaniechać, gdyż cesarz Napoleon oświadczył, że nic już dla Polski uczynić nie może. Opuszczony przez dyplomację świata naród pozostał sam na sam ze swoim oprawcą.

Ktokolwiek z wybitniejszych uczestników powstania nie schronił się za granicą, ten dostawał się do więzienia i ginął na szubienicy, lub zakuty w kajda-

ny, szedł straszliwym szlakiem, wiodącym w lodowate otchłanie Sybiru.

Srożyły się sądy wojenne, masowe wyroki śmierci zapadały codziennie.

Berg szedł śladami Murawjewa. Więźniowie naj-sroższym poddawani byli torturom. Znęcano się nad każdym, kto wpadł w szpony komisji śledczej, ze szczególniejszem jednak okrucieństwem prześladowano Traugutta i jego współpracowników. Berg chciał pochwalić się przed światem, że powstanie stłumił, że ostatni Rząd Narodowy został już schwytyany. W tym celu rozkazał komisji śledczej, rzekomo na podstawie wyników dochodzenia, uformować skład ostatniego rządu i na jego członków publicznie ogłosić wyrok śmierci. Stało się podług woli satrapy. Sąd obwieścił wyrok, a do składu rządu obok Traugutta zaliczeni zostali: Rafał Krajewski, Jan Jeziorański, Józef Toczyski i Roman Żuliński.

Dnia 5 sierpnia 1864 roku na stoku cytadeli, w tem samem miejscu, gdzie straceni zostali Jaroszyński, Ryll i Rzońca, wystawiono wielką szubienicę. Z górnej belki, wiążącej dwa wkopane w ziemię słupy, zwieszało się pięć kółek z przygotowanymi zawczasu stryczkami. O godz. 8-ej rano silny kordon wojska otoczył miejsce stracenia, a w godzinę później rozwarła się brama cytadeli i wyszedł przez nie kat ze swymi pomocnikami. Tuż za nim ukazało się pięć wózków jednokonnych, w których siedzieli skazańcy i ich spowiednicy. Wózki otaczali żandarmi na olbrzymich siwych koniach. Jechali w błyszczących hełmach, ubrani jak na paradę, w pełnej gali, z obnażonymi pałaszami. Za żandarmami postępowała piechota...

Olbrzymie tłumy ludu otaczały miejsce stracenia i w głuchem, rozpaczliwem skupieniu przyglądały się mrozącemu krew w żyłach widowisku.

Traugutt, stanąwszy pod szubienicą, sam wdział na siebie białą śmiertelną koszulę, a za tym przykładem poszli jego towarzysze.

Tajemny dyktator do ostatniej chwili modlił się, nie zwracając uwagi na to, co się dookoła dzieje, a zarówno on, jak czterej pozostali skazańcy zachowywali się z bohaterskim spokojem. Pierwszy powieszony został Jeziorański, ostatni był Traugutt. Ze złożonemi do modlitwy rękoma, z głową, zwróconą ku niebu, dał głowę pod stryczek i w tej postawie zawiśł na szubienicy.

Grzmot bębnow i dźwięki orkiestry wojskowej, towarzyszące egzekucji, głużyły płacz, który wstrząsał piersią zgromadzonych tłumów.

Dwie godziny kołysał wiatr pięć postaci w białych, śmiertelnych całunach, a skamieniała ze zgrozy Warszawa bezsilnie spoglądała na straszne widowisko.

Niestety, widowisko to w całym kraju stawało się widowiskiem codziennem. Ofiary za ofiarami szły na tracenie i ginęły na szubienicach. W dniu 29 grudnia powieszony został ostatni naczelnik miasta Warszawy, a 24 maja 1865 r. powieszono w Sokołowie ostatniego dowódcę w powstaniu, księdza Stanisława Brzózkę. Wraz z Brzózką stracony został i jego adjutant, kowal Franciszek Wilczyński. W całym kraju wznosiły się szubienice, a gromady skazańców, pędzonych na Sybir, dopełniały straszego obrazu, jaki przedstawiała Polska po upadku powstania.

Powstanie styczniowe, wywołane przedwcześnie przez garść zapalanej młodzieży wbrew woli tych, co ruchem kierowali, okropną skończyło się katastrofą. Na polach bitew padło 20.000 powstańców, z górą 6.000 dostało się do niewoli, a 50.000 ludzi, stanowiących najdzielniejszy żywioł kraju, poszło na wygnanie w głąb Rosji i na Sybir. Wszystkie zdobycze, któremi szczyił się Wielopolski, zostały cofnięte: sądy, szkoły, samorząd wiejski i miejski, urządzenia administracyjne, słowem, wszystko, o czym jeszcze na kilka lat przed wybuchem nie ośmielano się marzyć, rząd rosyjski zniszczył i zdeptał.

Pod wpływem katastrofy w tem samem pokoleniu, co z gołemi rękoma porwało się do walki z uzbrojonym od stóp do głów kolosem rosyjskim, zaczął utrzymywać się pogląd, że powstanie wielkim było błędem, że nie miało najmniejszych szans powodzenia ani ze względu na własne społeczeństwa siły, ani ze względu na sytuację międzynarodową, która bynajmniej nie układała się pomyślnie dla widoków powstania. A w miarę tego, jak rosła bezwzględność rządów carskich, jak wzmagano się prześladowanie religij, języka, jak wzbierała barbarzyńska fala rusyfikacji, coraz większą powagę zyskiwało przekonanie, że właściwym owych czasów drogowskazem była polityka Wielopolskiego. Potępiany i przeklinany margrabia wyrastał z biegiem czasu, a jednocześnie maleli jego przeciwnicy.

Ale ci, co posępną postać naczelnika Rządu Cywilnego postawili z czasem na piedestale, zapominali o tem, że do władzy nie wyniosła go jego własna działalność i polityka, ale polityka jego przeciwników,

ale rozruchy i manifestacje, które budziły w Petersburgu niepokój, a które margrabia umiał tylko wyzyskać.

Wielopolski dał społeczeństwu swą pracę, ale idei narodowej nie zbogacił niczem.

Powstanie zniweczyło dorobek tej pracy, ale pozostawiło po sobie bezcenny spadek ideowy. Spadek ten stał się dla następnego pokolenia testamentem i przykazaniem, stał się węzłem, który poprzez ponurą teraźniejszość łączył przeszłość z przyszłością.

Jeżeli następne pokolenie, a przynajmniej jego częśćka szła w tę przyszłość z podniesionem czołem, jeśli nie zapominała o wielkiej idei, co od upadku państwa polskiego przyświecała najdostojniejszym w narodzie duchom, to w ogromnej mierze stało się tak dzięki temu, że walka o niepodległość nie przemieniła się w zakrzepłą kartę historii, ale żyła w tradycji rodzinnego domu, żyła w bliznach żywych ludzi, żyła w krwawych widmach pomordowanych patryjotów, co stawały już u kołyski młodego pokolenia, rozpałały jego wyobraźnię, a wzywały na drogę czynu i walki...

Wielkie błędy widnieją niemal na każdej karcie powstania styczniowego, a błędów tych nie może zmazać ani poświęcenie, ani ofiarność, ani nawet bohaterstwo tych, co dla idei życie stawiali na kartę. Błądzili twórcy powstania, idealizując lud i wyobrażając sobie, że samym programem uwłaszczenia pociągną masy chłopskie do walki. Błądzili zapaleńcy, co, lekceważąc potęgę zbrojną caratu, bez broni stanęli z nim do boju. Błądzili dowódcy na polu walki, błądzili politycy, wyobrażający sobie, że sama sytuacja międzynarodowa może wskrzesić Polaka, choćby na-

wet Polska nie posiadała dość mocy, aby własnym wysiłkiem podźwignąć ciężkie wieko swej trumny.

Ale nie była błędem sama idea walki. Naród, który walczy o swoją niepodległość, zawsze ma słuszność. Dla narodu w niewoli najgubniejszym stanem jest stan długoletniej bezczynności, przyuczający całe pokolenia do kornego dźwigania jarzma, do życia w poniewierce i hańbie.

Polityka caratu była polityką zguby dla Polski, polityką oprawcy, który mógł na chwilę zaprzestać dręczenia swojej ofiary, aby przy pierwszej okazji nowe a śmiertelne zadać jej ciosy. Taką politykę prowadzili carowie od czasów Piotra Wielkiego, taką politykę przekazała caryca Katarzyna swoim następcom. Tej to polityce przeciwstawiło się powstanie styczniowe. Pomimo strasznych klęsk, pomimo nowego zubożenia kraju i zmniejszenia stanu posiadania polskiego, wzbogaciło naród: po trzydziestu latach zacisza, po trzydziestu latach niebytu politycznego stworzyło w dziejach narodu nową kartę historyczną.

Naród, nie tworzący sam swojej historii, przestaje być narodem.

Powstanie styczniowe, wnosząc sztandar niepodległości, przegrało walkę, ale nie przegrało idei walki o niepodległość. To też w dziejach Polski krwawa karta 1863 roku nazawsze pozostanie wzniosłą i zaszczytną kartą.

T R E Ś Ć.

I. Noc Mikołajowska	1
II. Nadzieje i zawody. Andrzej Zamoyski	21
III. Początki ruchu	43
IV. Manifestacje	56
V. Margrabia Wielopolski i dzień 8-go kwietnia	80
VI. Polityka i reformy margrabiego	101
VII. Biali i czerwoni	115
VIII. Czerwoni i Wielopolski	136
IX. Wybuch powstania	154
X. Dwie dyktatury	167
XI. Rozwój powstania	184
XII. Na Litwie i Rusi	197
XIII. Na przełomie	210
XIV. Rządy Traugutta	228
Zakończenie	239

P O R T R E T Y.

Andrzej Zamoyski po str. 32		Marjan Langiewicz po str. 176
Arcybiskup Fijałkowski „ 72		Ks. Mackiewicz „ 183
Aleksander Wielopolski „ 80		Zygmunt Sierakowski „ 200
Ludwik Mierosławski „ 160		Romuald Traugutt „ 232





122581

7